

ADOLF
DYGASIŃSKI

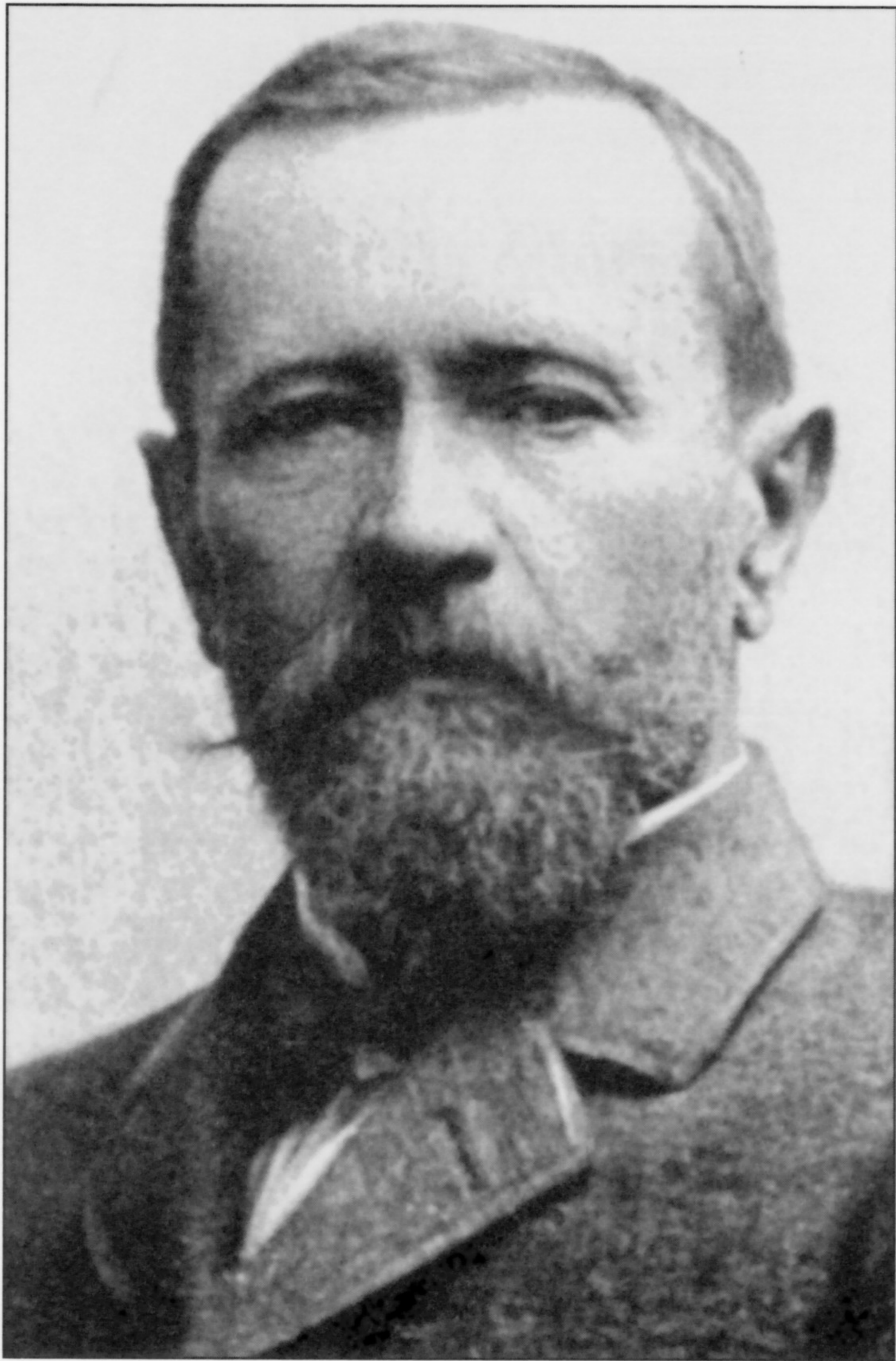
CO SIĘ DZIEJE W GNIAZDACH?



Przykazania młodych miłośników przyrody z roku 1928*

1. Czuwaj, aby życia zwierząt i roślin nie niszczone lekkomyślnie, aby nie było ono przedmiotem igraszek.
2. Czuwaj, aby pnie starych drzew, wielkie głazy, ściany jaskiń i inne zabytki nie były szpeczone jakimikolwiek znakami i napisami.
3. Pilnuj, aby zachowany był pierwotny wygląd wszelkich zabytków przyrody.
4. Ochroniaj naturalne piękno krajobrazu.
5. Nie znacz niechlujstwem miejsc swego pobytu.
6. Pamiątki bierz do serca, a nie do kieszeni.
7. Nie zakłócaj hałasem ciszy i majestatu uroczysk.
8. Jesteś częścią Przyrody – pamiętaj o prawach Braterstwa i Miłości.

** Którędy po Ziemi? Jak kształcić zgodnie z ideą rozwoju zrównoważonego. Narodowa Fundacja Ochrony Środowiska. Warszawa 1993.*



Adolf Dygasiński
(1839–1902)

Adolf Dygasiński

**CO SIĘ DZIEJE W GNIAZDACH?
i inne nowele**



Stowarzyszenie Oświatowe Śycyna

Adolf Dygasiński
Co się dzieje w gniazdach?
i inne nowele

W zbiorze przedstawiamy nowele *Co się dzieje w gniazdach?*, *Podwórkowe dramata*, *Biały wróbel*, *Kuropatwy*, *Gody życia*. Książka bogato ilustrowana barwnymi fotografiami ptaków, ich gniazd i siedlisk. Dzięki wybitnemu pisarzowi, pedagogowi i przyrodnikowi – Adolfowi Dygasińskiemu – możemy podpatrywać, poznawać i uczyć się przyrody.

Pomysł i opracowanie edytorskie: Janusz Pulnar

Fotografie: Jerzy Madejski

Wydanie II

© Copyright by Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, 2002

Sycyna 126A, 26-700 Zwoleń, tel. 0691 738 711

e-mail: sycyna@ppp.pl www.sycyna.ppp.pl

ISBN 83-918104-0-2

Redakcja: Marcin Olifirowicz – red. prowadzący, Joanna Iwanowska

Projekt okładki: Janusz Popławski, Jacek Pacholec

Opracowanie techniczne: Bożena Mazur, Marta Pobereszko



Biblioteka Sycyńska

Postęp naukowo-techniczny, globalizacja, a szczególnie szybkie tempo zmian powodują często zagubienie człowieka i wyobcowanie całych grup społecznych. Racjonalne stają się poszukiwania własnego miejsca, swoich korzeni. Stąd też częste odwoływanie się do źródeł i dorobku epoki Odrodzenia.

Szczególnie bliskie są nam stwierdzenia Jana Kochanowskiego: *Naprzód mądrość, która czego szukać, a czego się chronić, uczy*, a także idee humanizmu zawarte w nowych wtedy koncepcjach kultury, społeczeństwa i człowieka. Dzisiejsze nawoływania do humanizmu, rozwoju osobowości każdego człowieka powoduje w całym świecie zainteresowanie twórczością Renesansu, ale i własną historią, poszukiwaniem własnej tożsamości. Regionalizm, małe ojczyzny, ich rozwój, ale szczególnie poznanie i zachowanie zabytków, śladów własnej historii stały się silnym nurtem społecznym. Powstaje coraz więcej lokalnych stowarzyszeń i mnóstwo inicjatyw.

Misją naszego wiejskiego Stowarzyszenia Oświatowego SYCYNA jest integracja, samoorganizacja i aktywizacja lokalnych społeczności poprzez animację oświatową i kulturalną w celu wyrównywania szans społecznych i edukacyjnych młodzieży i dorosłych. Kultuwując legendę i upowszechniając twórczość Jana Kochanowskiego oraz innych wybitnych ludzi związanych z regionem radomskim, Stowarzyszenie wspiera współpracę międzyregionalną i międzynarodową.

W ogólnokulturowej edukacji ważne znaczenie ma edukacja regionalna, znajomość dziedzictwa kulturowego, a więc również konieczność dokumentacji historii i dnia dzisiejszego małych ojczyzn. Nasze zamiary opracowania popularnonaukowych monografii małych miejscowości z regionu radomskiego zostały rozszerzone przez Janusza Pulnara o ukazanie związków wybitnych twórców z naszym regionem. Powstał więc pomysł specjalnej serii wydawniczej,

w której przedstawimy monografie małych miejscowości, związanych z życiem wielkich twórców, a także przypomnimy dzieła rzadko wydawanych, wielkich poetów, pisarzy, malarzy o wyraźnym, społecznym ukierunkowaniu.

Naszą serię wydawniczą nazwaliśmy „BIBLIOTEKA SYCYŃSKA” jako nawiązanie do korzeni Renesansu oraz miejsca urodzenia Jana Kochanowskiego. Mamy nadzieję, że odrodzi się również – może w innej formie – wydawane jeszcze niedawno czasopismo „Sycyna”.

W ramach tej serii ukazały się: „Sycyna – wiek XX” oraz „Sycyna – gniazdo ojczyste Jana Kochanowskiego” pod redakcją Henryka Bednarczyka, „Wybór poezji” Jana Kochanowskiego oraz „Wybór poezji” Marii Konopnickiej, „W Wielgiem” Wacława Karczewskiego, „Ciepielów – dawniej i dziś” pod redakcją Henryka Bednarczyka i Heleny Kutery-Kowalskiej, „Proteus – świat Jana z Czarnolasu” Janusza Pulnara, a także „Idee humanistyczne Renesansu w integrującej się Europie” – zbiór materiałów konferencji naukowej pod patronatem Senatu Rzeczypospolitej Polskiej.

Już sam tytuł uzasadnia nasze zainteresowanie twórczością tego wielkiego pisarza i pedagoga. Adolf Dygasiński był znakomitym autorem takich prac pedagogicznych, jak „Pierwsze nauczanie w domu i szkole” (1883), „Jak się uczyć i jak uczyć innych” (1889) oraz inicjatorem pisma „Przegląd Pedagogiczny” (1880). Dzisiaj, kiedy jednym z motywów działań edukacyjnych jest wyrównywanie szans, warto wrócić do poglądów A. Dygasińskiego na szkołę, nauczycieli, dziecko, stosunki wychowawcze przedstawione w nowelach: „Nieszczeka”, „Wojtusiowe nieszczęścia”, „Jeszcze jedna nieszczeka”, „Głód i miłość” oraz „Von Molken”.

Jako motto mazowieckiego projektu edukacji ekologicznej wybraliśmy stwierdzenie pisarza: *Usiłując poznać i wytłumaczyć przyrodę, zyskujemy najpewniejsze poznanie samych siebie, nawet wtedy, kiedy błądzimy w poznawaniu przyrody.* Nie bez znaczenia są również związki Autora z Wielgiem (wieś zaledwie kilka kilometrów od Sycyny), w którym był guwernerem Jacka Malczewskiego i Wacława Karczewskiego. Jest to również nasz hołd Wielkiemu Pisarzowi, którego setna rocznica śmierci przypada w 2002 roku.

Wyrażam nadzieję i przekonanie, że drugie wydanie książki powstałej w rezultacie Mazowieckiego projektu edukacji ekologicznej dofinansowanego przez Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Warszawie będzie pomocne w edukacji ekologicznej. Zbiór nowel „Co się dzieje w gniazdach?”, „Podwórkowe dramata”, „Biały wróbelek”, „Kuropatwy” i „Gody życia” będzie pomocny w edukacji ekologicznej.

Wszystkim, którzy sięgną po tę lekturę, dzięki Adolfowi Dygasińskiemu – pisarzowi, pedagogowi i przyrodnikowi – bliższe staną się więzi i kontakt z naturą.

Henryk Bednarczyk

Dlaczego Adolf Dygasiński?

Kiedy zostałem zaproszony przez profesora Henryka Bednarczyka do prac związanych z Biblioteką Sycyńską, zadałem sobie pytanie: jacy twórcy powinni znaleźć się w pierwszym rzędzie naszej złotej, bibliotecznej półki?

Wśród kontynuatorów myśli i czynów Jana z Czarnolasu mocno związanych z ziemią radomską Adolf Dygasiński zajmuje miejsce szczególne.

*Nie wiem, jakiej literackiej modzie hołdował Dygasiński, nie wiem, czy był realistą, naturalistą, werystą, zolista, czy w ogóle należał do jakiej szkoły, grupy czy sekty literackiej, wiem tylko, że był **niezwykłym pisarzem...!*** (S. Żeromski, „Snobizm i postęp”, 1923).

Szczera, serdeczna i prosta ocena jednego z największych pisarzy polskich jest dla mnie nie tylko wysoce miarodajna, ale także absolutnie przekonująca.

Warto tutaj już jednym tchem wymienić cechy Adolfa Dygasińskiego i choćby najkrócej scharakteryzować jego dzieła.

Przede wszystkim był wspaniałym człowiekiem. Obdarzony ogromnym talentem rozwijał go przez całe życie niezmierną pracowitością. Kochał świat i ludzi całą otwartością swojego szczodrego serca. Zawsze dumny, nigdy nie korzył się przed nikim, a wszystko, co zdobył i uzyskał, było rezultatem niezwykłego uporu oraz ciężkiej pracy. Wielki samotnik a jednocześnie bystry obserwator „wszystkiego świata”. Zachłanny pożeracz wiedzy i doświadczeń, męzny, szlachetny, uparty w dążeniu do stałej doskonałości. Był przykładem wybitnego humanisty, jakże bardzo przypominającym swoich renesansowych poprzedników. Wszechstronne zainteresowania, nieustanny i nigdy nie zaspokojony „głód” poznania nowego.

Pilne poszukiwania odpowiedzi na najtrudniejsze pytania dotyczące ludzkiego losu uczyniły Adolfa Dygasińskiego pedagogiem, etnografem, przyrodnikiem, zapalczym publicystą, propagatorem najnowszych idei pozytywistycznych, a nade wszystko wybitnym, oryginalnym i zawsze aktualnym pisarzem nowoczesnej rangi.

A wśród wszystkiego, czym nas obdarował, najcenniejszą wartością jest skromność i miłość.

Uczył miłości do ziemi ojczystej, miłości do pól, lasów, łąk, miedz, rzek i strumieni, miłości do wszystkich stworzeń, dużych i tych najmniejszych. Uczył najgłębszego szacunku do każdej cząstki „życia” i wielkiej radości uczestniczenia w nim.

I jeszcze jedna rzecz rangi najwyższej – to niezwykła dbałość o piękno i czystość narodowego języka:

(...) Władca innego obszaru mowy naszej: języka nizin i dalekości słowiańskiej, lasów i pól, pracy w polach i chałupach (Adolf Dygasiński).

„Ten pisarz bardziej nas zbliżył do pierwoźródła mowy słowiańskiej, (...) niż wszyscy pisarze lat kilkudziesięciu razem wzięci.

Ale dokonane przezeń wydobywanie i podanie nam mowy ludowej zaczerpnięte jest z niewielkiego szmatu jego okolicy rodzinnej. Któż kiedy wspomni o tym samoistnym człowieku, którego bezwzględne widzenie rzeczy, ogromu życia w jego całości i prawdzie, bez cienia literackiej ozdoby dały mu możliwość wykonania dzieł jedynych w swoim rodzaju, nie tylko w naszej, lecz w powszechnej literaturze?” (S. Żeromski „Projekt Akademii Literatury Polskiej”).

Czyniąc zadość marzeniom S. Żeromskiego, wspominamy tego „samoistnego człowieka”, a czynimy to z prawdziwą radością i dużym zadowoleniem.

Wracając zaś do „mowy naszej”, do „języka nizin i dalekości słowiańskiej” i z ogromną satysfakcją je dziś przypominamy. Dziś, kiedy potomkowie tych „ludzi z nizin” w pierwszym pokoleniu, obecni mieszkańcy miast polskich, młodzi inteligenci, z takim bezmyślnym zapałem w każdy kolejny piątek wybierają się na: „weekend”, aby „pogryłować koniecznie”, „szczyścić gablotę”, „wywalić parę »browarków«” i oddać się wieczorem bęcwałskiej przyjemności uczestniczenia w „dramatycznych” zmaganiach durnych ofiar „Big Brothera”.

Nasza radość jest tym większa, że przedstawiamy już drugie wydanie zbioru nowel Adolfa Dygasińskiego „Co się dzieje w gniazdach?”. Pierwsze wydanie dofinansowane przez Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Warszawie w ramach Mazowieckiego programu edukacji ekologicznej trafiło do bibliotek szkolnych, w których dzieła A. Dygasińskiego zostały już dawno „zacytane”.

Wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej skromnej książki, i jej drugiego wydania, składam głęboki ukłon i najserdeczniejsze podziękowania.

Janusz Pulnar

Co się dzieje w gniazdach?

*Gniazda giną, ziemia zostaje
Z maksym pozytywisty*

Zaznajomienie czytelnika z Dalewicami

Lubimy śpiew słowiczy dla śpiewu, ale słowik nie śpiewa, aby śpiewać. W wieczornej ciszy powietrze drży tymi czarującymi dźwiękami. Wschodzący księżyc wysunął olbrzymią, ogniem zalaną tarczę; rzekłbyś, że sioła i lasy płoną. Ruch pracy ludzkiej ustaje, jak się to zwykle mówi. A przecież to jest tylko inna forma i pracy, i życia. Jedynie warunki niektóre zmieniły się dokoła. Mroczno, chłodnawo i spokojniej niż we dnie. Na niebie gwiazdy pełgają. Ale nie każdy śpi w nocy i nie każdy w dzień czuwa. Jeżeli się czujesz być synem ziemi związanym z nią miliardem nici; jeżeli rozumiesz, że nic nie ma w tobie, czego by w niej nie było; że wszystkie istoty świata nie są od ciebie oddzielone pustą przestrzenią, ale wnikają w ciebie i ty im siebie oddajesz; jeżeliś przekonany, że istoty są niejako organami oraz narządami twego życia, twej myśli najwznioślejszej i twoich najszczytniejszych uczuć, więc pójdź ze mną, ktokolwiek jesteś, w zakątek jeden tej wielkiej matki ziemi, w zakątek cichy i spokojny. Nie zatrzymamy się w kraju, gdzie pomarańcza i cytryna kwitnie, ale przyjrzymy się siołu o biednych, słomianych i lepionych chatach. Nie przechodzi tędy żaden wielki trakt świata, ale przecież mała drożyna łączy i to sioło z bursztynowymi gościńcami. Nie pieni się tutaj swymi falami olbrzymia rzeka, lecz i wąska struga posyła także wodę do dalekiego morza. Wiatry, które wzruszyły cedrami na Libanie lub rozganiały statki po oceanach, przyływają także w te strony. Po niebie toczą się chmury, które promienie słońca z dalekich mórz wysłały. To samo słońce grzeje też i oświeca

wszystkich ziemian; jeden księżyc toczy się dokoła ziemi. Z jednego punktu na drugi przenoszą się atomy tego, co stanowi życie; przelewają się one, przepływają, toczą się, przychodzą i odchodzą. Nikt nie wie, dokąd popłynęła uroniona jego łza bóleści lub szczęścia. Ona jednak nie zmarniała, jak i uczucie, co ją wywołało. Nikt nie objaśni, jakie są losy westchnienia, które ci tęsknota wydarła z piersi, a wiatr je porwał i uniół w przestwory, aby cię połączyć z całą przyrodą, aby to westchnienie wrzucić w jej łono i zapłodnić ją także i przez tę zmianę. Uczucia, myśli, życie całe – oddajemy przyrodzie, która to wszystko w obiegu kołowym rozdziela między niezliczone miliony istot. Pójdźmy więc do naszego ubogiego sioła, aby tam czerpnąć od przyrody życia, aby jej także oddać część siebie. Jeżeli kto chce, niech to nazwie zaślubinami, weselem, aktem miłości. My wszelkie nasze łączenie się z ziemią i jej stworzeniami nazwiemy koniecznością tylko. Czy ona nam coś z siebie oddaje, czy my dla niej czujemy, myślimy albo działamy, walczymy za nią, uprawiamy ją, pracujemy na niej – zawsze fizycznie lub moralnie stwierdzamy tylko nie dający się rozerwać związek nasz z ziemią.

Mamy noc ze wschodzącym księżycem. Mroki panują dokoła. Rzeczka pluszcze, obmywa części ziemi, nieznacznie tworzy zatoki, nurtuje dno, zlizuje kamyki i zabiera wam, ludzie, tę ziemię, którą tak miłujecie i swoją być mienicie. Po obu stronach obsiadły strugę olchy, kapią w niej swoje korzenie, mgłami jej zraszają swe liście. Białe ćmy przelatują nad powierzchnią wody, z której rybka się czasem wynurzy, podskoczy, chwyci bezbronny owad, pluśnie i uchodzi ze zdobyczą, ścigana przez współplemienną zgraję. Mamy noc ciepłą, letnią; woń młodej wikliny oraz topoli balsamicznie rozlewa się w powietrzu. Derkacze i przepiórki niezmordowanie głoszą o zajęciu w swoje posiadanie łąk jako też łąków zbożowych. Świerszcze trylowy koncert sprawiają sobie po ogrodach. Z oddali, gdzieś w sadzie, tęskliwie nawołuje sowa. Górą, jakby duchy ciemności, rysują się nietoperze walczące podczas nocy o życiowe zadanie. Czasem, niby z pracy wyrzucony kamień, przeleci lelek; ledwie go okiem uchwycić zdołasz, a już znika w ćmach nocnych. Rozkukują się w łąkach po kałużach żaby, a inne gwarzą nieustannie na wyścigi ze sobą, choć jedna drugiej przekrzywić nie zdoła. Na wieśniaczej stodole stoi bocian, kiwa się we śnie, przysiada; czasem maleńkim jego pisklętom coś się przyśni; zbudzone prowadzą krótką rozmowę z matką, popiszczą i znowu zasną. Może je rozbudziło poszczekiwanie psa z sąsiedniego sioła, co się od czasu do czasu odzywa niedbale, jakby zaspany. A stary ojciec bocian po łąkach późno w noc za żerem się ugania. Nieraz przyleci do gniazda o północy, rozbudzi rodzinę i przy księżycu krótką z nią wszczyni rozmowę. I kur się wtedy zatrzepocze na grzędzie, piej, a za nim kolejno przeróżnymi głosy rozlega się po chatach innych kurów pianie. Zwierzęta podają sobie nocą hasło pozdrowienia czy czuwania. Oto i gęsi podniosły wrzawę łącząc ją z głosami innych stworzeń.

Po cóż ten ruch, te głowy, śpiewy? Trudno podzielać opinię, że wszystko istnieje na świecie, aby tylko człowiekowi uprzyjemnić życie. Pogląd taki jest

nie tylko powierzchowny, ale i szpetny. Żyjemy dla innych stworzeń, podobnie jak one żyją dla nas.

Nasze sioło nazywa się Dalewice. Nie tylko ludzie tutaj żyją, nie tylko ludzie w Dalewicach doznają wesela i cierpienia. Ludzie bywają tu powodem zawodów gorzkich, miłości, strapienia dotkliwych, pięknych nadziei, a z kolei oni sami uczuć tych doświadczają z przyczyny rozmaitych swoich współmieszkańców ziemskich. W atomach ich ciała, w tym, czego oni za pokarm używają, w tym, co ich otacza, mieści się szczęście i cierpienie.

Jesteśmy w Dalewicach podczas rozkosznej pory roku – przy końcu maja i w początkach czerwca; dniem i nocą sioło jest wtedy najlepiej zaludnione. Nad tutejszym strumieniem, nieznanym światu, żyje bardzo wiele rodzin, jest wiele gniazd; ale trzech tylko losy w opowiadaniu naszym będą uwzględnione.

Jest wieś czysto chłopska, pana dziedzica nikt w niej nie pamięta, choć kiedyś pan taki być tu musiał. Nikt też nie pamięta, aby w królewskiej wsi Dalewice chłop jaki wydziedziczony kiedy został. Bywały już straszne klęski, ale lud trwa i trwa jego ziemia. Nikt tu nie opuścił jeszcze własnego zagonu, a jeśli ojciec umiera, przekazuje synowi lub zięciowi to, co sam odziedziczył po ojcu. Jeżeli zaś ani nadmiar powodzenia, ani najdotkliwsze nieszczęścia nie wytrącają nigdy dalewickiego chłopca z jego zagrody, to prawdopodobnie chłopskie Dalewice i nadal tak pozostaną. Chłop taki, to jak bocian, zawsze się ostaje przy swym gnieździe. Jeśli mu je zburzysz, on je odbudować potrafi.

Noc w Dalewicach jest przecudna, ale piękny jest także i dzień w tym ustroniu. Ze trzydzieści chat ciągnie się rzędem wzdłuż drogi; przy każdej sadek, ogród, stodółka, obórka, podwórko i ogrodzenie. Tylne części chat zwracają się ku rzeczulce, która płynie dołem poza sadami i poza ogrodami warzywnymi. Jedna chata wybiegła nieco z szeregu chat innych; stoi na wzgórzu wyższym, ogrodem i sadem styka się z olszynami i wiklem gęstym. Przy tej chacie na stodole od niepamiętnych czasów gnieźdzą się bociany, a śpiew słowika z olszyn najlepiej tutaj słyszeć. Jest to piękna, choć skromna zagroda Walentego Makosza.

11

Gniazdo bocianie

Najprzód do Dalewic przyleciały na wiosnę skowronki, później pokazały się bociany, a dzieci w chacie Makosza wołały: „boćki lecą!”. Po bocianach przybyły jaskółki; ostatnimi zaś przybyszami, już w kwietniu, były słowiki. Słowików corocznie znajdowała się tu jedna para, podobnie jak i bocianów gnieźdzących się na stodole Makosza. Stadło bocianie zajęło się najprzód reperacją gniazda starego. Na przemian więc to jedno, to drugie zносиło gałęzie,

słomę, kawałki darni, szmaty; oboje wyrywali dziobami przegniły chrust, łatali dziury, utykali szpary, zagradzali, przegradzali; robili to, co robi wieśniak, gdy naprawia starą chałupę. Zdarzyło się jednego roku, że do Dalewic nadleciały inne jakieś bociany, a w parę dni dopiero przybyli starzy właściciele gniazda. Powiadają, że kto pierwszy, ten lepszy, i tym razem lepszymi ani pierwszymi nie był te bociany, które najprzód objęły w posiadanie gniazdo. Przyszło bowiem do zaciętej walki na stodole; posypało się pierze, popłynęła może i krew i pokazało się, że ten zawsze mocniejszy, kto swojego na własnych śmieciach broni. Przybyszom spadły nosy na kwintę, musieli ustąpić; wynieśli się do Zamościa, po Skalbmierz, gdzie jest istna bociania kolonia. Być może, iż ta kolonia założona została przez zdetronizowanych przywłaszczycieli cudzych gniazd. Tu i ówdzie człowiek wywłaszcza człowieka drugiego; rzecz dziwna, że bocian wywłaszczać się nie pozwala nigdy.

Po wykończonej reperacji gniazda żona bocianowa zniosła pięć jaj. Użyłem wyrazu żona, ponieważ w zacnej, monogamicznej rodzinie ptasiej, gdzie wierność małżeńska przestrzegana jest jak najtroskliwiej, gdzie się nie trafiają dzieci z nieprawego łoża, należy się uszanowanie płci żeńskiej. Na jajach kolejno przesiadywali – to mąż, to żona, co chyba świadczy nie tylko o wybornej małżeńskiej harmonii, ale i, wysoko rozwiniętym poczuciu rodzicielskiego obowiązku. Zagadką była dla mieszkańców Dalewic okoliczność, iż corocznie małżeństwo bocianie, narodzwszy się ze sobą, wyrzucało z gniazda jedno jaje, a niekiedy strącone zostało z gniazda nawet pisklę. Może to był i jaki ptasi przesąd, a może też chodziło o usunięcie z rodziny jakiego niedołęgi potomka, który by w późniejszym życiu nie zdołał przenieść trudów ciężkiego bocianiego życia i obronić w razie potrzeby rodzinnego gniazda. Jeżeli parę bocianów nazywamy małżeństwem, to gniazdo ich możemy nazwać chatą. Otóż bociania chata, umieszczona była na samym rogu strzechy Makoszowej stodoły. Czworo bocianków z szarymi dziobkami i takimiż nogami zachowywało się nadzwyczajnie przyzwoicie w gnieździe. Od najpierwszych pieluch aż do młodzieńczego wieku nie słyszano w gnieździe niesfornych krzyków; zdaje się, że ważna cnota karności zdobi młodzież w rodzie bocianim. Piszcząły one tylko niekiedy, mianowicie zaś, gdy przybywało do gniazda które z rodziców. Pracowitość tej ptasiej rodziny, jej rozum w przeprowadzaniu podziału pracy, wierność małżeńska, przywiązanie do gniazda, karność młodzieży, troskliwość a nawet czułość rodzicielska starszych względem młodszych, przy tym różne inne cnoty sprawiły, że ludność dalwicka, porównawszy sobie wspomniane zalety z ludzkimi, musiała ptakom przyznać pierwszeństwo. Bociany więc wyrobiły sobie tutaj między ludźmi nie tylko uznanie, ale rodzaj czci, na którą nie zasłużyły ani wrzaskliwe sroki, ani natrętne wróble, ani żarłoczne wrony i inne ptactwo. „Zabić boćka to ciężki grzech” – mawiali starzy gospodarze do swoich dzieci, a dzieci wierzyły ojcom i to samo powtarzały później własnym dzieciom. Ileż to cnót trzeba posiadać, ażeby sobie zasłużyć na ludzkie uznanie, nie będąc jednak wołem, gęsią, kurą, kaczką lub cielęciem! Zaprawdę, mieszkańcy Dalewic zupełnie bezinteresownie

szanowali bociany, które na pewnych punktach stały nawet wyżej od niektórych z naszych szanownych współziomków. Mamy w tej chwili na myśli mianowicie edukację dzieci, o którą bociany dbały znacznie więcej aniżeli przeciętny chłop dalwicki. A przecież walka o byt, zachody o dobra materialne ciążyły na owych ptakach nie mniej potężnie jak i na ludziach.

Gdy przeminęły czasy wychowania polegającego wyłącznie na odżywianiu, kiedy młode bociany podrosły i okryły się dobrym pierzem, rodzice zaczęli je nauczać; polecono malcom stanąć prosto na gnieździe, zabraniając garbienia się i niedołęznego zginania nóg. Bocianki szybko pojęły, o co chodzi. Po tych ćwiczeniach gimnastycznych z nogami nastąpiły ćwiczenia skrzydeł. Wielki szum słyhać było na stodole Makosza, kiedy młodzież, stojąc w gnieździe, na komendę ojca lub matki wprawiała się w używanie skrzydeł. Potem nastąpiły lekcje wznoszenia się na skrzydłach, najprzód o parę cali prostopadle nad gniazdem i z zastrzeżeniem silnym, że nie wolno spaść na strzechę, a tym bardziej na ziemię. Szło to powoli, ale wychowawcy byli pobłażliwi oraz cierpliwi. Niebawem nastąpiły marsze dłuższe po samym szczycie stodoły; ten i ów chwiał się, tracił równowagę, odzyskiwał ją znowu, aż młódź w rezultacie nauczyła się chodzić. Dopieroż to radość była, kiedy jednego dnia matka zaczęła na skrzydłach opisywać koło ponad gniazdem. Porwał się wtedy z szumem do góry synek pierworodny i dalejże za matką „a w kółko, a w kółko”. Inne dzieci, widząc że „nie święci garnki lepią”, poszły też w taniec. Nie dosyć jest wznieść się w górę, ale trzeba umieć także opuszczać się na dół i osiadać tam, gdzie potrzeba. Więc pod tym względem bywały przypadki rozliczne; niejeden młodzieniec spadł na strzechę pochyłą i śliską, a matka z góry wołała nań z uśmiechem: „ratuj się sam, jak umiesz”. Przylatywał na takie popisy stary ojciec z łąki; rozlegało się wówczas głośnie klekotanie, opowiadano mu radośnie, co to było. Ale wychowanie nie skończyło się na tym. Dalsze jego części odbywały się na łąkach, które dzieci znały tylko z opowiadania. Tutaj musiały one nauczyć się poznawania różnych sygnałów niebezpieczeństwa; tutaj dowiedziały się, że nie należy uciekać przed krową, koniem, świnia, ale należy strzec się rozpustnego psa. Okrom tego przyszło pozyskać wprawę w łowy różnego rodzaju, czemu towarzyszy, już w gnieździe rozpoczęta, pewna znajomość zoologii; co innego jest żaba, co innego pisklę skowronka, jaszczurka, wąż, salamandra, młody zajaczek itd. Młody bocian musi wiedzieć, czym się ma karmić oraz w jaki sposób, gdzie i kiedy zdobywać sobie kawałek chleba. Są też pewne obrzędy i ceremonie bocianie polegające na modulowaniu głosu podczas klekotania, na przekrzywianiu szyi oraz głowy, trzepotaniu skrzydłami itd. Ważnym nadto i użytecznym przez całe życie jest sposób tępienia pasożytów; a bardzo trudno nauczyć się stać na jednej nodze. Ażeby zaś młodzież nauczyła się kochać i szanować rodzinne gniazdo, musiała do niego regularnie na noc powracać, jakkolwiek samodzielną już ona była. Jeżeli zważymy, że wszelkie wychowanie odbywa się kosztem czasu oraz znacznych wysiłków ze strony wychowawców, to jednocześnie musimy mieć respekt dla fundatorów bocianiego gniazda i przyznać im właściwe pedagogiczne wykształcenie.

To chyba pewna, że energia bocianiego stadła w Dalewicach wychowywała się pod naciskiem życiowych potrzeb oraz jasnej nadziei odrodzenia się w potomstwie. Z tych dwóch źródeł wypłynęły też różne piękne cnoty i inteligencja owych ptaków.

III

Gniazdo słowicze

Tarnina już zakwitła, gdy się rozpoczęły słowicze prace i pieśni. Do Dalewic przybyła para słowików i zajęła się najprzód wyszukaniem dobrego miejsca na gniazdko. Kiedyś tam, jeszcze w błotnym marcu, przypadkiem zapuścił się był koń Makosza pomiędzy wikliny; ślady kopyt jego, zrobione w grząskim podówczas gruncie, dotychczas jeszcze były widzialne, choć je drobna trawka tu i ówdzie pozarastała. Jedno takie odbicie końskiego kopyta było głębsze od innych, a znajdowało się tuż pod krzakiem. Słowicza samka złożyła tutaj pierwsza uschły jakiś listek; przyleciał za nią małżonek i dołożył suche ździebełko trawy; były to więc fundamenty gniazdko. Przyniesiono jeszcze więcej materiałów, podesłano dno i zaczęto budować boki; oboje to dziobkiem, to nóżkami splatali i przeplatali źdźbła, łączyli je ze sobą, naginali, wyrównywali, aż wreszcie stanęły ścianki słowiczego gniazda. Ale było ono niekształtne i wewnątrz bardzo nierówne, więc wstąpił w nie samczyk, stanął na podstawie i począł się wkoło obracać; obrócił się kilka razy całym ciałem w jedną stronę; obroty takie nadały kształt gniazdku i pokazało się przy tym, że niektóre pręciki oraz ździebełka nie są na swoim miejscu; samczyk przeto powyciągał je, poprzycinał dziobkiem, dopasował. Po nim z kolei teraz weszła w gniazdko samiczka i mogła się już w nim obracać bardzo swobodnie. Oboje ptaszki zatem wydali głos radosny, porwali się na skrzydełka i polecili między olchy a wikliny; szukali oni skrzętnie po ziemi oraz po drzewach, zbierali kawałeczki mchów, znosili je i wyściełali nimi dno jako też boki gniazdko. I znowu kolejno jedno po drugim wchodziło w gniazdko, przysiadowało tutaj, obracało się dokoła, a gniazdko stawało się gładkie i wklęsłość jego nabierała okrągłości dokładnej. Do mchów dołączono kawałki końskiego włosienia, sierści bydlęcej, a także włosów ludzkich oraz nieco szczeciny; to wszystko bystre i baczne oczka słowiczej pary umiały znaleźć już to w sadzie, już w ogrodzie lub nad rzeką. Samczyk był tak śmiały, że rankiem puszczał się na podwórko Makoszowej chaty i zwykle powracał stamtąd zaopatrzone obficie w materiał potrzebny do budowy.

Gniazdko było już mocne, trwałe, sprężyste, należycie zestawione i pozszywane, ale nie było jeszcze w nim miękko. W takim mieszkaniu nader ważne i potrzebne są poduszki oraz materace. Okwitały właśnie na podręczu wierzby, a przy drodze topole; wiatr roznosił puch ich kotkowych kwiatów; znajdowały

też słowiki drobne puszkę pierza uronionego przez rozmaite ptactwo, a za rzeką na łące trafiały się i cząsteczki zajęczego futra. Wszystko to, jedno za drugim, przeniesione zostało do gniazdka, a nadto samiczka oddała nieco puchu z własnej piersi. Nareszcie skończyła się budowa tej chaty w swoim rodzaju; gniazdo posiadało nie tylko odpowiednią moc, ale było bardzo wygodne także, było nawet piękne. Zadowolone ptaszyny powiedziały sobie chyba coś niezmiernie przyjemnego; może ona błysnęła ku niemu uszczęśliwionym oczkiem, bo oto wzleciał w górę, usiadł na gałęzce olszyny i zaczął śpiewać piosenkę, którąśmy w nocy słyszeli. Gniazdko poczęło się teraz napełniać jajkami; dopóki w nim było jedno jajko, dwa trzy, samiczka się oddalała w gąszcze, chwytając muszki, uganiała się za komarami, pilnie za to nocą przesiadując na gniazdku. Kiedy już było jajek cztery i pięć, nie opuszczała gniazdka całymi dniami i nocą, chyba na maleńką chwilę, aby w strumieniu ugasić pragnienie. Mąż znosił jej pożywienie. Zresztą, coś ją do gniazdka wiązało, było jej tam dobrze i przyjemnie. Na pobliskiej gałęzce małżonek przesiadując rozmawiał z nią tak serdecznie. Rozumiała ona dobrze tę piękną, wyśpiwywaną rozmowę i wsłuchiwała się w nią, i przesiadywała cierpliwie. Po kilkunastu dniach jedno jajko poruszyło się pod nią; usłyszała jednocześnie cieniuchny głosik, podniosła się więc i zobaczyła swego pierworodnego. Powstała wtedy z gniazdka, wskoczyła na jego ściankę, wybierała starannie skorupki jajka, powyrzucała je, przyjrzała się maleńkiemu dziecku, dotknęła go lekko dziobkiem i krzyknęła jako uszczęśliwiona matka. Wnet też z olszynowej gałęzki sfrunął samczyk i on także popatrzył na jedynaka, i on wydał z piersi głos radości. Potem prędko już posypały się słowicze dzieci; zaczęły one wołać: „jeść, jeść”, a nowe trudy rozpoczęły się dla rodziców. Ileż tu bywało radosnego pisku, kiedy dziatwa spostrzegła przylatującą matkę z komarem albo chrząszczem w dziobie! Na wyścigi podnosiły gołe główki, rozwijały nagie skrzydełka, otwierały żółte dziobki, wytrzeszczały czarne oczka. Wykarcić pięcioro dzieci, to bardzo trudno! Trzeba było sprawiedliwie obdzielać porcjami, aby które z głodu nie umarło; matka umiała wybornie rozróżniać każdą główkę. Przy tym wtargnęły nieraz do gniazda mrówki i zaczęły malcom dokuczać w sposób bardzo dotkliwy; więc nowa praca, nowe kłopoty; mrówki należało pilnie wybierać, powyrzucać, lub pozabijać i pozjadać. Oprócz tego troskę nie małą w tej rodzinie stanowiły dla matki chłodne a mgliste wieczory oraz poranki; mogło się łatwo które dziecko w czasie pierwszej młodości zaziębić i zamrzeć. Jednakże na wszystko jakoś była szybka i dobra rada.

IV Gniazdo ludzkie

Walenty Makosz był energicznym człowiekiem i w tym spoczywała tajemnica jego dobrobytu. Na dziesięciu morgach ornej ziemi zawsze wcześniej zorał, wcześniej i dobrze obsiał, miewał też śliczne grochy, piękne jęczmiona, dostatek ziemniaków oraz kapusty; żyta miewał tyle, że nie tylko wystarczało na własne potrzeby i do siewu, ale jeszcze od czasu do czasu sprzedawał je miarkami we wsi lub ćwierciami wywoził na jarmarki do Koszyc. Nigdy się nie obdłużył ani w karczmie, ani u sąsiada. Kiedy w domu nie było roboty, wynajmował się z końmi oraz z wozem na furmanki pod zboże, które kupcy działoszyccy zwykli dostawiać na komorę Baran. Makoszowa też dobrała się ze swoim chłopem. Ona sama jedna w chacie, w oborze i ogrodzie dawała radę wszystkiemu. Dwie krowy wyglądały jakby ułał. Po rocznej jałowicy kropla wody stoczyłaby się bez zatrzymania. Małe cielątko w gródzy podskakiwało ucieszenie, bo mu ptasiego mleka nie zabrakło. Tłusta samorka i para dorosłych wieprzaków nigdy nikomu nie zrobiły szkody, bo je gospodyni po nakarmieniu zawsze we właściwym czasie zamykała w chlewiku na kolek. Ona to brzegi pola obsadzała grochem piechotnym, zasiewała w kartoflach bób, słoneczniki lub konopie, a w ogrodzie – mak i kukurydzę między burakami, marchwią, ogórkami i dyniami. Ona miewała zawsze na sprzedaż pierze gęsie, jajka, masło oraz sery. Ona i mężowi pomogła w polu siać, w stodole skręcać powrósła, rznąć sieczkę, wiać ziarno; a w potrzebie i konie wypędziła na pastwisko, zakładała im siano za drabinę lub zasypywała sieczkę do żłobu. Oboje bez cudzej pomocy zbierali wszystkie plony, oboje się czynnie krzątali w domu, w sadzie, na ogrodzie, w polu. Makoszowa wyrywała konopie, moczyła je, suszyła, międliła, cesała, potem z nich przędła nici przez zimę; przędzę własną zanosila do tkacza, a zrobione płótno odmierzała, bielila, zwijała je i szyła z niego różne szmaty dla męża, dla siebie oraz dla dzieci. On znowu strugał obręcze, robił miotły, reperował wóz, pługi, zakładał żerdzie około chaty. Na wiosnę Makosz naprawiał w polu rowy i przykopy, robił strachy na wróble, poszywał strzechę na chacie, na stodole, poprawiał ule w sadzie.

Dzieci było troje, drugie tyle zaś zmarło. Najmłodszy chłopak, Jędrus, dopiero sześć kwartałów liczył; był wesoły, pulchny, rumiany, przyodziany zawsze czysto i nakarmiony obficie piersią matki; na dużej głowie miał różnokolorowy czepeczek; ciało jego zapowiadało krzepką budowę ojca; oczy miał siwe, nogi grube, tłuste, świecące, podobnież i ręce. Dwoje starszych dzieci należało do płci pięknej. Marysia miała dziesiąty rok życia, a Basia piąty. Marysia stanowiła dla matki już dużą wyrękę, zwłaszcza też w opiece nad młodszym rodzeństwem. Była to ładna i fertyczna dziewczuszka, która po izbie uwijała się jak fruczka. Ludzie mówili, że z latami nabierała coraz więcej podobieństwa do matki. Matka zaś w swoim czasie była najpiękniejszą dziewczką w Dalewicach. Piękności

ludowe mają inny charakter niż piękności salonowe; a przynajmniej nie należy tu piękności niewieściej szukać w przezroczyści i gładkości skóry, przez którą przegląda niebieska siatka żyłek. Nie istnieją też wśród ludu dziewice o spojrzaniach omdlewających i przeszywających, chyba że pochodzenie wynikało z interwencji klas wyższych. Makoszowa nie wychowała się w powietrzu zamkniętym przez cztery ściany a ogrzewanym przez piece kaflowe w zimie; nie oświecały jej też nigdy jarzące światła balowych wieczorów. Wielka pochodnia wszechświata, słońce, wyrabiało jej cerę i łącznie z całą atmosferą ziemi pracowało nad wytworzeniem się jej sił oraz sformowaniem rysów twarzy. Kiedy była rażą, osiemnastoletnią dziewczyną, nie była podobna do mrówki jakby przeciętej w pasie, ale miała kibić odpowiednią do kształtnie sformowanych bark, rąk oraz nóg i głowy. Żadne więzy sznurówek, staników, trzewików ciasnych i na wysokich korkach nie krępowały swobodnego ciała naturalnie wiotkiej dziewczyny. Jej głos nie miał pieszczotliwego dźwięku, uprawianego tak troskliwie w salonowej, pełnej kokieterii, sztucznej paplaninie, lecz przeznaczony był do brzmienia wśród łąk i pól, aby harmonijnie odpowiadał głosom całej przyrody i wyrażał sobą szczerą prawdę. Głos ten nie jęczał ani piszczał, ale brzmiał pełno, niewiele różniąc się od męskiego; był to pełen wdzięku kontralt, przeznaczony do wtórowania tenorowi.

Osiemnastoletnia podówczas Magdusia nosiła pełny warkocz, który przy samej głowie zaledwie ręką objąć zdołała. Był to suty splot włosów płowych, których barwa przypominała już to konopie, już korę gruszy, mieniąc się jak nici stalowe. Twarz miała pełną, pociągłą, śniadą; nad jagodami warg wznosił się zgrabny nosek, komunikujący się w pięknej linii z dwoma wyrazistymi łukami ciemnych brwi. Gdy uśmiech około ust żywo zaigrał, zdawało się, że jak błyskawica po owej linii wzlatywał do oczu i czoła. A oczy były rozumne, pełne wyrazu, miały barwę ciemnoszarą, patrzyły w świat śmiało, wyrażały to, co widziały: prawdę; przebijała w nich pełnia wewnętrznego życia. Co prawda, Magdusia nie miała białych rączek oraz alabastrowych ramion; ale energicznie wypełniona jej ręka była prawdziwą ludzką ręką, która posiadała władzę i siłę wykonania czegoś na świecie. Wyrażając się dobitniej powiemy iż była to ręka kobiety wyemancypowanej do pracy. Emancypacja zaś niewiasty wieśniaczej nastąpiła znacznie wcześniej, nim zaczęto drukować rozprawy i dzieła o prawach kobiety. Magdusia wyszedłszy za mąż o prawach swoich nie powątpiewała na chwilę, ani jej też małżonek nie zaprzeczał nigdy praw do wspólnej pracy.

W życiu wieśniaczym, wśród bezpośredniego obcowania z przyrodą, ma miejsce nieustanna eliminacja organizmów słabych i nieudolnych. Kto nie może znieść mrozów, upałów, soty, pracy, niedostatku, cierpień fizycznych i moralnych, ten nie ma szansy przekazania swego niedołęstwa na potomków. Lada choroba dzięsiątkuje tu ludność, a głównie wymierają po chatach dzieci słabowite. Sztuka atoli umie utrzymać przy życiu istoty słabe po różnych cieplarniach. Istoty takie płodzą ludzi wątpliwych, zdenerwowanych, którzy jeśli nie skoń-

czą na samobójstwie, przekazują stan chorobliwy dalszym jeszcze pokoleniom. Samobójstwo w takich razach podstawia się jako potęga eliminująca. Któż wie, czy można bezkarnie zapanować, choćby na krótko, nad prawami życia i śmierci? Jeżeli sztuka ocaliła organizm dziada lub ojca, to we wnuku może odezwie się rozpacz, która się targnie na własne życie; a może wnuk ten obdarzy świat nowymi cierpieniami, jakie dotąd nie były znane.

Rodzice Magdusi utracili czworo dzieci; pozostała ona tylko, najmłodsza córka; na nią też spadł cały ich majątek, który w niej znalazł energiczną opiekunkę. Rola potrzebuje dzielnych ludzi. Aby się utrzymać na kawałku ziemi, trzeba umieć i być zdolnym pracować w upały, słoty, na zimnie. Nie przez to ktoś jest rolnikiem, że sobie zakupił kawałek ziemi, ale że się z tą ziemią zróśł ciałem i duszą.

Bez długich romansów zawiązał się stosunek małżeński pomiędzy Magdusią a Walkiem Makoszem, parobkiem z wsi sąsiedniej. Ona miała lat osiemnaście, umiała żąć, grabić, kopać, wiązać snopy, pleć w ogrodzie, doić krowy, prząść, międlić, piec chleb, przy tym tańczyć i śpiewać. On miał lat dwadzieścia cztery, umiał wykonywać wszystkie czynności, jak przystało na dzielnego chłopca. Zresztą z pracowitości swojej był znany; bydłociu też nigdy krzywdy nie zrobił, wolał raczej sam nie dojeść i nie dopić. Dla żony i dla dzieci był delikatny, choć umiał i rozkazywać jak patriarcha; był to szlachetny, powiem, rycerski charakter. niesprawiedliwość go oburzała, a cudza niedola pobudzała do współczucia. Jakkolwiek oboje ci ludzie pracowali bardzo ciężko, aby wyżyć na kawałku ziemi, nie byli jednak skąpi. Uprawiali też w sobie uczucie zwane ambicją, dzięki czemu przy drodze we wsi wznosiła się figura postawiona ich kosztem, a nosząca napis: „Walenty i Magdalena Makoszowie Najwyższemu Panu ten krzyż wystawili dnia 3 sierpnia 1868 r.”.

W czasie, do którego się odnosi to opowiadanie, Walenty ma lat czterdzieści, żona jego trzydzieści cztery. Jest to mężczyzna rosły, barczysty, brunet z piękną czupryną, która mu spada na czoło. Rysy twarzy piękne, poważne, można by po nich oczekiwać zaciętości i uporu; a jednak gdy Makosz mówić zacznie, zobowiązuje słowem, pokazuje się wtedy jego łagodność, prostoduszność, szczerłość i skromność. Trudno byłoby znaleźć piękniejszą powierzchowność chłopca. Ubierał on się wykwintnie w porównaniu z innymi mieszkańcami Dalewic. Na głowie nosił czarny kapelusz wysoki, opasany szeroką, także czarną przepaską, ujętą w mosiężną klamrę; ciało oblekała zawsze czysta, gruba, konopna, dobrze wybielona koszula, związana na szyi czerwoną tasiemką; na wierzch zarzucał białą sukmanę, wyszywaną czarnym sznurkiem na kołnierzu, po brzegach, na połach i około kieszeni; buty z cholewami na wierzchu, jak to bywa zwykle w stroju ludowym. W święto i w podróży Makosz przepasywał biodra szerokim rzemiennym pasem. Palił tytoń z białej fajki, porcelanki, na której wymalowany był strzelec z psem. Wódkę pijał, ale rzadko kiedy się podchmielił, miał bowiem mocną głowę.



Bocian biały (*Ciconia ciconia*)



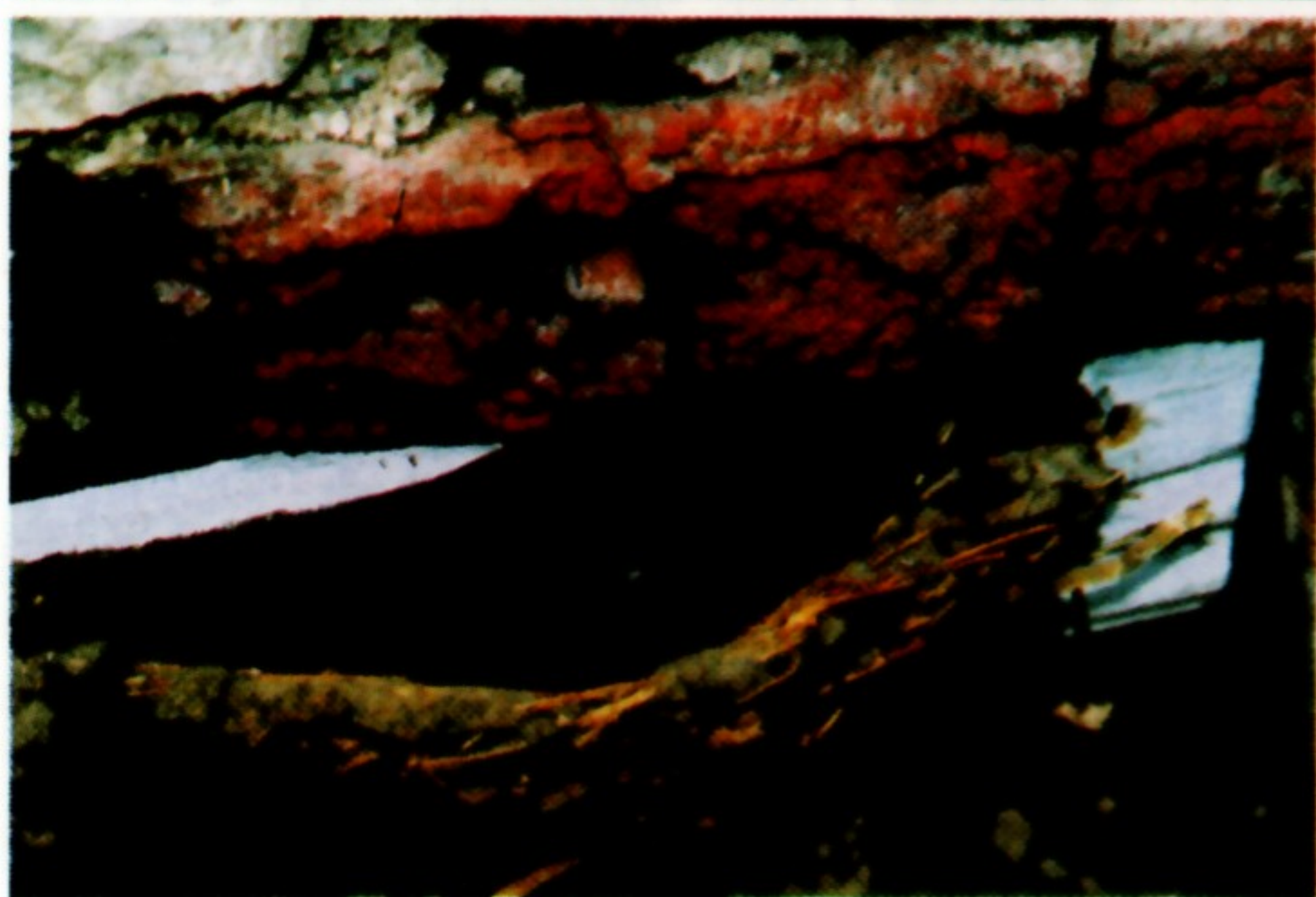
Łąki nad Radomką



Polny wiatr



Kuropatwy (*Perdix perdix*)



Jaskółka dymówka
(*Hirundo rustica*)



Gniazdo z jajami jaskółki dymówki

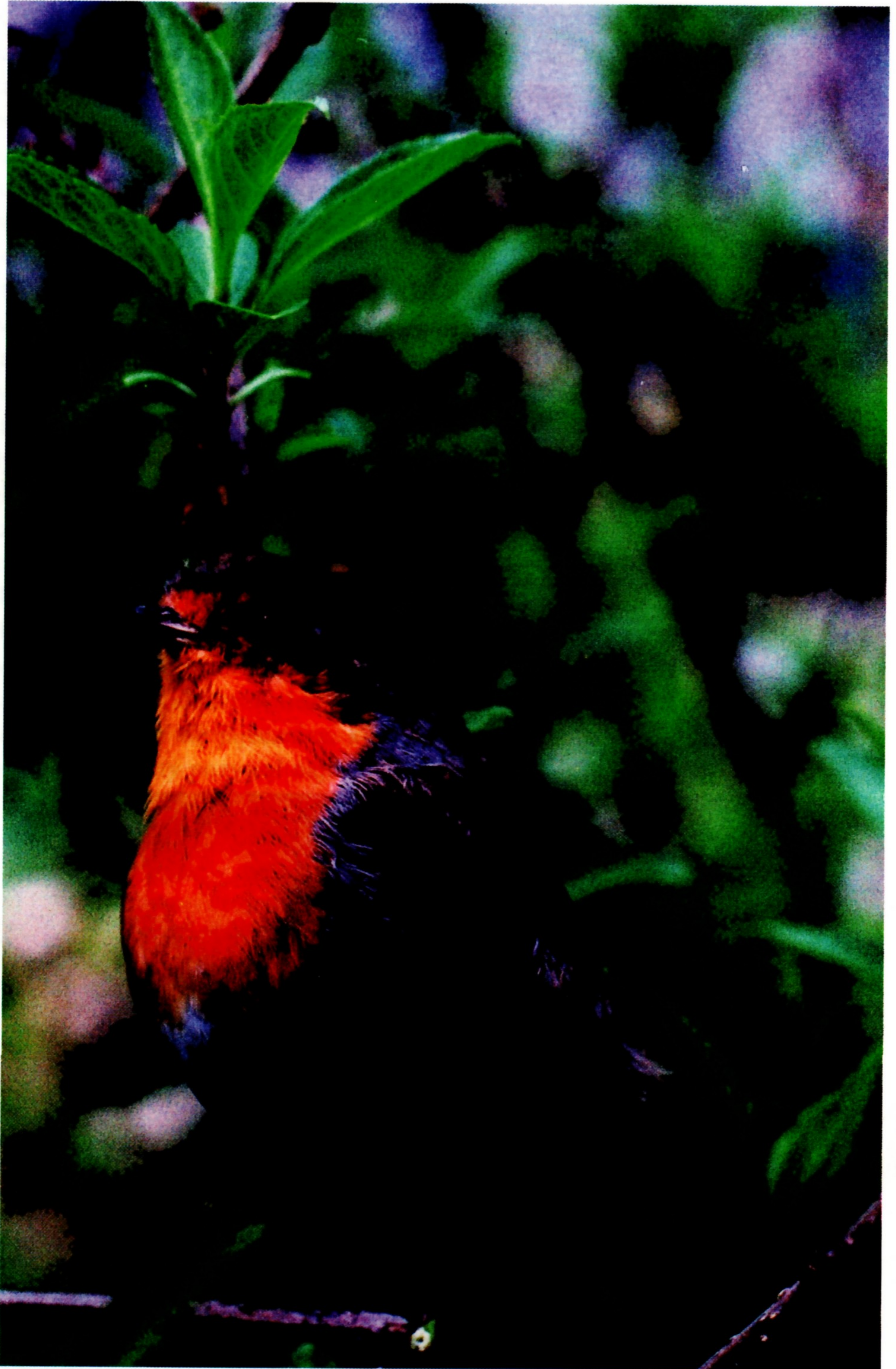
Iłżanka w Gozdzienicach



Kwitnąca łąka w Goryniu nad Radomką



Gniazdo rudzika



Rudzik (*Erithacus rubecula*)

Jaskółka brzegówka (*Riparia riparia*).
Gniazda w skarpie jaru



Wisła koło Solca

Rano wstawał o świcie razem z żoną; jeżeli się wybierał w pole, brał do kieszeni kawałek czarnego chleba z serem lub bryndzą i w polu śniadał. Czasem zaś żona warzyła mu żur oraz kartofle i albo sama zanosila to na zagon, albo posyłała przez Marysię, która w takich razach zjadała po ojcu resztki zostawione w dwojakach. Podług cienia na ziemi orientował się Makosz co do południa. Kiedy zjadał sam śniadanie, miał też kłaczek siana i dla koni, jeżeli w polu radlił, orał lub bronował; zawsze więc, wyjeżdżając w pole, brał ze sobą wiązkę siana. O samym południu zjeżdżał z pola, wprowadzał konie do stajni w uprzęży, zarzuciwszy im tylko na grzbiet postronki; po czym dostawał od swojej Magdy obiad na misce, do której też zasiadały Marysia i Basia. Jadano przy jednym stole, a raczej przy jednym pniaku, gdyż był to krótki, walcowaty pień grubego drzewa, który Magdalena wytaczała na środek izby, stawiając na nim misę i kładąc obok misy trzy drewniane łyżki. Sama gospodyni krzątała się nieustannie i obiadowała wtedy dopiero, kiedy już rodzina głód swój zaspokoila. Zwykłymi potrawami, które figurowały w domu Makoszków na owym pniaku, były: żur z chlebem, ziemniakami lub z grochem, bób, kapusta z grochem lub z kartoflami, groch albo kasza ze szperką, to jest ze skórką od słoniny, zacierka na wodzie, rzadkie kartofle, prażuchy kraszone słoniną a w poście olejem; czasami na obiad musiała wystarczyć jedna potrawa, zwykle dwie jednak bywały. Rzadko kiedy występowała kasza jaglana lub zacierka z mlekiem, również żur na króliku lub na innym mięsie; a bardzo rzadko zjawiała się jajecznicą, kiełbasa, kiszka, mięso wędzone. Te ostatnie potrawy Walenty pożywał najczęściej wybierając się w drogę albo przy ciężkiej pracy w czasie żniw. Latem na misie nierzadko bywała bżówka (zupa z jagód bzu czarnego) albo garus ze śliwek, w czym osobliwie dzieci gustowały, podobnie jak w dyni podprawionej mlekiem. Szczególny przysmak podczas upałów żniwowych stanowiły ogórki kwaszone z koprem, które Walenty zjadał z chlebem, popijając kwasem. Tak zwana jużyna składała się też z którejkolwiek z powyżej wymienionych potraw albo stanowiła ją maślanka, mleko kwaśne z chlebem lub podplomykiem.

Pokarmy tego rodzaju mniej odpowiadają wymaganiom szanownych naszych smakoszy, nie możemy jednak z pewnością twierdzić, aby utrzymywały zdrowie oraz energię w tym samym stopniu, jak to miało miejsce w Dalewicach. Nie możemy tego twierdzić nawet wobec zapewnień znakomitych autorów, że „najdzielniejszymi narodami są te, które się najlepiej żywią”. Bo przecież nie można tego zastosować do pasibrzuchów uganiających się za frykasami. Dla nas wieśniacza mierność stanowi już wysoką cnotę. Jakże mało tu potrzeba, aby zadowolnić człowieka. Nieco mąki z kukurydzy, dodanej do chleba lub do prażuchy, sprawia zadowolenie podniebieniu takie samo co ostendzka ostryga, homar albo żółwia zupa.

Szczególnie dobrze odżywianym w chacie Makoszków był mały Jędrus; ten pieszczoł nie tylko troskliwie wysączał pierś matki, do której z daleka się uśmiechał szeroko roztwierając usta, ale nadto, parę razy na dzień, otrzymywał jeszcze mały garnuszek mleka, z którego rzadko kiedy pozostało tyle, aby się i Basia pożywić mogła. Malec wylegiwał się w kołysce drewnianej, sprawiającej dużo huku w izbie podczas kołysania. Miał on tu posłanko ze świeżego siana, w którym przebierał i grzebał tłustymi nóżkami, uścielając sobie w ten sposób istne gniazdko, skopując płócienne podeście, co także czynił i z matusiną chustką, którą go z wierzchu nakrywano. Kiedy zasypiał, Marysia opędzała go przed muchami gałązką wierzby.

Oprócz powyżej opisanych mieszkańców w naszej chacie przychodzi jeszcze wymienić psa Obal, który był nie tylko pilnym strażnikiem całej chudoby Makoszków, ale także towarzystwem starszych i ulubieńcem dzieci. Był to duży, pospolity kundys, z łatami białymi i czarnymi, z ogonem zakręconym na lewo oraz jednym uchem ku dołowi opuszczonym więcej niż drugie. W starej skorupie ze stłuczonego garnka dawała mu Makoszowa resztki obiadu, dolewając wody i dorzucając kawałków chleba, za co Obal był jej nieskończenie obowiązany, okazywał nadzwyczajną wierność i posłuszeństwo bez granic. Biegał on w pole, gdy Walenty wyjeżdżał orać, a położywszy się na miedzy śledził troskliwie każdy krok gospodarza i koni. Miał też nieraz ochotę pobiec w podróż za wozem, ale gdy usłyszał donośny głos Makosza: „Obal do domu!”, spuszczał ogon i wracał na swój posterunek. Makoszowej także towarzyszył chętnie, gdy szła do strugi prac obleczenie albo na błonie rozkładać płótno, aby się bielilo, gdy wyruszała w pole ukopać kartofli itd. Było to dobre psisko. Wyciągał ku niemu rączki z kołyski Jędrus i śmiał się do niego, przebierając nogami; Obal też podchodził wtedy do kołyski, merdał ogonem radośnie i niekiedy liznął chłopaka po tłuszczykach udach.

Była w domu istota, której Obal nie lubił i którą prześladował, był to bury kot, który właściwie nie miał nazwiska, ale dzieci wołały na niego: „Kizia”, a Walentowa, gdy go przyzywała, wołała: „kici, kici”; sam gospodarz nie miał z nim nigdy do czynienia, jednak podczas obiadu rzucił mu czasem na ziemię jaki ochłap. Kot bowiem tak się przyuczył obserwować uroczystą porę obiadową, iż zawsze się wtedy właśnie znalazł przy pniaku, naturalnie, jeśli tu stanowiska nie zajął Obal, który w takim razie nieustannie się oblizywał, a każdą łyżkę Makosza odprowadzał wzrokiem od miski aż do ust. Jeżeli zaś kot towarzyszył obiadowi, to zadzierał ogon do góry, chodził dokoła, obcierając się to o nogi gospodarza, to o Marysię, a czasami wskakiwał do Basi na podolek. Kizia przepędzał zwyczajnie cały dzień w chlebowym piecu albo na polepie, gdzie drzemała, a wyruszał dopiero będąc wezwanym lub też puszczając się wieczorem na łowy, choć częstokroć późno w noc się zadrzemał. Miauczał on zawsze cicho i jakby półgębkiem; gdy spał, mrucał i często

przypalał sobie węglami futro. Niekiedy dostawał się do kołyski Jędrusia i układał się w nogach, a chłopiec kopał cierpliwego kota, czując coś przyjemnie miękkiego pod swymi stopami. Kizia z tym wszystkim był znakomitym łowcą na myszy, co zapewne pochodziło stąd, iż Makoszowa miała swoją teorię, aby kotu mało jeść dawać, a wtedy będzie on zawzięcie prześladował myszy w całym domu. Gdy Kizi zabrakło łupu w izbie oraz w komorze, puszczał się na polowanie do stodoły, ale starano się w ogóle, aby go nie wpuszczać do krów, gdzie króliki miały swoje kryjówki; zdarzyło się bowiem jednego razu, że kot dopuścił się zbrodni morderstwa na młodziutkim, czarnym królikowiczu wzięwszy go zapewne za szczura. Walentowa ukarała za to zbrodniarza przykładnie patykiem; po czym morderstwa na istotach ludziom pożytecznych jakoś się już nie powtarzały. Oprócz powyżej wspomnianych terytoriów, pole działalności Kizi rozciągało się także do sąsiednich stodół i chat, a przynajmniej do strychów nad chatami. Kot ten nie miał w ogóle względów u sąsiadów Makosza, miał bowiem reputację szkodnika. Pochodziło to zaś stąd, iż pewnej nocy przed Wielkanocą zakradł się był do komina i nadwerężył mocno kiełbasę przeznaczoną na pokarm dla pobożnych. Latem puszczał on się do sadu, czatował nocami około uli, biegał nad strugę, rekognoskował* wikliny i częstokroć ze znacznym powodzeniem. Pod strzechą łowił zręcznie wróble, które tu pod dachem szukały noclegu, wybierał im i zjadał pisklęta. Wlazłszy na stodołę dostawał się pod spód bocianiego gniazda, gdzie także wróble założyły sobie kolonię pod egidą silnego i szanowanego ptaka. Tutaj Kazio musiał się mieć na baczności, bo długi a mocny dziób matki i pani gniazda mógł go przyprawić nie tylko o niepowodzenie w łowach, ale nawet o znaczne szwanki na zdrowiu.

Obał miał wstręt do tego mordercy żywych stworzeń i często słyhać było około chaty tętent psa w pogoni za kotem, który znał się już wyśmienicie na metodzie prowadzenia tej nieustannie trwającej wojny partyzanckiej. W Dalewicach były koty, co żyły w najlepszych stosunkach ze swoimi współmieszkańcami psami i także mogły się latem wylegiwać na progu, przed chatą, lub na pogródkach. Bury Kizia nie zaznał szczęścia tego rodzaju. Jeśli mu się w dzień zachciało drzemać na świeżym powietrzu i do słońca, to mógł sobie tej rozkoszy pozwolić jedynie na strzesze. Tu atoli nie znajdował bezwzględniego spokoju. Skoro go tylko bowiem ujrzały trzęsiogonki, pliszki a jaskółki, narobiły zaraz takiego wrzasku, że Obał powstawał z legowiska, spoglądał na strzechę, a widząc tu Kizię czekał natarczywie. Wówczas, choć to wszystko były strachy na lachy, kocina jednak stawał się tchórzem i chcąc nie chcąc, niby to dla świętego spokoju, wlaził w dymnik i musiał już pod dachem poszukiwać wytchnienia. Rozmaite tedy okoliczności, nie mówiąc już o naturze, pędziły kota do prowadzenia nocnego sposobu życia. Nawet i wieczorem oraz

* Rekognoskował – przepatrywał, badał (przyp. wyd.).

nocą musiał Kizia bardzo ostrożnie puszczać się na wycieczki w pole, bo jeśli tylko cień jego mignął czujnemu Obalowi przed oczyma, natychmiast puszczał on się jak strzała za kotem. Stawał się wtedy wielki szum, zgiełk i chrzęst w kukurydzy, kapuście, kartoflach i maku; kot zmykał w najwyższym przerażeniu, poszukując jakiego wynioślejszego, pionowego przedmiotu, aby już z wysokości pewnej można było zadrwić z rzucającego się Obala. Ta pogoń odbywała się nieraz na znacznej przestrzeni, aż do olszyn nad rzekę. Gdyby zaś, czego Boże broń, pies dostrzegł był kota w szczerym polu, wtedy stoczenie zaciętej walki musiałyby nieuchronnie nastąpić.

Ponieważ każdy skutek ma swoją przyczynę, więc i owa zawzięta nienawiść psa do kota bez przyczyny nie była. Mianowicie zaś wrogi ten stosunek datował się od pewnego zajścia, kiedy Kizia, z lekka napadniętym będąc po raz pierwszy przez Obala, wymierzył łapą tak energiczny policzek psu, iż ten ostatni, już z powodu zniewagi, już przez pamięć doznanego bólu w miejscu dla siebie dotkliwym, postanowił mścić się na kocie aż do końca życia.

Takim było gniazdo ludzkie, chata Walentego i Magdaleny. Było w nim dobrze, podobnie jak w gnieździe bocianim lub słowiczym. Ale dobrze i przyjemnie w gniazdach jest tym tylko, którzy pracują. Bez pracy nie ma gniazd, nie ma szczęścia i nieszczęścia, jest bezbarwność. Ziemia cała to wielkie gniazdo pracowitych istot, a i ona zapewne należy do jakiegoś większego jeszcze od siebie gniazda. W Dalewicach zdarzały się i srogie klęski; bywały pomory na ludzi i na zwierzęta; struga, choć mała, wzbierała nieraz potężnie, zalewając pola oraz łąki; wybuchały pożary, pochłaniające długoletnią pracę ludzką; przychodziły lata nieurodzajne i ludzie wtedy karmili się chwastem, cierpieli. To wszystko jednak przechodziło i bywało znowu lepiej.

V

Zniszczenie gniazd

1

Było to w roku 1878; świąteczny dzień 27 maja przyniósł dla Dalewic wielką klęskę. Po nabożeństwie powrócił Makosz do domu z parafii. Od samego rana zanosilo się na jakąś slotę, słońce przypiekało silnie, a na niebie widniały najprzód strzępate chmurki, z których starzy gospodarze przepowiadali ulewę. Deszcz był potrzebny w polu, bo susza panowała już za długo i plody polne zostały przypalone. Ku zachodowi przeto zwracały się oczy wszystkich mieszkańców Dalewic, oczekując stamtąd przybycia deszczu; a zachód przedstawiał się tym razem obiecująco.

Nie wytrzyma do wieczora – mówili niecierpliwi.

– Jeśli nie we dnie, to w nocy lunie ulewa – powtarzali inni.

Niektórzy znowu twierdzili, że:

– Może się odwlecze do jutra i dłużej nawet.

Po obiedzie Makosz rozesał sobie sukmanę w sadzie i zasnął, a w pobliżu niego zasnął także i Obal. Chmury zaczęły się szybko gromadzić i niebo się poczerńilo na zachodzie. Na ziemi panowała jakaś powaga spokoju, nie było znać ruchu; każdy oczekiwał, co się stanie. Olchy posępnie odbijały swą postać ciemną w zwierciadle strumienia. Niebo obłóczyło się ponuro. Tylko woń roślinności rozlewała się w powietrzu. Przepiórki w pobliskich i dalekich polach wywoływały swoją jednostajną zwrotkę. Derkacze zdwoiły periodycznie powtarzane, systematyczne krzyki. Na skraju widnokregu chmury zdawały się kłębić i mieszać jedna z drugą. Były one szare, bure, czarne, a przebijała też między nimi i barwa żółtawa. Wśród tej masy wijącej się, piętrzącej w dziwne kształty jak potwory z mitologii indyjskiej, posuwającej się opieszale, coraz wyżej na sklepieniu niebios, przelatywał niekiedy złoty wąż błyskawicy. Wewnątrz chmur wrzało. Rozlegał się huk głuchy i ciężki. Nareszcie powiał wiatr chłodny. Dał się słyszeć przeciągły szum drzew po sadach i olch nad strumieniem. Woda pokryła się drżącymi falami. Awangarda chmur przybyła. Wiatr wzmógł się nagle i słychać było na wszystkie strony, jak trzaskają drzwi chat oraz stodoł nie pozamykanych. Na strzesze, tu i ówdzie skręcił się źle poszyty snopek. Po drodze i w podwórkach wiatr porywał kawałki powróseł, źdźbła, mieszał je z pyłem, kręcił i unosił w górę wirowym ruchem diabelskiego tańca. Bocian z łąki przyleciał do dzieci na stodołę. Gęsi zbiły się w kupkę, przekrzywiły główki patrząc w górę jednym okiem.

Kiedy się Makosz przebudził, wtedy już pierwsze grube krople deszczem spadły na ziemię, a kury ze wszystkich stron uciekały pod okap dachu, gdzie przystały wyprostowane w szeregu. Wybiegła Makoszowa z chaty a za nią Marysia i zaczęły zbierać po płocie szmaty i pierzyny. Rozległ się trzask gromu, potem deszcz lunął jak z cebra. Na strudze ukazały się gęste bańki. „Będzie rosło od tego deszczu” – mówili gospodarze i gospodynie. Od czasu do czasu spadła kulka gradu. Ukazała się błyskawica, a w ślad za nią rozległ się huk i trzask gwałtowny, jakby się stropy niebios waliły. „Gdzieś blisko trzasło” – rzekła Marysia, a Makoszowa pochyliła się właśnie szepcząc: „Wszelki Duch Pana Boga chwali”. Teraz posypał się gęsty grad. Bił silnie o ziemię, o drzewa, płoty, odbijał się i podskakiwał jak piłki; w powietrzu panował chrzęst, szum i stuk. Niebo tymi lodowatymi łzami zdawało się uragać człowiekowi i szydzić z niego. Już się zdawało, że wszystko przycicha, tymczasem po chwili grad znowu z podwójną obfitością bił, szumiał i chrzęścił. Bocian stoicznie siedział na gnieździe, nakrywszy dziatwę własnym ciałem. Makoszowa pozdejmowała ze ściany obrazki; w progu sieni ustawiła Matkę Boską Częstochowską, w jednym oknie Pana Jezusa, w drugim św. Antoniego Padewskiego. Obrazy okazały się bezsilne wobec grzmotów, gradu oraz błyskawic.

– Co się tam dzieje w polu z kartoflami i grochem. Wszystko pójdzie na nic – mówiła przerażona Walentowa.

– Taki grad nie tylko że w polu wszystko zniszczy, ale i gałęzie na drzewach połamie – odparł smutnie, ale spokojnie Makosz.

– O, ratujże nas też, Przenajświętsza Panienko! – wołała Makoszowa, nie mogąc się już powstrzymać dłużej od głośnego łkania, które posępnie rozlegało się po izbie i jak zaraza w mgnieniu oka udzieliło się Marysi oraz Basi. Zapłakały obie dziewczeczki rzewnymi łzami, a słysząc to mały Jędrus zaczął im także głośno wtórować z kołyski. Walenty smutnym okiem powiódł po rodzinie i wyszedł z chaty. Gruba warstwa kawałków lodu leżała na ziemi, wolno topniejąc. Były to kulki wielkości orzechów laskowych, były i większe jeszcze – tyle co jajka gołębie. Makosz poszedł do sadu; tu pod drzewami leżały obtracone gałązki, masa liści oraz drobnego, zielonego owocu. Walenty przechodził jakby skamieniały wśród tej zniszczonej pracy swojej; podnosił z ziemi grad, to owoce, oglądał, ale to mu bynajmniej nie ulżyło w ciężkim strapieniu. Obal zdawał się także smutno przyglądać klęsce. Z sadu podążył Makosz do ogrodu, gdzie zniszczenie przedstawiło mu się gorzej jeszcze. Wszelki plon leżał tu zgnieciony, połamany, zmięty i gradem przykryty. Z górki można było rzucić okiem na łąkę oraz pola za rzeczką, na której wezbrana woda zniosła kładkę. Niwy całe przedstawiały się z daleka bardzo smutnie, jakby po żniwach. Grad przyniósł stanowczą klęskę.

Resztki deszczu sączyły się jeszcze; zachód się wypogadzał; na wschodzie ryczała i czerniła się ta sama burza, która co tylko przeszła przez Dalewice. Ze wzgórz pędziła w potokach woda żółtawo zabarwiona szumiąc i przepelniając strugę, która, nieprzygotowana na takie obfite zasoby, rozlewała się po łące i po dolnych częściach ogrodów. Niedawno jeszcze tak spokojny strumień pokrył się teraz pianą oraz szczątkami zielonych gałązek, ździebeł, łodyg, kwiatów itd., a rwał w biegu bystro jakby wielki potok górski.

Z każdej chaty wychodzili gospodarze, aby na własne oczy zobaczyć straszną prawdę, którą każdy z nich przeczuwał. Z pastwisk powracali pasterze, przemokli do suchej nitki, przykryci na głowach wywróconymi kitlami; przed nimi biegło zmokłe także bydełko. Pasterze ci opowiadali, jak wyglądała burza w polu; mówili, że piorun uderzył w samotną gruszę na miedzy, że ptactwo pozabijane gradem leży po drogach i w polu.

– Będzie głód we wsi – rzekł Makosz wchodząc do chaty – takiego gradu, jak żyję, nie pamiętam nigdy. Nie będzie też czym karmić i bydła, bo woda zmuliła siano na łące.

Makoszowa przez łzy spojrzała na męża, ale otarła oczy fartuchem, pozdejnowała obrazki z okien i progu, zawiesiła je na ścianie; po czym wzięła się do rozpalenia ognia na kominie.

Nie upaść na duchu wśród niepowodzeń jest dowodem wielkiej życiowej energii. Makosz, choć się strapił i nafrasował, przestał jednakże rozmyślać o klęsce. W polu nie było co robić; żadna nadzieja nie jaśniał już z tej strony dla rolnika. Należało tylko skosić zniszczone zboże i wysuszyć na pokarm dla bydła. Walenty postanowił w najbliższy czwartek jechać na jarmark do Skalbmierza, dokąd przybywają kupcy Żydzi z Działoszyca, Pińczowa, a nawet z Chmielnika i Chęcina. Stosunki handlowe pomiędzy tymi miastami oraz Nowym Miastem, Korczynem, Wodzisławiem, Jędrzejowem i Kielcami wymagają nieustannego przewozu różnych produktów z miejsca na miejsce. Ponieważ już nieraz na takim jarmarku proponowano Makoszowi korzystną furmankę, przeto zamierzał on teraz wynająć się z wozem oraz końmi, aby w ten sposób zarabiać i wynagrodzić sobie poniekąd klęskę z gradobicia.

O świtaniu zatem wstał, napasał konie, wyrzucił wóz, wlał na drogę smoły do maźnicy, podjadł sobie ciepłej strawy, którą mu żona przyrządziła, wziął do kieszeni na wszelki wypadek papierek rublowy i parę złotych drobnymi, założył konie, wypróbował biczysko, zapalił fajkę, nałożył na głowę swój wysoki kapelusz, pożegnał się z żoną i usiadł na wozie, gotów do puszczenia się w drogę. Walentowa wyszła jeszcze na podwórko do męża, w zawiniątku ze swojej starej, czerwonej chustki wyniosła mu bułkę chleba, kawałek sera i sporą osełeczkę masła, którą włożyła w wydrążenie przylepki od chleba. Dzieci jeszcze dobrze spały, kiedy ich ojciec wartko pędził po skalbmierskim gościńcu. W drodze spotykał znajomych ze wsi okolicznych, więc posuwały się wolno za sobą to dwie, to trzy furki, a furmani głośno gwarzyli o szczegółach straszego gradobicia. Jechali ludzie z Wielkiej Chruszczyny, z Gorzkowa, z Donatkowic, z Gruszowa, Pleszowa, Łapszowa.

Na jarmarku poszło wszystko dobrze i Makosz ugodził się z pińczowskim kupcem o dostawę ogórków oraz cebuli z Topoli do Kielc. Topola leży tuż pod Skalbmierzem, a słynie w Krakowskim z produkcji włoszczyzn, podobnie jak Łobzów pod Krakowem. Mało kto sieje tu zboże, ziemia jest nadzwyczajnie urodzajna i gospodarzom najlepiej się opłaca uprawa rzeczonych ogrodowizn. Makosz miał tedy na całą noc wyruszyć w dalszą podróż, jak się tego spodziewał właśnie i co w domu zapowiedział.

Pozostawmy naszego bohatera w podróży do Kielc, a powróćmy do jego domostwa i przypatrzmy się, jak Walentowa nie tracąc również czasu na ubolewania rozpoczęła bezzwłocznie i gorliwie swoje codzienne zajęcia.

Zaraz po wyjeździe męża wzięła się ona do doju krów; ukończywszy zaś tę czynność wypędziła krowy na pastwisko razem z gęsiami i trzodą chlewną. Gdy powróciła do chaty, zajęła się nakarmieniem Jędrusia, który już nie spał, po czym dała śniadanie Marysi i Basi. Następnie weszła po drabinie na górę i przeliczyła tam motki przędzy oraz skrętki konopi niezamienionych jeszcze na nici; zabrała stąd płótno, które wyniosła na trawnik za strugę, aby się wybielało.

Znowu potem wróciła do chaty, wzięła płachtę, grabie, zgrabiła w kopki przeschłe już a przez męża skoszone niedobitki gradowe żyta oraz jęczmienia; po czym nabrała tej paszy w płachtę i zaniosiła do obórki. Zajęło jej to sporo czasu, ale rażno się zwijała i znów stanęła w chacie, gdzie roznieciła ogień na kominie, a przy ogniu zastawiła w garnkach obiad. Tymczasem wbiegła do obory, chwyciła widły i zaczęła wyrzucać mierzwę od krów, od koni i od trzody chlewnej. Zaledwie tę czynność ukończyła, a już na południe powróciło bydło z pastwiska, trzeba je było wpędzić do obory, przywiązać za rogi i dać paszy przed dojeniem. Zanim się krowy nakarmiły, Makoszowa rozdała obiad Marysi i Basi, zalecając im mieć baczność na Jędrusiem, który także swój obiad otrzymał. Teraz żwawa gospodyni zdjęła z kołka czyściutki szkopek, dostała z komory duży garnek, pawązkę oraz stołek do siedzenia przy dojeniu krów i podążyła z tym wszystkim do obory. Jeżeli sobie pomyślimy, że po obiedzie powtórzyły się prawie te same czynności, a oprócz nich inne jeszcze, to musimy przyznać, że kobieta wiejska ma i dosyć pracy, i zupełne do tej pracy prawa.

Były to właśnie początki czerwca. Po pięknym dniu pogodnym nastąpił wieczór, któryśmy na samym wstępie opisywali. Nad strugą śpiewała słowik, wśród łąk odezwały się żaby, wszedł księżyc, kiedy Walentowa ukończywszy wszystkie swoje zajęcia uczuła nareszcie prawdziwą potrzebę spoczynku. Basia już wtedy spała, a Marysia kiwała się nad kołyską Jędrusia. Matka wzięła do siebie uśmiechającego się przez sen pieśczocho i legła z nim pod pierzyną.

W nocie letnie z powodu gorąca drzwi od izby bywały zawsze otwarte, a tylko dworowe drzwi od sieni Makoszowie zasuwali na długą, drewnianą zaporę.

Chociaż już zmierzch zapadł dosyć dawno, jednakże Kizia widocznie zadowolony był pod względem żołądka, bo jeszcze nie wyruszył na łowy i jednostajnym mruzeniem dawał znać o swojej bytności w piecu chlebowym. Na kominie przygasało ognisko; tylko od czasu do czasu mignęło jeszcze jakąś iskierką gasnącą w popiele. Kizia nawet i w lecie lubował się w dobroczynnym cieple; dla niego ciepła i wtedy nie było za dużo. Wylazł z pieca chlebowego, przeciągnął się jak długi i miał może zamiar już skoczyć na dół, udać się na wycieczkę, lecz go ciepło ogniska widać zwabiło, bo znowu przycupnął na mile grzejącym popiele i podłożywszy ogon pod siebie rozpoczął swoje mruzenie. Śpiące dzieciaki sapały, a spracowana Makoszowa spała twardo jak drzewo i chrapała mocno. Kizia widać jakoś zanadto rozgrzebał popiół; ogon jego i ciało zetknęły się z drobnymi węgielkami, które jeszcze pod popiołem nie wygasły. Węgielki owe przylgnęły do futra, a futro się przypaliło, czego kot ten nieraz już w swoim życiu doświadczył. Ale przypaliwszy futro węgielki zaczęły parzyć i piec skórę. Wtedy Kizia, oparzony, porwał się, miauknął swoim cichym, jak zwykle głosem, zeskoczył z komina na ziemię, wstrząsnął ciałem; ale węgielki się trzymały, jedne tlały w futrze po bokach ciała, drugie czepiały się ogona. Kot jak szalony wypadł do sieni, a z sieni po drabinie popędził na górę. Węgielki ciągle go piekły i trzymały się ciała. Kizia rzucił się z bólu pomiędzy

skrętki nieprzędzonych jeszcze konopi, tarzał się tutaj i w ten sposób przerwał swą straszną torturę. Swobodniejszy, wydostał się przez dymnik na strzechę, spojrzął ku dołowi, czy go przypadkiem nie dojrzy Obal, potem usiadł na samym wierzchu kalenicy około komina i zaczął lizać swe rany.

Małe węgielki, które się dostały pomiędzy cienkie i suche włókna konopi, sprawiły tlenie znajdując znaczną ilość materiału dostatecznie palnego. Od jednego zwitka konopi tlenie przeniosło się do drugiego, następnie do trzeciego; cała góra wypełniła się dymem; tlała też i słoma pod spodem będąca, i przędza, i płótno, które pracowita gospodyni we dnie bielila. Powstał płomień, zrazu mniejszy, potem rósł ogarniając suche kawałki drzewa, a nareszcie wydobywając się na strzechę. W kilku miejscach wybuchnął ogień gwałtowny, wydobył się na zewnątrz i przeniknął jednocześnie wewnątrz, a najprzód ogarnął ściany sieni. Wnet cała izba napełniła się gorącym dymem. Dom cały stanął w płomieniach. Pierwsza obudziła się Marysia, ujrzała jasność, poczuła gorąco, chciała krzyknąć; ale żar i dym wpadły jej w gardło. Porwała się dziewczeczka na swym pościelaniu i runęła na ziemię z tapczana, który, że był najbliżej sieni zalanej pożogą, płonął w ogniu. Basia spaliła się nie dawszy znaku życia. Jędrus, głęboko zakopany pod pierzyną, rzucił się uderzając o ciało matki i zapłakał gwałtownie; wtenczas obudziła się i nieszczęśliwa Makoszowa. Słyszała tylko dokoła straszny syk, trzask oraz łomot zawałającego się w płomieniach domu; ze wszystkich stron palił ją żar ogromny, bo łóżko, pierzyna, całe pościelanie, nawet koszula na niej – wszystko płonęło. Porwała konwulsyjnie dziecko, przycisnęła je na piersiach i tak z płomieni wskoczyła w płomienie. Duszący dym wniknął jej w gardło oraz płuca, w oczach się zamroczyło i padła na środku izby, tuląc zawsze do piersi martwego już Jędrusia... Zniszczenie poszło dalej.

Powstał, jak zwykle w takich razach, niezmiernie silny wicher, posypały się rzęsiste iskry na oborę, która też w mgnieniu oka oblała się straszną czerwonością; palił się nawet nawóz na podwórku. Przez krótką chwilę ryczało i szalało bydło, rozlegał się przeraźliwy kwik i pisk trzody chlewnej. Później przycichły już spokojnie te głosy istot żywych. Kiedy się rzucili na ratunek ludzie, wtenczas gorzała sutą łuną stodoła, do której przystęp był teraz głównie od pola; ale w tę stronę właśnie buchał płomień potężny. Krótkiego czasu potrzeba, aby niszczył dobytek chłopski.

Kiedy płonęła stodoła, wtedy wśród kłębow dymu, iskier i płomieni, na swych szerokich skrzydłach przelatowała matka rodziny bocianów jak duch cierpienia i rozpacz. Ciężko szumiały jej skrzydła, gdy po kilkakroć zniżala lot swój aż do głów ludzi obecnych przy pożarze. Kto wie, czy nie błagała o ratunek dla dzieci, których jęki może i dosłyszała? Sama też wydawała jakiś głos cichy, który brzmiał jak dźwięk smętnej skargi nieszczęśliwego. Ratunku być nie mogło; a ona, czy nie mogła przeżyć śmierci swoich dzieci, czy może jeszcze ostatni raz chciała ujrzeć te najdroższe skarby, tego nikt nie wie, ale tak sobie chyba należy tłumaczyć krok rozpaczliwy biednej matki, która się rzuciła pełnym lotem w płomienie górujące ponad stodołą. Wicher wionął, ogień buch-

nał jeszcze wścieklej, a ptak zmieszał popioły swoje z popiołami dzieci. Może taka mogiła i lepsza niż długotrwałe cierpienia ciężkie.

Była właśnie północ i zastała mogiły tutaj, gdzie przed chwilą znajdowały się gniazda napełnione życiem, wróżącym nadziei tyle. Stary ojciec bocian przyleciał z odległej jakiejś łąki, w dziobie przynosił ze sobą żywność dla rodziny. Spóźnił się! Nie zastał nikogo! Tylko ogień świecił jeszcze złowrogo. Usiadł więc na sąsiedniej stodole i rozglądał się, czy to wszystko, co widział, nie było złudzeniem; czy trafem jakim nie zbłądził. Niestety! Przekonał się zapewne wkrótce o rzeczywistości, bo wzleciał w górę i krążył długo, długo ponad spaloną stodołą i spopielałymi ciałami dzieci oraz żony. Krążył i przysiadał znowu na sąsiedniej stodole, porywał się, latał dokoła, zniżał się w locie prawie do samej ziemi; po czym znowu w górę podlatał. I tak dręczył się ptak nieszczęśliwy do białego rana. Dzień zastał smutnego ojca, bujającego nad zgliszczami pełnymi zgrozy, dzień złożył mu nieomylnie dowody, iż się spełniło srogie nieszczęście. Na jednej ze spalonych do połowy belek przystanął, podumał gorzko przez chwilę. Co czuł, któż to wie? Czuł może dotkliwiej niż niejeden nawet człowiek. Kiedy nadchodzili ludzie, porwał się nagle na skrzydła i poleciał kędyś w świat; ale w locie zwracał jeszcze niekiedy głowę ku swojej drogiej ojczyźnie. Utracił wszystko, to prawda; pozostało mu jednak życie. Cóż z nim zrobił?

Zaraz w następnym roku bocian pojawił się znowu w Dalewicach. Na miejscu spalonej stodoły stała już nowa, a na nowej założono mu stare koło od wozu. I znowu zaczęło się budowanie gniazda. Takich nikt nie wydziedziczy.

* * *

Powyższe wypadki miały miejsce w nocy z czwartku na piątek; w sobotę był już Makosz w drodze z Kielc do domu. Byłby on nocą ściągnął do Dalewic, ale mu szkapa zaczęła kuleć już od Morawicy i to coraz bardziej; widać podbiła się na twardej szosie kieleckiej. Mimo to Walenty z biedą dowlókl się pod drożejowską karczmę. Tutaj, nie wjeżdżając do stajni, pod gołym niebem stanął na popas; koniom dał przejeść siana, a sam rzucił się na wóz i zasnął w najlepsze. Obudził się rano, poszukał we wsi kowala, a ten mu przekuł konia, tak że teraz już śmiało puścił się w drogę do domu. W przejeździe przyglądał się pięknym urodzajom i powtórnie widział, że zniszczenie gradowe przeszło tylko wąskim pasem przez Dalewice obejmując zaledwie siedem albo osiem wiosek. Ścisnęło mu się serce, gdy sobie wspomniął swoje urodziny żyto, jęczmień i groch. Cóż zrobić? Na to nie było rady. Około południa zajechał przed swoje spalone domostwo. We wsi było dosyć pusto, bo ludzie udali się w święto do kościoła. Spomiędzy węgli i niedopałków wyskoczył do Makosza Obal. Pies był smutny. Makosz zeskoczył z wozu, szeroko rozwarł oczy i krzyknął na cały głos: „Rany Boskie, co się tu stało!..”. Nikt mu nie odpowiedział. Jakby świadek strasznych

zdarzeń, podobny do szkieletu kościotrupa, uderzał w oczy wysoki, z gliny ulepiony komin i polepa. Walenty spojrział na tę potworną postać wzrokiem pełnym przerażenia i zgrozy, a wśród ruin pieca chlebowego ujrzał w głębi błyszczące oczy burego Kizi, który tam mruczał, kiwał się drzemiąc, a teraz zbudzony szmerem patrzył z przerażeniem na łaszącego się około pana Obala. Chwycił się Makosz oburącz za głowę i jak pijany potykając i zataczając się szedł przez wieś, a nie wiedział, co robi, dokąd idzie; smutnie postępował za nim Obal. Tak we dwóch, człowiek z psem, stanowili orszak iście pogrzebowy. Pozostawione na drodze konie zwróciły głowy ku ruinom. I im zapewne było smutno. Niebawem nieszczęśliwy Walenty dowiedział się o wszystkim. Wyjaśniono mu od razu całą prawdę... A jednak nie odebrał sobie życia. I teraz jeszcze miał siłę, aby udźwignąć tak straszne brzemie! Pokazało się w późniejszym czasie, iż miał jeszcze siłę i do pracy około swego kawałka ziemi. I kiedyś dziejowa przyszłość takich tylko posadzi na zagonach większej i mniejszej posiadłości; będą to ludzie głównie energii oraz pracy. Sztuką nikt się tu nie utrzyma. Lud da odrodzenie, a jeżeli nie, to...

3

Kizia przywiązał się do swojego pieca chlebowego i dalej w nim jeszcze pędził życie. Na drugi dzień po powrocie Makosza do Dalewic, o zmierzchu, wybrał się kot na łowy, przebiegł sad, w susach wyskoczył do ogrodu, rozejrzał się po widnokręgu, słuchał głosów dolatujących z łąki, z pola, od olszyn i wikliny. Dostał się nad rzekę i brzegiem jej ostrożnie przybył pod olszynę. Na tej właśnie olszynie, w cieniu, szczęśliwą i nader uroczą piosnkę odśpiewywał słowik. Kot się przyczaił, jakby słuchał piosenki słowiczej. Byстрыm okiem może on i dostrzegął w ciemności słowika na gałązce olszyny, a w każdym razie z dołu widać rozważał sobie dobrze miejscowość, gdzie się ptak znajdował, bo objąwszy pień drzewa łapkami delikatnie pomknął w górę. Wnet znalazł się na wprost gałązki będącej właśnie siedzibą zaśpiewanego słowika. Ptak opuścił z lekka ku dołowi skrzydełka i ogonek, podniósł do góry małą główkę, wydał swój gardziołek i śpiewał pięknie, zachwycająco. Kot znowu się przyczaił w miejscu, w którym z pnia gałąź wyrastała, wzrok swój utopił w śpiewaku, jakby oczekując chwili sposobnej do napadu. Odległość między słowikiem a Kizią mogła wynosić jakie dwa łokcie; a więc dobrze wymierzony skok uczyniłby kota posiadaczem zdobyczy, na którą czatował. Właśnie słowik wykonywał trudną część swojej piosenki; podniósł niezwykle wysoko głos, a potem obniżał go stopniowo aż do pianissimo*, aby nareszcie przejść do drugiej części pieśni. Kizia rzucił się wtenczas na niego całą muskularną siłą swego ciała, celując okiem, pazurami i żądzą w punkt upatrzony. Z obu stron roznamiętnienie

* Pianissimo (z włosk.) – cichutko (przyp. wyd.).

było duże. Słowik rozmiłowany w piosence swej czy w celach, dla których ją wykonywał, nie spostrzegł ani świecących z chciwości oczu kota, ani jego ruchów. Z drugiej strony, kot był niezmiernie głodny, a apetyty jego wzrósł podczas zasadzki; chciał on teraz zapolować na pewne. Atoli gałąź nie była dostatecznie grubą, aby na niej mógł wykonać ruch gimnastyczny nawet tak śmiały i zręczny akrobata jak Kizia.

Ciało kota podczas skoku zboczyło z kierunku podstawy, którą stanowiła gałąź, tak że kiedy miał już ptaka przycisnąć szponami lub uchwycić zębami, spadł całym tyłem ciała poniżej gałęzi, a dwiema tylko przednimi łapami zawisł na drzewie. Słowik znalazł się atoli i tak w niebezpieczeństwie, bo zajmował on wówczas właśnie pozycję pomiędzy prawą a lewą łapą kota. Szczęście, że ten ostatni musiał się przede wszystkim sam ratować, a głowę miał zbyt nisko pod gałęzią, aby mógł uchwycić ptaka zębami. Słowik sfrunął lekko, przenosząc się na dalsze drzewa, gdzieby już mógł śpiewać bez przeszkody. Kot wygramolił się teraz na gałąź, ale tu oblizwał się tylko, jak zwykł był robić w chwilach zawodu; po czym powrócił na dół tą samą drogą, którą przybył.

Teraz rozpoczął jak najskrupulatniejsze poszukiwania. Wchodził w krzaki, badał je, przetrząsał, nasłuchiwał, rozglądał się rzucając głową to na prawo, to na lewo. Szedł tak cicho, jakby ziemi nie tykał, między krzewami i ziołami przesuwiał się ze zręcznością nadzwyczajną. Naraz lekki szmer dał mu się słyszeć... Był to szelest delikatny skrzydeł ptaszka, który się porwał z ziemi. Kot poskoczył przed siebie, przystanął, postawił uszy, wyteżył je, jak mógł najbardziej. Ptaszek znowu dołem przeleciał koło kota, ślaniając się po ziemi z rozpostartymi skrzydełkami. Kizia rzucił okiem w kierunku ptaka, zdało mu się jednak, że na prawo, tuż, tuż, słyszy jakieś niewyraźne piszczenie. Poskoczył szybko za owym głosem, rozpatrzył miejscowość i znalazł gniazdko słowicze, a w nim pięcioro ptaszyn. Ptaszeta otwarły żółte dziobki, a czarnymi oczkami spoglądały na kota; pięć prawie nagich główek zwróciło się w jednym kierunku. Drapieżca przystąpił do gniazda, znalazł nareszcie, czego szukał. Łapą uzbrojoną w wysunięte pazury wyciągnął z gniazdka jedną ptaszynę, która przeraźliwie pisnęła. Słysząc było chrupanie delikatnych kosteczek w kocich zębach. Z kolei padły ofiarą wszystkie pozostałe w gnieździe pisklęta. Przyleciał i ojciec, słysząc macierzyńskie głosy trwogi; wspólnie z matką rzucali się oboje na kota; uderzali go skrzydełkami, błagali niejako, piszcząc; wszystko się na nic nie zdało... Kizia zjadłszy pisklęta poszedł nad strugę i pił wodę gasząc pragnienie. Pozostało tylko próżne gniazdko i dwoje nieszczęśliwych rodziców. Choć to były pierwsze dni czerwca, słowik przestał w tym roku śpiewać w Dalewicach nad strugą. Ale ziemia wiąże do siebie żywe stworzenia i w roku następnym słowik znowu rozpoczął pieśń swoją w olszynach.

Podwórzowe dramata

Tym razem nie wymieniam z nazwiska miejscowości, którą opisuję. Wyobraź sobie, czytelniku, biały, drewniany domek, o czterech frontowych oknach i o dwóch wejściach; dach na domku jest gontowy, a świecą na nim tu i ówdzie białe łaty świeżo wprawionych gontów; na dachu sterczą dwa kominy, z których jeden jest jakby czynny krater wulkanu; do kominów sięga długa drabina, wsparta jednym końcem na ziemi. Na frontowej ścianie, pomiędzy oknami, spostrzegasz zawieszony na czerwonej tasiemce wieniec ziół, święconych w dzień Bożego Ciała. Jedno wejście jest paradniejsze, *prowadzi ono do mieszkania dzierżawcy folwarku, drugie wiedzie do kuchni*. Przed domem znajdują się sztachetki, a za sztachetkami nieco kwiatków: malw, żółtych lilij, czerwonego grochu, astrów itd. Na tych sztachetkach, od strony wejścia kuchennego, wiszą do słońca garnki, konewki, szkopki, ścierki, pawązki. Okno należące do kuchni posiada jedną tylko szklaną szybę, inne szyby pozaprawiane są papierem ze starych rejestrów gospodarskich, a znajduje się tu i list jakiś prywatny, pisany do pana dzierżawcy w te słowa:

„Szanowny sąsiedzie; odsyłam pożyczoną przedwczoraj grabiarkę, przy sposobności zaś całuję rączki żonki dobrodziejki. Powolny sługa itd”.

Przed tym kuchennym oknem stoi duże koryto dla trzody chlewnej, mniejsze – dla prosiąt, i jeszcze mniejsze – dla kaczek; prócz tego znajduje się tu przewrócona ryneczka o trzech nogach, z której pijają wodę kureczęta, gąsięta, indyczęta itd. Około tych koryt pełno kałuży i mnóstwo rozrzuconej siekaniny zielonego chwastu.

Na tyłach domu rośnie akacja, kilka krzaków róż, krzak bzu tureckiego i ze cztery śliwy; ale za to posadzono tu bulwy dla krów w wielkiej obfitości.

Podwórze przed domem jest to plac szeroki około czterdziestu kroków, a z pięć razy tyle długi.

Na prawo od dworku znajduje się budynek, służący na drwalnię, kurnik i chlewy dla nierogacizny; wróble, jaskółki i gołębie korzystając z mnóstwa

dziur w owym budynku pozakładały tu sobie gniazda. Pomimo czworga drzwi, prowadzących do drwalni, kurnika i chlewów, cały ten domek przedstawia się jakoby ze wszech stron otwarty przytułek dla wszelkiego stworzenia, potrzebującego schronić pod dachem głowę. Powyższa budowla i do niej przylegająca wjazdowa brama stanowią bok podwórzowego prostokąta. Nikt nie pamięta, ażeby ową bramę udawało się komuś na folwarku zamknąć hermetycznie.

Inny bok czworokąta, przeciwległy z dworem, stanowią dwie piwnice, jakby kapliczki z daszkami na froncie; na daszkach rosną tu gaje ostu, pokrzyw, łopianu. W jednym z tych przybytków przechowuje się nabiał dworski, w drugim – pachtowy. Na linii prostej z piwnicami jest znowu inna brama, wiodąca do stodół, które się znajdują nieco w głębi i jakby wyrzucone poza podwórzową fortecę. Przy bramie stoi po jednej stronie topola z gniazdem bocianim, po drugiej inna topola z uschłym wierzchołkiem; z tego znowu drzewa aż się sypie pierze i słoma gniazd wróblich, a świergoty wróblego rodu brzmią tu latem od świtu do zmierzchu. Poza bramą z topolami spotykamy w dalszym ciągu śpichrz o drzwiach gwoździami nabitych, a zamykanych na olbrzymią kłódkę; nad wejściem po schodach widnieje tu czerwona blacha z wizerunkiem św. Floriana i napisem: „Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń”. Wielka beczka z żelaznymi obręczami, wietrzejąca po zjedzonej przez czeladź kiszzonej kapuście, jako też czarna baryłka ze smoły, stanowią niejako ornamentykę śpichrza. Dodajmy w samym rogu budę dla psa, Kwiatka, drzemiącego tu na łańcuchu nad pustą miską. Kwiatka wzięto na łańcuch od roku, z powodu, iż ilekroć na podwórzu spotkał pachciarkę, pozbawiał ją zawsze spódnicy. Minąwszy śpichlerz i psią budę, mamy już wysoki parkan, który się ciągnie aż do stajni i krowiarni, przeciwległych kurników, a zamykający sobą podwórzowy czworokąt. Przy parkanie widać kilka pługów, kilkanaście ściętych sosen, jakieś popsute narzędzia rolnicze, drabiny do wozów, kółka do pługów, saneczki pod brony, nieco desek, drągi o parkan oparte itd.

Zaledwie o parę kroków od stajni znajduje się studnia z korbą i z długim korytem, przy którym inwentarz dzierżawcy gasi pragnienie. Stajnia i krowiarnia pomieszczone są w jednym budynku, a mają zaszczyt być murowane; jest to w całej wsi liczącej ze 40 domów, jedyny gmach o niższym stopniu ogniowego niebezpieczeństwa. Jednakże bezpieczeństwo zewnętrzne i dolne zakłócone zostaje wewnątrz oraz u góry; dach bowiem sporządzono tu na wrywki, częścią z gontów, częścią ze słomy, a wewnątrz też całe słomą jest zawałone. Pełno tu okien, drzwi i okienek oraz dziur, pozapychanych słomianymi wiechciami. Oprócz koni, źrebiąt, fernali, krów, cieląt i pastucha w lokalu tym zamieszkują także gołębie, wróble, jaskółki, szczury, myszy i zapewne inne jeszcze zwierzęta.

Na owym podwórzu żyło mnóstwo stworzeń, nie licząc już więzionego w budzie psa Kwiatka i używającego swobody Satyra.

Przede wszystkim żyło tu dużo drobiu, a czołem inteligencji wśród drobiu zdawał się być kogut. Ptak ten, pokryty pierzem lśniącej słomkowej barwy, miał ogon czarny, a zresztą podobny był do innych kogutów pod względem ze-

wnętrznym. Wątpić jednak mamy powody, czy inne, współczesne koguty wyrównywały mu na punkcie męskiej energii. Przecież on jeden stał na czele kurzej rodziny, liczącej jakie czterdzieści sztuk małżonek, a wszędzie panowały porządek i zadowolenie. Stąd wypływał dostatek potomstwa oraz ogromne mnóstwo macierzyńskiej rozkoszy. Czubate czy nieczubate, kuse czy z ogonami kokoszki przechadzały się spokojnie po podwórzu, a w wieku młodzieńczym będące kogutki stawiały pierwsze kroki życia, wodząc się zawczasu za łby w rycerskich turniejach. Kwoki z pisklętami włóczyły się około domu, a powszedy marudziły kury, brzemiennie jajami przyszłości, pokrzykując sentymentalnie: „Ke-ke-ke-keee!”. Inne znowu popod parkanami grzebiąc w pyle, powyciągały nogi, rozpostarły skrzydła i używały miłej kąpieli, utrzymującej ciało w czystości przed pchłami. On, kogut bacznym na wszelkie wypadki, chodził poważnie, potrząsał czerwonymi bokobrodami i grzebieniem, a od czasu do czasu, gdy zauważył jakiś niezwykły fakt, bodaj przechodzień nos głośno utarł, wykrzykiwał. „Kto tam? Kto tam?”. Innym razem spoglądał znowu w górę jednym okiem i wołał: „Kruuu! Kruuu!”. A wtedy pod jego wodzą zmykało wszystko w pokrzywy. Czasami też wchodził na kupę śmieci, rozgrzebywał nogą barłóg, wabiąc: „Tyk-tyk-tyk-tyk!”. Czy tam w śmieciach co było, trudno wiedzieć, jednakże kury ze wszystkich stron gnały do niego. Nieraz dojrzał gdzieś w dali wałęsającą się kurzą hurysę, wtedy dopadał do niej w pełnym biegu, wyczubił ją z małżeńskim karesem; potem wyciągnął skrzydło niby płaszcz rycerski, aż po ostrogi zwieszony, a potulna kurka nabierała niebawem tkliwości i towarzyszyła małżonkowi, dopóki nie poczęła kwękać i utyskiwać, jak tu znieść jaje. Rozumie się, iż najdorodniej wyglądał wtedy, gdy stanął na płocie i zapał donośnym głosem: „Kukuryku!”. A potem rozpatrywał się wkoło, jakby chciał wiedzieć, czy głos jego zrobił wrażenie.

Wśród gromady znowu indyczek na podwórzu rej wodził inny bohater – indyk. Pomiędzy nim a kogutem wynikły jakieś spory i walka nie ustawała nigdy, ponieważ oba te ptaki pozostawały w ciągłej styczności ze sobą. Indykowi, zajętemu dziełami wojny, brakowało czasu na należyte spełnienie małżeńskich powinności, indyczki przeto albo wcale jaj nie niosły, albo znosiły takie jaja, z których ród indyczy żadną miarą nie mógł się odrodzić w potomstwie; były to tak zwane jaja czyste, jak zdecydowała niejaka Klamczyna, przełożona kuchni i kurnika.

Dość długo naradzano się na folwarku nad tym, co zrobić z indykiem, okazującym mało dbałości na punkcie reprodukcji. Uchwalono najprzód, aby go wysłać na sprzedaż do miasta; jednakże Żydzi w Chmielniku zbyt mało cenili wartość okazałego ptaka i indyk ów znękany przygodami przeszło milowej podróży, odbytej po strasznych wybojach, a na wozie nadzwyczajnie trzęsącym, powrócił znowu na rodzinne podwórko. Kogut i teraz nie dawał mu spokoju; krwawe sceny odgrywały się nieustannie wobec indyczej oraz kurzej płci naderobnej; indykowi z nosa pozostały tylko strzępy. Kogutowi wszakże wszystkie te zapasy bynajmniej nie przeszkadzały w stosunkach małżeńskich; reputację

miał on ciągle dobrą i u żon swoich, i u ludzi, podczas gdy indyka formalnie prześladowała opinia. Kiedy więc znowu u indyczek pojawiły się jaja, zwane przez Klameczynę czystymi, wtedy nikt się już nie łudził co do wartości ptaka; jednego dnia podcięto mu gardło i martwe ciało upieczono na rożnie w celach każdemu wiadomych.

Tu, zacny czytelniku, rozważ sobie skrupulatnie, jak dziwną jest logika życia. Ponieważ indykowi ktoś przeszkadzał do spełniania naturalnych funkcji życia, przeto indykowi odebrano życie.

Po zgonie indyka nakupiono w okolicy porządnych jaj indycznych w miejscowości, gdzie indyk miał jak najlepszą renomę i jaja te podłożono pod kurę, która dzięki energii koguta kwokała, czując w sobie przygotowanie do stanu macierzyńskiego. W taki sposób Klameczyna chciała zupełnie zerwać z przeszłością, przygotowując na folwarku zupełnie nową generację indyków. Małżonki upieczonego i zjedzonego indyka, kwękając a utyskując, przechadzały się teraz smutne i robiły wrażenie separatek czy rozwódek; jako zdemoralizowane podpasano je, aby przy pierwszej sposobności wszystkie wyprzedać.

Spodziewała się teraz Klameczyna, że kura dobrego rodu wylęgnie i wychowa indyka, któremu już ani wojna, ani żadne inne przedsięwzięcie nie staną na drodze rozplądania wielce użytecznego dla ludzi gatunku indycznego.

Ale kogut, pozbywszy się rywala, a będąc już zaprawionym do walki i ciągłych tryumfów, napadał z kolei rzeczy na indyczki pozbawione wszelkiej męskiej opieki. Przycupił on raz najpotulniejszą z tych opuszczonych istot, przysiadł ją był w kącie i bez względu na jęk wyczubił potężnie, tak że na nagiej głowie oraz na koralikach szyi pozostały indyce krwawe ślady jego dzioba. Nie wiemy, jakie uczucia u reszty indyczek wywołał widok krwi zranionej przez koguta towarzyski, to pewna, iż uczucia owe dalekimi były od tego, co ludzie nazywają litością. Spostrzegłszy towarzyszkę, podrapaną kogucim dziobem, indyczki poczęły jej dokuczać. Ilekroć która się zbliżyła, popatrziała na rany i nuże biedaczkę szczypać. Stąd poszło, iż indyczka ta chodziła przez czas jakiś z daleka od stada swego; atoli pomimo wyraźnego stronienia jej od całego towarzystwa stał się raz wielki indyczny gwar na podwórzu. Oto wszystkie indyczki, co do jednej, opadły ową niebogę i biły Nielitościwie. Widocznym było, że w tym zajadłym tłumie każda jednostka pragnie zgębić prześladowaną.

Byłże to szal zazdrości czy oburzenia z powodu podejrzeń o stosunki z kogutem?...

Bitka opadła z sił, legła na ziemi i z rezygnacją poddała głowę pod rąk swych oprawczyń. Srożąc się, piszcząc, z rozpostartymi skrzydłami dopadały indyczki jedna przez drugą i katowały nieszczęśliwą bliźniaczkę, która niezawodnie byłaby wyzionęła ducha, gdyby jej na pomoc nie przybyła z kuchni któraś dziewczka i nie rozpędziła rozjuszonej gromady.

Kiedy przyniesiono do kuchni to poranione biedactwo, ubezwładnione, omdlałe i nieuchronnie potrzebujące leczniczej opieki w jakim szpitalu, Klameczyna obmacała chorą popod skrzydłami, około piersi i ogona, po czym rzekła:

– Trzeba ją dorznać; jest dosyć tłusta, prawie na stół, a jakby się toto zostawiło pod zamknięciem, mogłoby przychudnąć!...

Te słowa Klamczyny wzięła zaraz do serca dziewczka; porwała nóż, poostrzyła go na progu; potem chwyciła indyczkę między kolana, jedną ręką wyciągnęła jej szyję ku górze, drugą zaś, uzbrojoną nożem, pociągnęła po gardle ptaka; nareszcie brocząca we krwi indyczkę cisnęła na ziemię pomiędzy wałęsające się gęsi, które z przerażeniem odskoczyły, ale gąsior ze sykiem i złością doskoczył, a drgające w mękach konania ciało jeszcze dotkliwie uszczypnął.

– Nie jestże to dramatem?

Atoli na rok następny w gromadzie niezjedzonych i na chów pozostawionych kurcząt wyrósł też młody, pełen nadziei kogutek, istny ojczulek. I on miał ubarwienie lśniące, słomkowożółte, a ogon czarny i buńczuczną postać.

W późnej jesieni syn z ojcem spotykali się bardzo często na śmieciach przed kurnikiem, śpichrzem lub stajnią; bez czubienia się nie obeszło, lecz krwawe zatargi nigdy nie miały miejsca, ponieważ syn zwykle ustępował, ilekroć się zbliżył pan ojciec, a do kokoszek też przystępował z daleka i bardzo ostrożnie. W zimie zdawało się, iż jednolita dotąd kurza rodzina dozna niezawodnego rozdwojenia. Jednakże na wiosnę sprawa się zupełnie wyjaśniła. Ta pora roku zdaje się sprzyjać wszelkim politycznym manewrom, bo zaledwie jednego pięknego dnia syn z ojcem spotkali się na śmietniku, a już wybuchnęły przez jesień oraz przez zimę tłumione niesnaski. Stary kogut był stroną zaczepiającą, ale młody tym razem już nie uchodził, przyjął wyzwanie i stoczył jedną z najkrwawszych bitew. Stary doznał najsromotniejszej porażki z rozkrwawionym grzebieniem i bokobrodami, z szyją prawie pozbawioną świetnego pierza, z sińcami na gardzieli, z opuszczonymi na dół skrzydłami uchodził ów niegdyś bohater; on zdawał się zrzekać zaszczytnych praw swoich. Młody jednakże, jakkolwiek zziajany i uznajony w trudach walki, ścigał przeciwnika, zadając mu i w ucieczce straszliwe ciosy. Zgnębiony kogut przypadł pod parkan, z którego niegdyś brzmiało jego wspańnięte pianie, i tu przycupnął, ranami okryty, krwią swoją rosząc murawę. Zwycięzca rącho przyskoczył do niego, w zbołąną głowę począł niemiłosiernie kuć twardym dziobem, pokonanego kopał nogami. Stary kogut miał już teraz zaledwie tyle siły, że się z trudem podźwignął i precisnął głowę pomiędzy sztachety, na łup już wydając wrogowi pozostałą a mniej wrażliwą resztę swego ciała.

Odtąd zniknęła butność starego koguta, a rozpoczęły się zupełnie inne rządy między kurami.

Podczas brakowania drobiu w kurniku Klamczyna rzekła:

– To stare kogucisko bez ogona trza wywieźć na targ i sprzedać; od kur już on coś stroni, a na stół się nie zda, bo musi mieć twarde mięso! Taki prawie dla Żydów...

– Rzetelna prawda! – zawołała dziewczka.

Pojmano więc starego koguta, związano mu w przykry sposób skrzydła oraz nogi, zapakowano w kosz razem z kilku starymi kurami, które jaj nie niosły, wywieziono na targ do Chmielnika i Żydom na rzeź sprzedano.

Dłuższe lub krótsze życie zwierząt na podwórzu, ich byt oraz niebyt zależały głównie od wyobrażeń Klamczyny. W tym stanie rzeczy zabobon mógł być nieraz dla owych zwierząt zbawienny, pozytywna prawda – zgubną.

– Mnóżcie się, abym was mogła dużo zabijać! – było zasadą tej niewiasty.

Macierzyństwo głównie popłaca przy chowie drobiu, ojcostwo – o tyle, o ile budzi macierzyńskie uczucia w osobnikach żeńskich. Wiele bab wiejskich obywatelo się w naszej wiosce bez kogutów, kaczorów i gąsiorów; chowały one tylko kury, kaczki i gęsi, a mimo to doczekały się zawsze kurcząt, kacząt i gąsiąt. Ten system pożyczania ojców w okolicy nawet dla zwierząt wyżej uorganizowanych jak konie, krowy itd. nie przyczynia się wcale do wykształcenia uczuć ojcowskich u zwierząt domowych.

Jako matka sławną była na folwarku pewna dziesięcioletnia kura, która wylęgiwała i wychowywała w różnych latach z kolei stada kurcząt, kacząt, indycząt i młodych perliczek. Gdy jej się zebrało na macierzyństwo, siedziałyby nawet na orzechach lub kamieniach, a wodziłyby i szczenięta, gdyby jej słuchały. Dobre to było stworzenie – owa ulubienica Klamczyny!

Pomijając nieliczne wyjątki, płęć żeńska w ogóle zawsze się do warunków przystosowuje łatwiej niż męska. Opisane powyżej wypadki z indykiem i kogutami nie są bynajmniej odosobnione na naszym folwarcznym podwórzu, jak świadczy następujące opowiadanie:

Dzisiaj po podwórzu, głównie w okolicy studni, łązi gromada brudnych podlotów kaczek, kąpią się one po kałużach, chlipią nieczystą wodę, jak szarańcza dziurami wkradają się do ogrodu, robią wycieczki aż za stodołę w jęczmień, a wszystko niszczeje, znika, czego dotknie ich dziób płaski. Kaczki te co chwila są w innym miejscu, odbywają nieustanne wędrówki z piskiem i z szyjami naprzód wyciągniętymi, zawsze żądne używania.

– Czysta plaga egipska to tałatajstwo!... – mówił nieraz zgoryczony pan dzierzawca.

Ale Klamczyna dałaby się raczej ukrzyżować niż zrzec się przyjemności chowania kaczek.

Owo stadko oprowadza matka kaczka, a losy ojca kaczora są nader ciekawe. Nieboszczyk kaczor posiadał właściwość, która go zaprowadziła na męczeński rożen. Był to piękny ptak. U ludzi wdzięki niewieście są pospolite, za to u ptaków głównie płęć męska odznacza się niezmiernie powabną powierzchownością. Kaczor aż świecił różnymi piórkami na głowie, szyi, w skrzydłach, ogonie. Jako mąż zadowalniał on do pewnego stopnia wyobrażenia Klamczyny. Jeszcze jakoś w marcu folwarczne kaczki poczęły nieść jaja, a w kwietniu zabrały się do mozolnych obowiązków wysiadywania jaj na gnieździe. I aż po chwilę wylęgnięcia się kacząt nasz kaczor był w porządku. Dopiero gdy się posypał drobiazg, kiedy owo maleństwo mniej więcej kanarkowej barwy wyległo już przed dom, a poczęło zajadać z chciwością siekaninę jaj, twaróg, kaszę jęczmienną tajoną, zdjęła pana ojca dziwna jakaś złość. Jak to, takie pędraki nie dokładając żadnych starań mają jednak życie o wiele wygodniejsze niż on stary,

któremu w korytku podają tylko nieco sieczki z zielonych chwastów, a resztę niezadowolnionego apetytu musi on zaspokajać własną ciężką pracą, nurkując prawie przez cały dzień po strumieniu i innych kałużach!... Te lub do tych podobne uwagi musiały się nastęrczać kaczorowi na widok liczego potomstwa, w którym on z praktycznego punktu widzenia upatrywał jedynie nowych współzawodników w ciężkiej już i tak walce o byt. W pierwotnym urządzeniu przyrody prawa ojca są srogie; według nich dzieci stanowią własność, z którą można zrobić, co się podoba, więc i zniszczyć.

Kiedy więc nasz kaczor spotkał po raz pierwszy swoją małżonkę, otoczoną mnóstwem piszczących i już od niemowlęctwa wszędzie wścibiających się dzieci, nie uczuwał w sobie bynajmniej rozkoszy rodzica kaczego gatunku. Był jakiś zły i markotny, a w przystępie nastroju owych uczuć uderzył dziobem potężnie w łeb małe dziecko, które się też natychmiast przewróciło, fiknęło nożynami i wyzionęło ducha. Matka poskoczyła szybko na ratunek pisklęcia, dotykała go, zaklinała je głosem, aby zmartwychwstało – wszystko na nic się nie zdało. Może by była nawet stoczyła walkę z dzieciobójcą, a swoim mężem, ale ten odwrócił się czym prędzej i unosząc otyły organizm na krótkich nogach, a rozmawiając półgłosem jakby ze sobą samym, pośpieszył na kałużę, gdzie napił się wody, plusnął nurka i zapuściwszy szyję pod wodę, począł czerpać źródła życia ze spokojnym sumieniem.

Klamczyna, spostrzegłszy martwe kaczę przed samym progiem kuchni, wzięła je do ręki i pilnie robiła obdukcję. Przed bacznyim okiem gospodyni nie uszło, że pisklę ma jakiś spuchnięty łebek i powieki na oczach krwią zaszłe, lecz cóż za przyczyna tego?... Czy aby nie zaraza jaka pada w tym roku na kaczkę?... Mówią o końcu świata, o cholery na ludzi, może się od kaczek zacznie...

Snując w umyśle swoim te poważne rozważania Klamczyna weszła do kuchni i nieżywe kaczę położyła na kominie. Przychodziły dziewczki i każda po kolei oglądała zmarłego noworodka, robiąc stosowne uwagi co do przyczyny śmierci.

Kaczor uszedł przed sprawiedliwością ludzką, jak każdy złoczyńca, który dzieła swoje umie ukrywać.

W parę dni na kałuży znowu znaleziono nieżywe kaczątko, pływało ono do góry nogami, mając rozkrzyżowane skrzydełka.

– Z czego te niebożątka tak marnieją? – mówiła Klamczyna, stojąc otoczona dziewczkami. – Musi zaraza je tknęła...

– Mógł kto urzeknąć!... Takie to milusieńkie, na psa urok! – zawołała jedna z dziewczek.

Klamczyna kręciła głową, będąc już w połowie przekonaną o istnieniu zarazy.

– Dyc nie zawadzi odczynić kaczątom uroku. – Mówiła dziewczka. – A nie, to mogą wyzdychać co do nogi...

– Oj, nie dziwiłabym się małej jakiej dziewczuszynie, ale stare takie, a głupie dziewczysko plecie, aż strach bierze! – rzekła Klamczyna. – Nie, pedam ci wyraźnie, że zaraza!

– Cegoś na mnie studerujecie?... – odmrugnęła dziewczka. – Nie mogli to oziorać? Czy to odcynienie uroku wadzi zarazie?

– Idźże suko, żebym cię nie trzaśła! – Krzyknie Klamczyna, urażona opozycją. – Życie człowiekowi zmierznie z takim głupim narodem.

Znowu nazajutrz w korytku, przeznaczonym dla kaczek, znaleziono martwe kaczątko.

Klamczyna rozpatrzyła uważnie trupa, pokiwała głową, po czym zawołała psa Satyra i rzuciła mu nieżywe stworzenie pod nogi; pies powąchał tylko zwłoki, popatrzył na gospodynię, czy ta przypadkiem nie kpi z niego, i odszedł. Jak miał jeść rzecz bardzo podobną do kłaka waty?

– Pewnikiem zaraz, kiej psi nawet jeść nie chcą. – Powiedziała spokojnie gospodyni.

– Świnia to by chyciła. – Odezwała się obecna tu dziewczka.

– A nie wiesz, głupia, że od tego dostałaby węgrów na wnętrzu?...

Trzeba wiedzieć, że był na folwarku parobek Ocyl, który bardzo często chorował i wtedy nie szedł do roboty, lecz się wylegiwał w stajni albo, jeśli go zimno tłukło, zawlókł się pod kuchnię i wygrzewał się przy ścianie do słońka.

Otóż, właśnie kiedy kaczor pozbawiał życia już trzeciego z rzędu swego potomka przez uderzenie w łeb dziobem, parobek go podpatrzył. Jednakże chłop ten miał naturę milczącą i Klamczynie nie powiedział o tym ani słówka, choć widział, jak baba podniosła z ziemi kaczę, chuchała na nie, frasowała się śmiercią, nie wiedząc, czemu przypisać pomorek.

– Co mi ta po tym wtrącać się w nieswoje rzeczy. Niech sama pilnuje gądziny! – myślał Ocyl.

Dopiero podczas kolacji, na którą też przybył i Ocyl mimo choroby, kiedy się parobcy zebrali i gdy prowadzono ogólną rozmowę o zmieraniu kacząt, milczący chłop poszepnął któremuś towarzyszowi na ucho, że kaczor zabija kaczęta, a nie żadna zaraza.

– Słyszycie wy, Klamczyna – rzecze parobek, który właśnie co tylko posiadał tajemnicę – Ocyl peda, co widział, jak kaczor zabija młodziaki.

– No, nie mruk to, sobacza! – zawołała Klamczyna. – Widział, jakom się markociła, a pyska nie rozdziawił...

– Nie wiecie to, jaki on mówny?... – Rzekł z przekąsem inny fernal. – Można mu kołki na łbie ciosać, a on dechu z siebie nie puści.

– Zacieczony heciak! – mruzczała dziewczka, ze złością spoglądając na Ocyła, który już potem ani słówka nie pisnął.

Klamczyna nie mogła wytrzymać; taka ją złość porwała na kaczora, że natychmiast poszła do swojej pani i w najczarniejszych barwach przedstawiła występnego ojca. Jeszcze tego samego wieczora opiekunka drobiu własnoręcznie porwała kaczora z kurnika i własnoręcznie poderżnęła mu gardło. Odtąd kaczęta rozwijały się jak najkorzystniej.

Na nogach kabłąkowatych, jakie czasem spotkać można u kawalerzystów, przechadzało się też po folwarcznym podwórku stado gęsi. Dobre te towarzy-

skie stworzenia szczypały trawę, niektóre z nich przysiadają na ziemię i chowały dzioby pod skrzydła, a inne znów unosiły skrzydeł, jakby z nudów. Pomiedzy gęsiami prowadził się nieustanny dyskurs, już to cichszy, piskliwym głosem, już znowu donośniejszym, czemu towarzyszyło wyciąganie długich szyi i jakoby dotykane się dziobem. Czasem pojawiał się tu rozgłośny wrzask gęsi, bo jeśli jedna się odezwała, pokrzykując chrapliwie: „Ra! Ra! Ra!”. Inne w ślad za nią poczynają wrzeszczeć. I robił się wtedy niezmierny zgiełk na podwórzu, gdyż dobroduszne, niebieskookie gąski umiały wybornie krzyczeć.

Z gęsią płcią męską bywało na folwarku nie mniej kłopotów, co z taką płcią kurzą i kaczą.

Pozostawiony w jesieni na chowanie gąsior przechował był koczowniczego ducha swoich przodków, wyprowadzał gąski w pole na oziminy, na łąki, a kiedy im po podskubaniu odrosło pierze, wówczas niejednokrotnie puszczano się na wyprawy powietrzem. Nieraz owczarz i pasterze w pogodny dzień październikowy widzieli stado gęsi prujących z krzykiem powietrzne szlaki i mówili między sobą:

– Ooo! Patrzcie, zwydrzyły się dworskie gęsi i latają na skraj świata nikię dzikusy!

Z powodu takich latanin było parę przykrych wypadków; mianowicie też zajmowano gęsi z oziminy do dworów wsi ościennych, a raz nawet ktoś użył broni palnej i parę sztuk zabito. Wszystko to kosztowało dużo krwi Klamczynę, jednakże przeboleła ona jakoś owe straty, a dalszym awanturom zaradziła przez wyrwanie gąsiorowi lotek ze skrzydeł.

Nareszcie nadeszła zima, pora roku, z którą się ściśle liczy wszelkie żywe stworzenie. Klamczyna obliczyła już była skrupulatnie, że co najmniej jeden gąsior przypada na dziesięć co najwięcej gęsi, jeżeli rozplód ma być dobry, a próżniaków się darmo przez zimę nie karmi. Zasady więc owej przestrzegala ona świecie. O ile by atoli gąsior oddawał gdzieś na boku u obcych ludzi usługi, o tyle, naturalnie, zmniejszyłaby się ilość dworskich jaj i następnie gąsiąt. Głównymi nieprzyjaciółmi dworu pod tym względem były różne chłopskie chaty, wychowujące gęsi, a nie posiadające gąsiorów. I o tym dobrze wiedziała Klamczyna, że się gąsiora cichaczem pożyczają, ale wśród licznych zajęć domowych, gdy się ma na głowie kuchnię, kurnik i chlewy, mnóstwo bydła i ludzi, trudno wszystkiego należycie dopilnować. Różne stada gęsi schodzą się niekiedy tak jak różne zbiorowiska ludzi – na jakimś wspólnym dla wszystkich pastwisku. Jeżeli w takim razie małą jest ogólna ilość gąsiorów, wtedy gąsiorzy dominują i mogą one sobie wybierać takie gąski, jakie im się tylko podoba.

Powiadają, że pragnienie różnaitości wywołuje przeniewierstwo u mężów i kochanków. Jeżeli tak jest w świecie ludzi, to nie należy podobnegoż pragnienia brać za złe i gąsiorom.

Na gąsior dworski, ilekroć dostał się nad strumień lub w ogóle na jakiś plac publiczny, bardzo chętnie w pewnej porze roku przechodził do cudzego stada i nadskakiwał gęsiom, nie mającym w towarzystwie swoim gąsiora. Nie obeszło

się zapewne bez tego, żeby go takie gąski nie kokietowały w rozmaity sposób: wzrokiem, głosem, szyjką, nóżką, kuperkiem. Każdy konkurujący, zabrawszy raz znajomość z panią swojego serca nie opuszcza jej od razu; a gąsior miał nieraz pań takich kilka w cudzym stadku. Kiedy więc wszedł w stosunki z nieznanymi sobie dotychczas gęsiami, to już pod wieczór odprowadzał je zwykle do domu jako grzeczny kawaler. Właścicielka gęsi nie tylko z uprzejmością wpuszczała takiego galanta na swoje podwórko, lecz mu nawet gościnnie udzielała noclegu pod dachem jakiego gęsiego apartamentu. I to właśnie, według wyobrażeń Klamczyny, było „szelmstwem” ze strony takiej właścicielki gęsi bez gąsiora. Bo każdy przecież trzyma gąsiora dla własnych gęsi nie dla cudzych.

Żeby to we wsi była jedna tylko właścicielka! Większość ich czyhała na dworskiego gąsiora.

Wprawdzie kilka razy spostrzeżono pod wieczór, iż dworskiego gąsiora brakuje, lecz któż mógł wiedzieć, gdzie on się na nocleg zaprosił? Tam zapewne, gdzie oczekiwał przyjemności większych niż w swoim domu. Ten gąsior formalnie odrabiał na wsi serwitut.

Zwróciła się Klamczyna jednego razu do pana dzierżawcy, nalegając nań, aby sprawę o gąsiora zaskarżył przed sądem gminnym, ale obywatel ów przedstawiał jej, że prawodawstwo nie przewidziało wypadków przestępstwa tego rodzaju, jak zajście o gąsiora, że więc kompromitować się nie wypada.

O pożyczanie dworskiego gąsiora podejrzewano różne baby we wsi, lecz głównie czynną na tym punkcie miała być Stachowa Budzina. Dziewki dworskie donosiły Klamczynie, jako owa Budzina nęciła i kusiła gąsiora wszelkimi sposobami, że mu pod sam nos prawie naganiała gęsi, rzucała dla zachęty ziarno, a nawet gwałtem wpędzała go na swoje podwórko i potem zamykała w stajence z gęsiami.

W samym końcu marca pokazało się, że ilość jaj gęsich jest na folwarku nadzwyczajnie mała, że więc i gąsiąt będzie niewiele; wtedy to rozżalona Klamczyna odgrażała się wobec kuchennej czeladzi, iż nigdy nie daruje Budzinie nikczemnego podstępu:

– Złodziejskie nasienie jedno, pożałuje ona i popamięta! Jak kajniebądź napotkam, zwołam, na czym świat stoi!

– To się jej słusznie przynależy! – podzegały dziewczki. – Dyc trza takiej dać naukę na upamiętanie.

Klamczyna szukała spotkania i okazji z Budziną, której chałupa była bardzo blisko od dworu; ale Budzina widocznie poczuwała się do winy i ilekroć ujrzała dworską gospodynię, śpiesznie uchodziła do chałupy. Już w kwietniu jednego słonecznego dnia spotkały się dwa stada gęsi nad strumieniem, na błoni: były to gąsięta Budziny i gąsięta dworskie, tym ostatnim nieodstępnie towarzyszył gąsior; przy pierwszych znajdowały się tylko matki. Jakim przypadkiem przyszło do starcia pomiędzy matkami obu stad. Czy nasz gąsior znajdował się wtedy w drażliwym położeniu, po której stronie stanąć, tego nie wiemy, ale dosyć,

że wpadł pomiędzy chłopskie gęsi; syczał w okrutnej złości, rozbijał gąsięta i rozpędzał matki w stadzie Budziny. Kobieta wybiegła z chałupy, porwała pręta, wymierzyła gąsiorowi kilka razy i przywróciła rzeczy do porządku. Dziewki niebawem dały znać Klamczynie o wszystkim, co zaszło, a Klamczyna nie omieszkała pośpieszyć nad strumień. Obie baby spojrzały teraz na siebie tak, aż im się ogień z oczu posypał, a pierwsza Klamczyna otworzyła usta wołając:

– Nie potrzebujecie teraz zamykać gąsiora w chlewiku, przygnali wam go na błonie, żeby pilnowała gąsiąt od wron! To wszystko jego dzieci...

– Co mi tam po dworskim gąsiorze, ja sama umiem dopilnować gęsi – odrzekła Budzina.

– Tyło go potrzebujecie na zimę, co by swego nie żywić, a po trzech gęsiach mieć więcej przychówku, niż dwór ma po dziesięciu.

– Chce wam się, widzę, na mnie wyszczekać! – krzyknęła Budzina. – Wiem ja, wiem, o co chodzi! Nie o gąsiora, ino o chłopca! Żliście na mnie bez to, co mój, kej był parobkiem, zalecał się do was, tyło mu pan ojciec nie pozwolili pobrać się z takim wycieruchem.

– Jaka to dzimdzia!... A juści, musieli pan ojciec kazować twojemu, co by się żenił z tobą; bobyś to bez takiego przymusu dostała chłopca! Kto by z dobrej woli chciał sobie brać do chałupy takie popychadło? – wywoływała Klamczyna.

Atoli Budzina zapędziła czym prędzej gęsi do chaty, pozostawiając dworską gospodynię na pastwę własnych mściwych uczuć.

Przede wszystkim Klamczyna dopadła teraz gąsiora i osmagała go potężnie prętem.

Kiedy stadko folwarcznych gęsi już podrosło, podano do wiadomości wszystkim ludziom we wsi, że we dworze jest do sprzedania gąsior. Jako kandydat do kupna zgłosił się pachciarz Mosiek, który z powodu jakiejś religijnej uroczystości potrzebował właśnie na stół swój gęsiego mięsa. Z zachowaniem więc wszelkich form oraz ceremonii rzeźniania podług starego zakonu odebrano życie gąsiorowi w izraelskim domu.

Ale w kilka dni potem Moškowa przybyła do kuchni z pretensjami i wyrzekała wobec Klamczyny:

– Ny, ten wasz gąsior miał być taki dobry, a on się cały dzień gotował i ciągle był surowy.

– Nie surowy, ino kwardy, bo stary! – odrzekła gospodyni – i bez to go sprzedali... Mogliście dobrze wykosierować, to by był rozmiękł.

W poligamii, podobnie jak w monogamii, miłość ostatecznie wcześniej czy później przynosi zgubę. Jakimże innym kosztem można by było spłacić dług za krótkie chwile tak znacznych przyjemności? Przyjemność owa stanowi przynętę, bez której nie istniałyby ani poligamiczne, ani monogamiczne rodziny. Nie mieć rodziny, a używać przyjemności, jest to postępować karygodnie.

Przy bramie, wiodącej do stodół, na topoli jest gniazdo bocianie, które tu istnieje tak dawno, że i najstarsi we wsi ludzie już je pamiętają. Trzeba chyba przypuścić, iż prawo spadkowe nie jest obce bocianom i że po rodzicach dzieci

biorą w posiadanie rodzinne gniazdo, z zachowaniem służebności pasania po okolicznych łąkach.

Otóż, pod koniec marca zasiadła na gnieździe para tych długonogich i długodziobych ptaków. Stanąwszy na starożytnym gnieździe tradycji, zwróceni przodem ku sobie, posiadacze kiwali się, klekotali, rozpościerali skrzydła, słowem – odprawiali coś w rodzaju obrzędu zajęcia i poświęcenia domu; a może były to po prostu miłosne zaręczyny.

Niejedyn dom swój poświęcił, a wygnano go na ulicę; niejedyn się zaręczył, a musiał się rozwodzić!

W każdej miejscowości istnieje mnóstwo ludzi obojętnych na zjawiska powszednie, ale zawsze się znajdzie w tym mnóstwie jakiś człowiek, który zjawiska podgląda i wyprowadza stąd mniej albo więcej prawdopodobne uogólnienia. Inaczej nigdy byśmy nie wiedzieli np., czy w takim a takim roku bociany wyrzuciły z gniazda jaja lub pisklęta, czy nie wyrzuciły. Bo gdzie tam kto ma ochotę chodzić co dzień w pokrzywy i patrzeć, co się dzieje pod bocianim gniazdem!... Ogół spogląda na takich obserwatorów z lekceważeniem i uważa ich za próżniaków. Tak było i na folwarku naszym, gdzie wysokimi zagadnieniami bytu zajmował się znany nam już parobek Ocył. Miał on talent spostrzegania rozmaitości we wschodzeniu i zachodzeniu słońca, rozróżniania górnego lub niskiego lotu jaskółek – wielkiej lub małej ilości much, białych motyli, chrabąszczów, polnych myszy, komarów, świerszczów itd. A z tego wszystkiego w cichości ducha budował sobie wnioski, biorąc nieraz skutek za przyczynę, czyli błędząc. Nicpoń do roboty praktycznej – był teoretycznym myślicielem. Kiedy chorował lub odpoczywał w święto, siedział pod ścianą kuchni i wpartywał się w bocianie gniazdo. Co on tam mógł widzieć?...

Dzięki takim obserwacjom znamy dramat bocianiego gniazda.

Para przybyłych bocianów w jak najlepszej harmonii wyreparowało stare gniazdo uszkodzone przez zimowe burze, po czym osobnik żeński naniósł tu jaj i rozpoczął ich wylęganie.

W r. 1886 już się zbliżała Wielkanoc, a w wyobrażeniach niektórych ludzi nadchodził koniec świata, zapowiedziany na dzień świętego Marka, kiedy na folwark przyleciał jakiś trzeci, bardzo okazały bocian. Przez chwilę krążył on około gniazda, zajętego przez samicę, wysiadującą na jajach; potem zasiadł na śpichrzu, zaklekotał, rozejrzał się po podwórzu pełnym drobiu; nareszcie porwał się na skrzydłach i napadł na gniazdo. Zawrzała walka z matką jaj; szum skrzydeł, uderzenia dziobów oraz pisk, świadczyły o bardzo zaciętym boju ptaków. Nie tylko gniazdo było polem owej bitwy, ale i przestwór powietrza, dach śpichrza i stodoły. Walczące na śmierć ze sobą bociany spadły nawet na ziemię i na tyłach śpichrza, w gąszczu kukurydzy, garściami darły ze siebie pierze. Tryumf był po stronie przybysza, który pokonawszy matkę zaleciał na gniazdo i powyrzucił stąd wszystkie jaja, podczas gdy zwyciężona bocianka stała na szczycie stodoły, nie mając widocznie chęci narażania się na ponowną walkę.

Niebawem nadleciał ojciec i dotychczasowy dziedzic gniazda; za ledwie okiem rzucił, a już ocenił zaszłe wypadki, spostrzegł swoje wywłaszczenie. Przypadł więc do gniazda i rozpoczął walkę z roślejszym, silniejszym widocznie przywłaszczycielem. Bitwa między płcią męską zdawała się być mniej żartą niż poprzednia, a rezultatem jej było, że ojciec jaj, powyrzucanych z gniazda, ustąpił, podobnie jak przedtem ustąpiła jego małżonka; zwycięzca pozbawił go nawet już i tak krótkiego ogona.

Było to z rana, a już przed wieczorem owa zwyciężona i na łeb pobita samica stała na gnieździe w towarzystwie zwycięzkiego przybysza: oboje wesoło klekotali, jakby zażyli przyjaciele; owdowiały zaś małżonek siedział teraz na szczycie stodoły, gdzie też samotnie noc przepędził. Musiał być smutny, bo jakby się miał weselić, straciwszy jednego dnia ogon, żonę oraz nadzieję odrodzenia się w potomstwie.

Jeszcze w lipcu można było widzieć kusego bociana, przechadzającego się po łąkach lub odbywającego noclegi na dachu stodoły; żona jego żyła w jak najlepszej komitywie ze szczęśliwym zwycięzcą: gniazdo co chwila brzmiało wesołością. Ale w tym roku w bocianim gnieździe jaj wcale nie było; niemniej nowa para małżonków widocznie okazywała sobie nawzajem tkliwość. Miałaby bezdrietność zwiększać siłę uczuć małżeńskich? Podobno tak bywa.

Zachodzi pytanie: czy prawnym małżonkiem bocianki był ojciec wyrzuconych jaj, razem z nią przybyły w marcu na gniazdo, czy też później przybyły bocian przydługo tułał się gdzieś za granicą, a niecierpliwa żonka zwabiła sobie tymczasem gacha, który w następstwie musiał ustąpić miejsca prawemu małżonkowi?

Ha, może po stronie nowoprzybyłego stało jedynie prawo siły! Wszędzie na jednym końcu jest prawość, na drugim – nieprawość.

To pewna, iż odtąd prawnym małżonkiem i posiadaczem gniazda stał się tryumfujący bocian z ogonem, bocian kusy w pewnych okolicznościach mógłby być znowu postawić swą kandydaturę na prawego dziedzica i małżonka.

Zresztą wiemy, iż dziwne gusta miewa czasami płeć żeńska; być może, iż utrata ozdoby takiej jak ogon wpłynęła na zdecydowanie się bocianki w wyborze małżonka.

Ten kusy bocian nie znalazł nawet współczucia; był on pośmiewiskiem ludzi; kiedy przylatywał na stodołę, wytykano go palcami, a po błoniach pasterze go prześladowali, ścigając i szczując psami.

Ciekawa rzecz, czy na rok przyszły powróci do gniazda?

Więc na tym pozornie tak spokojnym podwórzu, wypełnionym przez kury, perlice, indyki, kaczki, gęsi, gołębie, wróble, odbywały się dramata, które w świecie ludzkim zakrwawiają nieraz serce. I tutaj życie ciężko płynęło pod sztandarem głodu oraz miłości, a w imię tych uczuć zawsze ktoś kogoś ścigał, dręczył, ograbiał, zabijał.

Podobnie jak o bocianów, mało też się ludzie na folwarku troszczyli i o gołębie; gnieździły się one, gdzie mogły: w kurniku, w stajni, w oborze; nie miały oddzielnego lokalu, więc jak biedni ludzie mieszkali u innych stworzeń na ko-

mornym i to po różnych dziurach pod strzechą lub za stragarzami. Istoty te, będąc prawie wyłącznie na łasce Boskiej opatrności, rozmnożyły się tu z czasem i wielka ich ilość uwijała się po podwórzu oraz po dachach dworskich wszech zabudowań. Świegot wróbli, gdakanie kur, śpiewny krzyk perlic: „cin-ciak! cin-ciak!” wrzask gęsi, klekotanie bocianów, gruchanie gołębi itd. były to niezrozumiałe dla ludzi objawy życia, trosk, utrapień i chwilowych zadowolnień. Trudno uchwycić harmonię tej opery, a harmonia przecież być musi.

Okazałe, garłate i brzuchate gołębice samce, kręcąc się wkółko, obchodziły wirowato dokoła szczuplejszych samiczek, jak planety obiegają wkółko słońca; szczególne są miny gołębi podbijających serca płci żeńskiej: te ptaki stają się błaznami, popadają prawie w szaleństwo z miłości. A owe zabawne konkury nie spowszednieją żadnej, nawet sędziwej gołębicy. Każda to lubi, każda ma w mężu swoim trubadura i baletnika. Zaloty ludzkie podobne są do gołębich z pozoru, bo w ostatnich tkwi bez porównania więcej szczeroci: te błazeństwa ptaków są naiwne – ludzkie polegają na udawaniu.

W kurniku, gdzie częstokroć kilka kur siedziało na jajach, gdzie znowu inne kury po kątach niosły jaja, można było słyszeć pod powałą piszczenie gołębich dzieci lub widzieć gołębicę na przemian z gołębiem wylęgającą gołębięta.

Na owo to terytorium zachodził niekiedy z nadzwyczajną ostrożnością duży czarny kot, wychowaniec chłopskiej chałupy. Były i we dworze dwa koty: jeden biały, drugi czarny, lecz o nich można powiedzieć, że od dawna zrzekły się zwyczajów barbarzyńskiego sposobu życia swych przodków. Te tłuste pieszczochy wysypiały się na łózkach, kanapach, krzesłach, żyły z psami w jak najlepszych stosunkach, a u ludzi nie popadły nigdy w podejrzenie. Plądrujący zaś po kurniku i po innych budynkach kot był na wpół dziki, nieprzystępny dla idei cywilizacyjnego życia. W chałupie, gdzie się wychował, gdzie był stałym lokatorem, jeść mu nie dawano, ponieważ gospodarz jego sam jeść co nie miał. Że zaś kot w chacie owej z przyległościami wyłowił wszystkie, jakie były myszy, przeto domu mógł tylko używać o tyle, o ile mu się spać chciało. Choćby w tej chałupie było nawet co ukraść, nie opłaciłoby się, bo gospodarz i gospodyni sprawili mu kilka razy takie wały, że sam widok jakiejś smakowitej rzeczy w tym miejscu nabawiał go formalnego wstrętu. Szedł kot zatem w szeroki świat boży; a jeśli miał zamiary przywłaszczania sobie cudzych rzeczy, to gdzież iść jak nie do dworu? We dworze i o myszy było łatwiej, gdyż miejscowym kotom przez myśl nawet nie przeszło, aby zużywać energię na takie mało produkcyjne polowanie. Zresztą, myszy z konieczności trudnią się też złodziejstwem, a gdzież chwytać złodziei, jeśli nie w zasobnej komorze? Dwór, ten środek pełen ruchliwego życia, nęci zarówno robotnika jak złodzieja i żebraka. Tutaj w stodołach na dworskim ziarnie karmiły się setki młodych jak kluski pulchnych wróbelków, które piskiem same zdawały się dopraszać, aby je kto zabrał. Taki łowca, kot szczwany, znał na wylot wszystkie dziury; wiedział, którędy się zakraść i którędy zmykać. O zmroku można go było widzieć, jak pomykał przez drogę czając się po wszystkich przykopach i rowach, a co chwila ciskając do-

koła niespokojne oczy za każdym ruchem, bodaj chrabąszcz brzęknął lub zmierzchny motyl furknął. Idąc tak bacznie, dostawał się czarny kot w istny las bulw rosnących za dworem i tu przesuwał się z całą zręcznością akrobata: żadne stworzenie nie posłyszało jego chodu. Jeżeli po drodze wypadło się zacząć i pochwycić jaką zdobycz, wykonywał on to z wielką dokładnością.

Kot wybierał się w różnych porach dnia na swoje wyprawy, a prawie zawsze go spostrzeżono; jeśli go nie zauważyli ludzie, to niezawodnie spostrzegły go kury, gołębie, indyki, wróble itd. Sygnał niebezpieczeństwa rozchodził się wśród ptactwa i wszystko zachowywało się odpowiednio.

Raz po południu wszedł był czarny kot do kurnika, gdzie przywarował, ponieważ zdało mu się, iż mysz przebywa pod koszykiem, w którym siedziała kwoka ze swoim, dopiero co wylęgłym maleństwem; istotnie, mysz tam była i od czasu do czasu wysuwała się, aby pochwycić ziarnko rozsypanej kaszy jaglanej. Kot poskoczył, lecz mysz uciekła. Dopiero z gniazda porwała się wściekła kwoka i ze strasznym krzykiem uderzyła na kota, a była tak natarczywa, że biedak nie miał nawet czasu na ucieczkę; posypały się teraz na niego bolesne ciosy dzioba i dotkliwe uderzenia skrzydłami, co wyszło na zadawanie kułaków pod żebra i między oczy! Zgiełk walki wzruszył inne kury w kurniku i rozległo się rozgłosne: „gda-gda-gda-gda!”.

Próbował walczyć, ale rozjuszona kura częstowała go tak gęstym gradem pocisków, że nie mógł przyjść do siebie; zaledwie wydarł z niej nieco pierza, które mu obiegło język i podniebienie.

Z biedą nareszcie wydostał się na ścianę, a i tu, gdy się wspinał, kura, podlatując w górę, jeszcze go raziała. Srogo poturbowany uszedł przez dziurę. Kot odprzysiągł się wtedy prawdopodobnie zachodzenia do kurnika, ale konieczność rządziła jego zamiarami, a nie chwilowe usposobienie woli. Przecież oprócz awanturnicznych kwok były także w kurniku dobroduszne gołębie, z którymi sprawa o wiele łatwiejsza; spożycie zaś tłustego gołąbka, będącego w pałkach na wylocie, warte było dla kota znacznie więcej niż jakieś tam kilka sztuk myszy.

I nadal przeto zabiegał czarny kot do kurnika, a gdy mu się w kurniku łowy nie udały, wówczas chyłkiem wymykał się dziurami i poprzez chwasty, porastające na obu piwnicach, podążał dalej między dworskie budynki; zatrzymywał on się pod topolą, obfitującą we wróble gniazda, posłuchał tu ptasiego świegotania, mrużąc swe oczy bursztynowej barwy i spieszył dalej. Szedł następnie, plądrując, pod przyciesi śpichrza, gdzie miewał spotkania z różnymi stworzeniami, prowadzącymi cichy żywot w ciemnościach. Spod śpichrza przemykał znowu około parkanu pomiędzy gospodarskimi narzędziami do stajni i obory, gdzie zwykle znajdował najlepsze ukrycie i najbezpieczniej odbywał polowanie. Jeżeli w oborze czy stajni schwycił gołębia, uchodził z nim tym samym traktem, którym tutaj przybył, to jest – pod śpichrz, w chwast na piwnicach, stąd w kurnikowe dziury, z kurnika w las bulw, a stamtąd już prosto do domowego ogniska.

Nie można powiedzieć, ażeby się w tych wędrówkach obeszło bez przygód. I najzręczniejszy linoskok kark nieraz skręci, gdy się całe życie na szwank na-

raza. Nasz kot dużo przeszkód spotykał na drodze życia. Nawet we własnym domu nie był bezpieczny, bo kiedy raz powrócił z łowów, niosąc sporego gołębia, spotkała go gospodyni, łup odebrała, przyrządziła potrawę i zjadła z mężem, zostawiając zaledwie grubsze kości dla kota.

Pod śpichrzem znowu natrafił jednego dnia na gniazdo os czy trzmielów, które go z zjadłością obsiadły; dzięki temu spotkaniu musiał się przez kilka dni lizać, pozostając w domu na surowej diecie, ponieważ od ukąszeń tych owadów spuchł mu był łeb tak, że na oczy patrzeć nie mógł.

Innym razem zaszedł do krowiarni, gdzie mu wypadło z planu przebierać się po jakiejś żerdece bardzo słabo przytwierdzonej do powały; ta żerdka się oderwała i kot wraz z nią spadł do cielętnika, a tu jedno z cieląt tak kopnęło go tylną racicą, iż zaledwie stamtąd wyjść zdołał.

A ile on to nieraz strachu zażył wśród koni, brząkających łańcuszkami uzd przy żłobie, stukających kopytami, uzbrojonymi w podkowy i mielących ogonami! W oborze również nabawiał go ryk bydła niemałej drżączki. Cóż dopiero, gdy do takiej stajni czy krowiarni wchodził różni ludzie z grubymi widocznie instynktami, miotający nieustannie przekleństwa w najokropniej brzmiących słowach! Z biciem serca przesiadywał kot wtedy gdzieś w słomie, wtłoczywszy się jak można najgłębiej, aby nie być spostrzeżonym.

Atoli najgorsze były wszystkie odkryte place na podwórzu, nie dające się ominąć w przejściu z jednego budynku do drugiego, albowiem na podwórzu bardzo często wylegiwał się pies Satyr, dosyć grzeczny podobno dla kotów miejscowych, ale okrutny wróg cudzoziemców. Pies był bardzo czujny.

Z tym kundlem przyszło raz kotowi odbyć straszną awanturę, o mało co nie kosztującą życia. Kiedy bowiem po daremnych poszukiwaniach powracał był czarny kot chłopski ze stajni i dla większej ostrożności szedł poza parkanem między gęstwina kukurydzy, dyń, słoneczników, maku i tyczkowego grochu, naraz spotkał leżącego tutaj w cieniu Satyra. Los chciał, że pies nie spał, gdyż musiał się nieustannie borykać z muchami. Satyr właśnie podniósł głowę i ścigając okiem jakąś natrętną muchę w strasznej złości kłapnął zębami, kiedy nasz kot cichutko wylazł spod liści dyni i ujrawszy niespodziewanie psa strasznie się zmieszał... Było się od czego przerazić, bo co tu zrobić? W ucieczce pies mógł z tyłu pochwycić i rozszarpać; w otwartym zaś spotkaniu, oko w oko, można było użyć pazurów i w razie konieczności dać psu nawet dobrą naukę. Satyr atoli wcale się nie zmieszał i nie namyślał, lecz raptownie poskoczył do kota, który teraz, chcąc nie chcąc, musiał stoczyć walkę. Pies z początku zdawał sobie lekceważyć pojedynkę: przypadł do kota i chciał go bez ceremonii wziąć za kark. Czarny wygiął grzbiet w kabłąk i wyciął psu taki policzek, że kundel odskoczył, oblizał się tylko i łapą poskrobał po gębie, jakby chciał zetrzeć przyklepionego klapsa. Skorzystał Czarnuch z owej rejterady, w kilku susach dopadł topoli i w mgnieniu oka wdrapał się na sam prawie wierzchołek drzewa. Lecz Satyr miał w duszy zemstę, pobiegł pod topolę, usiadł tu na tyle swego ciała, a wpatrując się zjadliwie w przyczajonego między liściem kota począł z niecierpliwością oszcze kiwać.

Szło teraz o to, kto kogo przetrzyma, inaczej mówiąc – kto jest cierpliwszy.

Donośny psi głos mocno niepokoił kota; dałby on dużo za to, żeby Satyr zachowywał się spokojniej. Para rozwścieczonych oczu psa ciągle wymieniała spojrzenia z parą niepokojem błyszczących, żółtych oczu kota.

Zwinięty w kłębek i ku dołowi spoglądający Czarnuch byłby długo może wysiadywał na topoli, atoli na szczekanie Satyra odezwał się też głośno i przywiązany w pobliżu na łańcuchu Kwiatek. Na spokojnym podwórzu zrobił się zamęt: każda sztuka drobiu zdawała się zapytywać: „Co to znaczy?”. Kury powyciągały szyje nie wiedząc, czego oczekiwać wypada; indyki też kontemplacyjnie rozglądały się to na prawo, to na lewo; perlice znowu bez żadnego zastanowienia uchodziły co tchu w ukrycie. Właśnie z kuchni wyszła na to wszystko Klamczyna, wyniosła w fartuchu jakieś ostrużyny i rozsypała je kaczkom, nawołując: „taś, taś, taś!”. Szczekanie Satyra oraz rwanie się w budzie na łańcuchu Kwiatka zaniepokoiły ową niewiastę: „A może ktoś po drób się skrada!”. Z rękami przeto założonymi na brzuchu podeszła ku śpichrzowi i poczęła przez parkan zaglądać w kukurydzę.

Czarny kot spostrzegł niebawem, że jego położenie na topoli staje się coraz niebezpieczniejsze; na widok więc Klamczyny skoczył z topoli i nie tracąc chwili czasu z nadzwyczajną zręcznością dał nura pod śpichrz. Gdyby kot miał istotnie tchórzliwą duszę, to owo zdarzenie oduczyloby go raz na zawsze łowów po dworskim terytorium. Jeżeli wszakże czyimś trybem życia jest nieustanne ryzyko, to taki musi się już ciągle narażać: Czarnuch więc polował i nadal na folwarku.

Było to w Wielki Piątek, roku, kiedy Wielkanoc przypadła na święty Marek i z tego ważnego powodu na folwarku przepowiadano koniec świata.

Głównym wyznawcą oraz apostołem teorii o tym końcu świata był nie kto inny, jeno parobek Ocył, człowiek ogromnie lekceważony przez całą inteligencję folwarczną. Pan dzierżawca i jego polowy mawiali o Ocyłu, że jest: „Jucha gułaj, do niczego niezdatny!”. Inni parobcy, jego koledzy, twierdzili znów, że: „Taki się nie zda do żadnej roboty, ale potrafi śwarnie spatrzyć różne rzeczy, kieby na książce uczoney”.

Miał ów parobek ze trzydzieści pięć lat życia, a był taki brzydki, że wszystkie dziewczuchy we wsi brały go za przedmiot żartów, żadna zaś nigdy nie powiedziała o nim inaczej jeno:

– Niemrawa psianoga!

Albo:

– Zatracona pijaczyna!

Wszystkie one oświadczyły wyraźnie, żeby żadna i za nic w świecie nie poszła za takiego chłopca, „maśkarę, byleco”.

Naprawdę nie wiadomo we wsi, jak on się rzeczywiście nazywa; sam Ocył tego nie wiedział, powiadał tylko, że kiedy za młodych lat pasał z chłopakami bydło, nazywano go wtedy Ocylem; potem znowu zwano go od nazwiska ojca Dorobkiem, lecz to nazwisko ojca nie było też prawdziwe; nareszcie kiedy matka wdowa wyszła powtórnie za mąż, nadawano Ocyłowi nazwisko ojczyma – Zawierucha. Któż wie, które z tych nazwisk było istotnie dobrym nazwiskiem? Nazywamy go tu tak, jak go przezwali na błoni pasterze – Ocylem.

Ten Ocyl zwykle przez cały dzień był nadzwyczajnie małomówny, za to w nocy przez sen ciągle rozmawiał – jak twierdzili parobcy ze stajni – podobno bardzo „zamysłowato”; z każdą robotą zawsze się spóźnił i nigdy nic dokładnie nie zrobił. Nie tylko że nie umiał, jak się należy, orać, powozić, młócić, ale nie potrafił nawet koni dobrze założyć do wozu lub pługa, ani zadać w żłób obroku czy siana za drabinę. Co więcej, Ocyl nie umiał nawet jeść należycie: z łyżki połowa zawsze wylała mu się na ziemię i na kolana. W towarzystwie liczniejszym, zwłaszcza z płcią piękną, milczał uparcie, a jeżeli już co koniecznie musiał rzec, wtedy nachylał się do ucha któregoś z towarzyszy i poszeptywał. On się jąkał i stąd może wynikała ta wstrzemięźliwość filozoficzna. Jednakże nieraz samotwór, gdy sobie dobrał przyjaciela, rozmawiał wiele i podobno na folwarku nikt nie miał do rozmowy więcej materiału jak Ocyl.

Jakże go miały lubić dziewczki, kiedy miał w jednej nodze wadę jakąś, utykał i nogę powłóczył za sobą, przez co częstokroć usłyszał obelgę:

– Koślawa kuśtyga!

Na twarzy był czarny, w oczach zezowaty i w dodatku miał krzywe usta, a z tych wszystkich powodów dziewczyny stosowały do niego wymyślania:

– Krzywoń zatracona?

– Zez, kuternoga!

– Cygańska morda!

Ubiór jego odpowiadał tej powierzchowności; opuszcza, czyli rondo od niegdyś białego kapelusza zasłaniała mu oczy i twarz w połowie, pasek na kitli zawsze spadał mu daleko pod brzuch; dziur i nieporządku wszędzie było pełno.

Czytać Ocyl nie umiał, ale wiedział, że są na świecie „drukowane” książki i że w nich dużo mądrości stoja.

W koniec świata roku 1886 niby to wszyscy wierzyli, lecz nikt sobie z tej sprawy nie robił takich wielkich rzeczy jak Ocyl. Parobcy słuchali Ocyła, przepowiadającego fakt ten, wierzyli mu, ale żaden z nich nie rozmyślał o tym przez dzień cały ani mu też to spać nie przeszkadzało.

Co innego Ocyl, on wierzył nie tylko w koniec świata, lecz i w to, że wśród powszechnego zniszczenia wszystkich rzeczy niektórzy ludzie będą się jednak mogli ocalić za sprawą miłosierdzia Bożego. „Jancychryst”, który miał przybyć na folwark w święta wielkanocne z żelaznym piecem, zabierze mnóstwo tych głupich i grzesznych ludzi – myślał Ocyl – lecz ja dołożę wszelkich starań, aby się ocalić.

I przysposabiał się parobek na ów koniec świata. Przede wszystkim czynił on zadosyć, aż do przesady, wszelkim wymaganiom religijnych przepisów. Od pierwszego dnia wielkiego postu głodził się więc i codziennie odmawiał wielką ilość pacierzy. Już z natury swej wąty a słaby doszedł chłop w Wielki Piątek do takiej niemocy dzięki postom nadzwyczajnym, że go musiano zwolnić od wszelkiej roboty. W nocy opadło go ziębienie; rano nie mógł odmówić swoich pacierzy, ponieważ zjawiała się gorączka w połączeniu z bólami głowy. Tak więc omdlały prawie leżał w stajni na swoim wyrku. Wyrko było urządzone w ten sposób, iż do dwóch słupów, podtrzymujących stragarze, dodano jeszcze nowe

dwa słupki i w taką klatkę u góry niedaleko powały wprowadzono kilka desek, na których w kupie barłogu odbywali noclegi dworscy „ludzie od koni”. Pod spodem tego szczególnego aparatu znajdowały się konie oraz od koni przegrodzona stadnina. Chcąc się dostać na takie łoże trzeba było wlaźć po słupie w górę i po słupie też stamtąd schodzić.

Tutaj to spoczywał w Wielki Piątek wyposzczony i chory Ocył.

Po południu zmniejszyła się nieco gorączka, a chociaż osłabienie było duże, parobek począł odmawiać pacierze z myślą o końcu świata i na intencję ocalenia się wśród powszechnej zagłady. Zastanawiał się on nad tym, że już tylko jedna Wielka Sobota oddziela ludzi od dnia ogromnej katastrofy; stał się więc bardzo pobożny. Znekany głodem organizm tego człowieka osiągnął nastrój w najwyższym stopniu idealistyczny, czemu sprzyjała lekka gorączka. Klepiąc pacierze jeden za drugim Ocył wpatrywał się w powalę pełną dziur i gniazd gołębic poza stragarzami. Mimo woli nastęrczały mu się też myśli, jako koniec świata powinien by nastąpić raczej w Wielki Piątek niż w Wielką Niedzielę. Następnie rozważał, czy zapowiedziany „Jancychryst” ukaże się z dołu czy z góry, to jest, jeżeli kolej przyjdzie na stajnię i krowiarnię, jak się tu rozpocznie koniec świata: od pułapu czy też od podłogi?... A trudno mu było rozstrzygnąć ową wątpliwość; jednakże okoliczności go wsparły.

Tuż przy jednej z dziur będących w powale znajdowało się gołębie gniazdo, w którym z wielką cierpliwością wysiadywał gołabek, nie rozmyślając bynajmniej o końcu świata, jak to czynił zdolny do idei i przesądu człowiek. Kiedy Ocył spojrział we wspomnianą dziurę, ujrzał w niej parę iskrzących się oczu... Właśnie w ową chwilę czarny kot wpatrywał się był w gołębie gniazdo, postanowiwszy sobie widocznie wyprawić mięsną ucztę przy wielkim piątku.

Parobka przejęły dreszcze, słowem para tak przeraźliwie świecących ślepi mogła należeć właśnie do „jancychrysta”. Jakkolwiek chory, z wielką przezornością i w chciwości począł się Ocył przysuwać do brzegu wyrka, przymknawszy zaś oczy, aby nie spotkać się więcej ze strasznym spojrzeniem rzekomego sprawcy końca świata. Właśnie dotarł już był Ocył do samego brzegu swojego łoża, lecz nie miał odwagi spuścić się po słupie, kiedy czarny kot wyskoczył z dziury na gołębicę wylęgającą jaja; słychać było ogromny łoskot, zgiełk, rozpaczliwy pisk i szamotanie się duszonego ptaka ze swoim oprawcą. Przerażony parobek runął całym ciałem między wystraszone źrebięta, które z kolei znowu narobiły huk. Ocył tymczasem darł się na całe gardło jak szalony.

Klamczyna oraz dziewczki, zajęte w kuchni przedświętnymi przygotowaniami, pierwsze posłyszały jakiś gwałt w stajni, straszny krzyk ludzki i skakanie koni; wypadły więc kobiety przed dom i spostrzegły Ocyła wylęklęgo, chwiejnym krokiem uchodzącego ku dworowi. Zgiełk ów posłyszał również pan dzierżawca, zabiegł parobkowi drogę badając, co znaczy cała ta awantura. Ale wybladły chłop, który się zawsze jąkał, teraz z przestachu mówić nie mógł, zacinał tylko usta, mrużył oczy i rękami pokazywał na stajnię; chciał wypowiedzieć wyraz „jancychryst”, lecz się zaciął.

– Cóż to takiego?... Może złodziej?... – krzyknął pan dzierżawca, a parobek skinął głową i natężając się, zaledwie wydobył ze siebie:

– Jjjjan!.. Jjjjan!... – i nie mógł żadną miarą skończyć; wykonywał zaś tak gwałtowne ruchy rękoma i ustami, że właściciel stajni osądził za właściwe na miejscu sprawdzić, co się stało.

Szedł więc pan dzierżawca, a za nim Klamczyna i dziewczki do budynku, zajmowanego przez konie oraz rogaciznę. Tu między końmi popłoch już ustał, ale Klamczyna pierwsza rzekła z miną tajemniczą:

– Po górze hań coś chodzi, słycać chrobotanie!..

Pojawili się też niebawem parobcy, którzy pracowali w stodołach; każdy chwycił do rąk kij, widły, drąg; nawet i Satyr przybył tutaj, okazując wielkie ożywienie. Otoczono oborę i stajnię, a śmielsi poskoczyli wewnątrz. Naraz ze stajni wypadł jeden z fernali, cały uznojony od trudów poszukiwania, i oznajmił, że wielki czarny kot z gołębiem w zębach uwija się po górze.

– No, to i tego huncwota trzeba rozumu nauczyć! – krzyknie pan dzierżawca. – Będzie mi tu gołębie podchodził, złodziejskie nasienie!... Dalejże, chłopcy, wypłoszyć go tutaj!... Satyr, huź go, huź go!...

– Zacieczona jedna, w Wielki Piątek żre mięso bez żadnej pamięci ni na co! – powiedziała któraś z dziewczek, a słowa te zapaliły fanatyzm parobków i rzucono się namiętnie do ścigania kota, gwałciciela postu.

Jakoż po chwili ukazał się na dachu czarny kot z gołębiem w zębach. Widział on z góry, co się dzieje na dole, więc postanowił siedzieć na strzesze, dopóki tylko będzie można. Satyr aż podskoczył i zawył z nienawiści oraz niecierpliwości; być może, iż poznał znajomego, którego miał dawno na wątróbce, i chciał teraz jak najprędzej załatwić rachunek.

– Oooo! Ptaszek!... Nie ujdiesz mi ty! – wołał dzierżawca, rzucając kijem na dach.

Kot zapędził się kilka razy do dziury, chcąc ujść znowu wewnątrz, ale wewnątrz byli strasznie hałasujący parobcy. Nie było innej rady, tylko szlachetne ryzyko. Porzucił przeto Czarnuch gołębia i upatrzwszy sobie najbezpieczniejszy punkt zeskoczył na ziemię; po czym z kopyta ruszył, wpadł w kukurydzę, a z kukurydzy pod śpichlerz; za nim pośpieszyła gromada prześladowców, spuszczone nawet Kwiatka z łańcucha. Psy szczekały, włącząc pod przycieś, ludzie krzyczeli, sięgając do dziur długimi drągami, uderzając kijami w ściany. Kot tym razem był długo bardzo cierpliwy, co wszystkich rozjątrzyło w najwyższym stopniu. Jednakże kiedy zaciekły Satyr wtłoczył się w te lochy, kiedy głos jego zabrzmiał w podziemiach, kot nie mógł wytrzymać i w ogromnym przerażeniu wypadł z dziury na podwórze; przy samym wyjściu atoli otrzymał potężne uderzenie kijem i zachwiał się na nogach; w tejże chwili przyskoczył pędzący za nim Satyr, porwał go w pół i trzymając go w zębach trzął a trzął, dopóki nie wytrzął ducha; nareszcie rzucił o ziemię, a zziajany, z wywieszonym językiem popatrzył przez chwilę na nieboszczyka i odszedł.

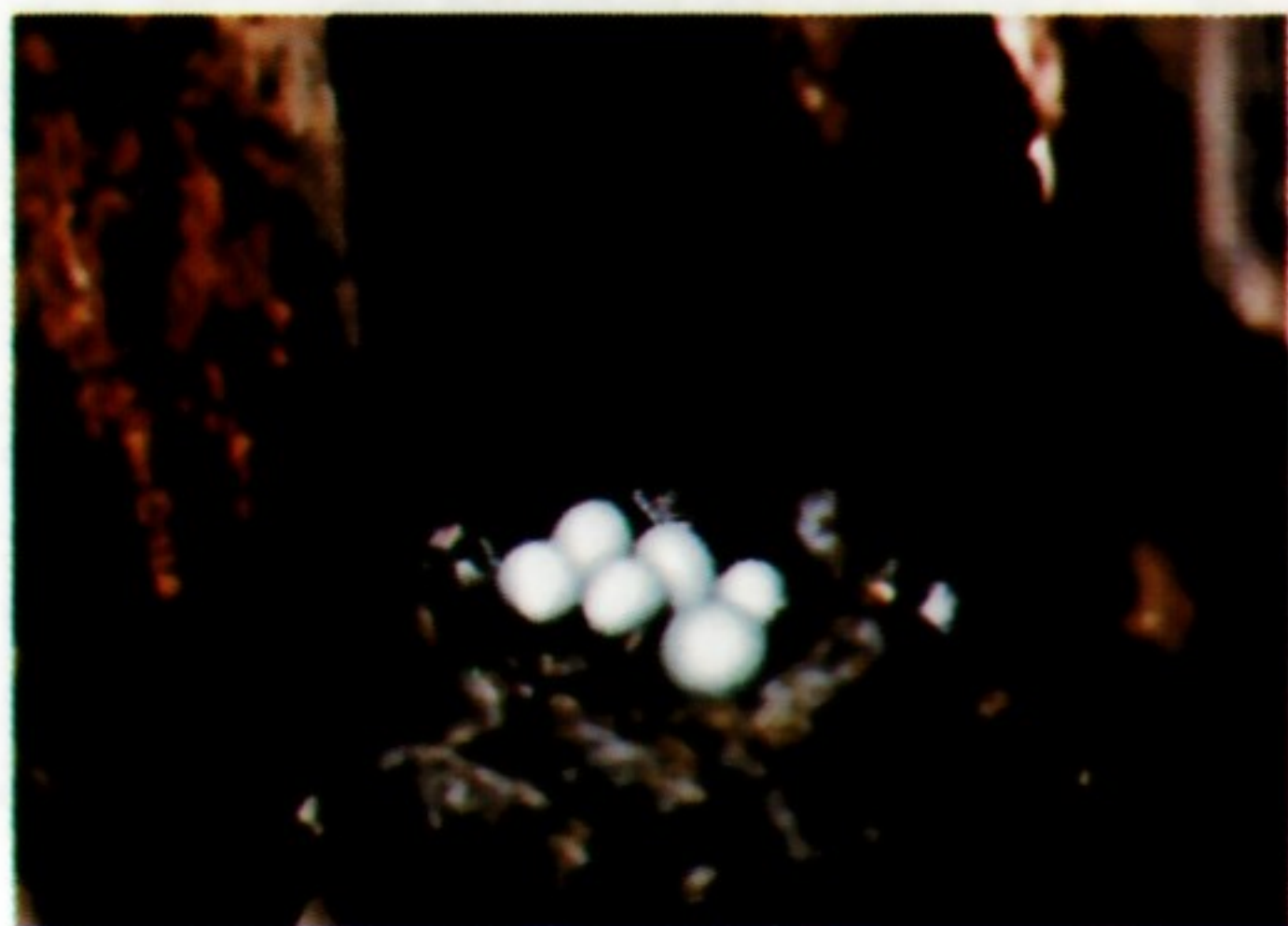
– No, co prawda, do niczego jesteś, lecz dobrześ zrobił, dając do dworu znać o tym rabusiu – rzekł zadowolony z polowania pan dzierżawca do Ocyła,



Pokrzewka cierniówka (*Sylvia communis* (loth.))



Łąkowy dywan



Jaja pleszki w gnieździe
(z boku na pierwszym
planie jajo kukulki)

Dolina Radomki



Pleszka
(*Phoenicurus phoenicurus*)



Mak polny



Skowronek polny (*alauda arvensis*)



Zięba (*Fringilla coelebs*)



Gniazdo zięby



Dolina rzeki Krępianki



Gniazdo sójki
z jajami



Sójka (*garrulus glandarius*)

stojącego opodal i omdlałego prawie. – Idź teraz do stajni i odleż swoje; jesteś widać chory!... W Wielką Niedzielę na kielbasy pewno wstaniesz...

Wybladły i stękający Ocył powrócił do swego gniazda, wlaź w nie i zasnął. Atoli w Wielką Sobotę nie mógł się już wcale podnieść, był bardzo chory! Inni parobcy krzatali się dnia tego od rana, znosząc do stajni siano, obrok, ażeby na wielkie święto zaopatrzyć i zwierzęta w pożywienie, a nie pogwałcić przepisów zalecających próżnowanie.

Atmosfera świąteczna zewsząd wiała, czuć ją było zarówno we dworku jak na całym podwórzu. W kuchni bowiem dziewczki pod wodzą Klamczyny wykonywały mnóstwo ważnych czynności: wierciły mak, biły jaja, tłukły cukier, parzyły rodzynki i migdały, przygotowywały twaróg do kołaczy, mieszały ciasto, warzyły kielbasy, główiznę i szynki, z czego woń rozchodziła się po okolicy. Parobcy, przechodzący przez podwórze od stodół do stajni oraz krowiarni, przystawali z koszami i z wiązkami siana lub słomy, a dla każdego niepodobieństwem było, aby się wobec bijących aromatów nie oblizał z apetytem.

Przy tych zajęciach w kuchni szła też żywa pogwarka, wyzwała się niewieścia pochopność do plotek, bajek, obmowy, przedmiotem czego był naturalnie Ocył.

A chory parobek leżał wyciągnięty na słomie, oddychał z ciężkością i jakimś nieruchomymi oczyma wpatrywał się w dziurę powały, gdzie wczoraj spostrzegł świecące ślepie kocie.

Przed wieczorem zaturkotała bryczka, z niej wyszedł poważny pleban, ażeby poświęcić i pobłogosławić mające nastąpić wielkanocne spożywanie mięsa. Na podwórzu pozamykano już drób, gołębie schroniły się na dachy, umilkł świegot wróbli, tylko klekot bocianów się rozlegał i w budzie skomlenie Kwiatka, co się zdał błagać o zwolnienie z łańcucha. Mnóstwo kobiet z dziećmi i z koszykami święconego oczekiwało przed dworkiem na duchowne błogosławieństwo. Poświęciwszy dworskie placki, mięsiwo oraz odkorkowane butelki z rozmaitym alkoholem ksiądz wyszedł przed dom i kropił święconą wodą skromne pokarmy chłopskie.

Później ucichło już wszystko, zniknęli gdzieś ludzie, pozamykali się, a zwykle pełne życia podwórze pokryły mroki nocy i zaległo uroczyste milczenie. W nocy zrobił się znowu jakiś zamęt dokoła dworu: z kuchni wychodziły dziewczki, ukazała się też Klamczyna, godowo ubrana; otwarto stajnię i do bryczki zaprzęgano cztery konie. Na te szmery porwał się z łoża swego Ocył i jakimś ochryplym głosem zapytał:

– Co się dzieje?...

Fornal, wyprowadzający konie do zaprzęgu, odpowiedział mu z dołu:

– Nie wiesz to?... Pan Jezus zmartwychwstał!

Chory jęknął i padł na swoje wyrko. W podwórzu znowu było cicho; gwiazdy nikły na niebie, ukazała się jutrzeńka.

O wschodzie słońca, gdy ludzie powrócili z rezurekcji, Ocył już nie żył; doczekał on się końca świata, który sobie jednemu przepowiedział.

Ze wszystkich dramatów, dramat ludzki jest dla nas najsmutniejszy.

Biały wróbelek

Wiosenne słońce uszczęśliwiało Warszawę zalewając ją snopami swych promieni. Wszyscy szli do Saskiego Ogrodu, gdzie zieleń liści i młodych trawek miała tyle cech świeżości i tyle powabu dla oka, że każdy chętnie spędził tu te parę godzin czasu, jakiemu w budzecie zajęć dziennych pozostawały wolne. Jaskółki, te istne nurki powietrza, ród niestrudzonych latawców, rześko zwijały się w błękitnym oceanie, zasiadły niekiedy na szczycie cukierni Loursa i stamtąd jakby heroldy głosiły światu, że oto wiosna odprawia swój tryumfalny pochód, a z wiosną miłość rozpiera piersi wszelkiego ziemskiego stworzenia. I miłość, i nadzieja!... Bóg szczęścia, życia, Bóg miłości i nadziei potrzebuje ciepłego słońca, aby się objawił na ziemi.

Smutnie wygląda wtedy żuraw Saskiego Ogrodu, ów niegdyś nieboszczytny latacz, a teraz wygnaniec na samotność skazany, pieszy pielgrzym tęskniący do powietrznych szlaków. Oto dziwna tęsknota go zdjęła, wyciąga szyję, spogląda w górę i nieszczęśliwy nasłuchuje, czy go hasło braci nie doleci skądś od nieba. On ma związane skrzydła!

Dzień był uroczy, wiosenny; pod werandą cukierni Loursa bzy zakwitły, a woń ich szła przez powietrze orzeźwione ciepłym deszczykiem, którego kropelki nie oschły jeszcze na liściach wielkich aloesów ustawionych w wazonach, mieniły się więc tęczą te krople wody w promieniach słońca.

Któż jest obojętny na złote pociski Heliosa*, kiedy ten wspaniały władca z wozem swoim jasnym wyjedzie w majowy ranek na niebo wolne od najmniejszej chmurki? Latorośl dzikiego wina w paki się stroi, słońce je muska, pieści, a one pękają i w liść się wiążą. Życia, szczęścia wszystko użyć pragnie. Na płaskim dachu werandy legł duży kot bury, mruży oczyma, grzeje się; rozmarza go i czaruje wiosenna przyroda. A po trawach, po krzewach bzów i wśród konarów kasztanów rozbrzmiewają miłosne swiegoty wróblego rodu.

* Helios – grecki bóg słońca (przyp. wyd.).

Okolo południa duży był ruch pod werandą; goście nieustannie się tu gromadzili: mężczyźni, kobiety i z nimi czestokroć dziatwa. Zeszły się artystki dramatyczne, piękne i brzydkie, modne dnia bohaterki i inne, dawno już wyszłe z mody. Gdzie zaś są boginie, tam muszą być i ich czciciele.

Usługujący chłopcy wnoszą z cukierni porcje kawy, herbaty, czekolady, a oprócz tego stopy brioszów, szpryckuchenów, ambasadorów, biszkoptów, biskwitów itd. Kot z płaskiego dachu werandy przygląda się obojętnie tym ludzkim zachodom, wróbelek czasem przechyli główkę i zazdrośnie spojrzy na obfite zapasy stołów.

Naraz weszła tutaj para młodych ludzi; ona miała lat ze dwadzieścia, on – może trzydzieści; ona była wysmukła jak młoda drzewina garnąca się w boru do widoku światła, była wiotka jak młodziutka palma, oczy jej połyskiwały jak brylanty, twarz płonęła jak centyfolia**, usta kraśniały karminem, uśmiechały się pogodnie, a pierś jej drżała, tak jak drga zwierciadło wód, kiedy je wietrzyk swawolny wzrusza.

On był wysoki, wytworny, we wzroku tkwiła siła męża krzepkiej ręki, postać zdradzała człowieka obytego z życiem.

Oczy wszystkich gości zwróciły się ku tej parze; spoglądano przez binokle, monokle i gołym okiem. Kobiety nachylały się do ucha jedna drugiej, snadź obmawiały postać przybyłej niewiasty lub jej toaletę, a zresztą przecież każdy ruch bliźniego można poddać krytyce. Ona była aniołem teatralnym pierwszorzędnej piękności, trzeciorzędного talentu; zwano ją Minią. On należał do złotej młodzieży, ale czasy jego złota przeminęły i pozostały mu tylko nałogi ludzi posiadających złoto; przyjaciele serdeczni nazywali go Tomciem.

Tomcio i Minia usiedli wśród świegotu wróbli i wśród szeptów ludzkiej obmowy, a służący podał im dwie porcje kawy ze śmietanką, na innej zaś tacy dużo ciastek. Minia ślicznymi paluszkami rozrywała miękkie ciasto i bawiąc się rzucała je ptakom, a ptaki chciwie rzucały się na pożywienie, piszcząc i cisnąc się po kilkanaście do jednego okrucha. Wśród tych szarych wróbli był jeden biały w połowie, różny od reszty wróbli. Ilekroć Minia rozrzuciła żywność, szare wróble usiłowały białego nie dopuścić do kawałka chleba; biły i czubiły go nielitościwie, wydzierały mu z dzioba przypadkiem pochwycone okruchy.

– Biedny jest na świecie taki biały wróbelek – powiedziała Minia.

Tomcio przyglądał się tej walce ptaków i rzekł:

– Ów biały ptaszek panią mi przypomina, szare wróble to twoje otoczenie, które ci zazdrości wdzięków i powodzenia w świecie.

Uśmiechnęła się lubo Minia, zalotnie spojrzała Tomciowi w oczy i dalej rzucała ptastwu okruchy zabawiając się niezmiernie walką wróbli.

– Bezwstydna zalotnica! – mówiła jedna z aktorek siedzących w oddaleniu, a w towarzystwie innej, już podstarzałej aktorki.

** Centyfolia – róża stulistna (przyp. wyd.).

– Założyłabym się – twierdziła inna znowu – że ta Minia będzie kiedyś za-
kałą naszego zawodu, który upośledzają sobą takie właśnie kobiety jak ona!

Młoda debiutantka^{***}, do której zwrócone były te słowa, westchnęła mimo-
wolnie i ukradkiem spojrzała w kierunku dorodnego towarzysza Mini.

– Ona się na szyję prawie garnie temu Bajeskiemu – oburzała się trzecia
jeszcze, której towarzyszył jegomość jakiś w rudawej peruce. – Bezecnica,
w oczy mu ciągle zagłada i zdaje mi się, że go nogą trąca pod stolikiem...

Stary jegomość westchnął mimowolnie i ukradkiem posłał spojrzenie w kie-
runku urodziwej towarzyszki Tomcia.

Tymczasem bury kot z płaskiego dachu z żywym interesem począł się przy-
patrywać zaciętej walce wróbla o okruchy ciasta; oczyma już nie mrugał do
słonka, lecz ułożył ciało do skoku; leżał nieruchomy, czasami tylko od niechce-
nia strzygąc jednym uszkiem.

Minia wzięła z tacy nowe ciastko i skubiąc je paluszkami znowu rzucała
wróblom garstki okruchów. Zrobił się ogromny ścisk ptastwa około biesiady
spadłej z ludzkiego stołu; słyhać było trzepot skrzydełek i ciągły głos:
„trzszy, trzszy,!” Wróble zlatywały się z odleglejszych okolic ogrodu, ilość
ich wzrastała nieustannie, a biały wróbelek spotykał coraz więcej nieprzyjaciół
wśród szarych pobratymców.

Widocznie był on bardzo głodny, więc tym skwapliwiej usiłował dobrać się
do jakiegoś kąska. Ale zaledwie uchwycił w dziobek kawałek ciastka, już mu ze
wszech stron pokarm wydzierano, a oprócz tego zewsząd się nań posypał grad
pocisków. Popielate samiczki i czarnogłowe czupurne samczyki biły go zapal-
czywie jakby intruza. Od tych ciosów w pył się przewrócił nie mogąc ustać na
nogach ani nie mając czasu, aby wzlecieć w powietrze.

W tej właśnie upatrzonej chwili z płaskiego dachu werandy szybko, nagle,
a lekko zeskoczył kot bury, spadł prosto pomiędzy walczące ptaki; w mgnieniu
oka uciekły w popłochu wszystkie szare wróble, uleciały na bzy, na wysokie
kasztań... Ale sponiewierany biały wróbelek nie zdołał się tak prędko porwać
z ziemi; on, biały i prześladowany, stanowił dobry cel dla skoku kota. Wnet też
napastnik unosił w zębach trzepoczącego się białego ptaszka, pomknął i znikł
z nim w krzewach.

Wszystko to było dziełem tak krótkiej chwili, że nikt ofierze kota pomocy
nieść nie zdołał.

– Patrz pani – rzekł Tomcio – kto by się spodziewał tak smutnego obrotu
rzeczy?

– Smutnego?... – spytała Minia. – Jeżeli białym wróblom jest źle na świecie
wśród szarych, to powinny one szukać sobie kotów.

– I po co szukać? Wszak koty czatują na wszystkie strony... Lepiej się od-
dać najbliższemu – powiedział Tomcio patrząc uważnie w twarz Mini.

^{***} Debiutantka – zaczynająca karierę, zawód (przyp. wyd.)

A Minia zamyśliła się, jakby posmutniała, zresztą może tylko jakieś postanowienie ważyła w duszy. Słońce przedarło się przez młode listki dzikiego wina okalającego werandę, igrało około jej śnieżnej szyi, ślizgało się po powierzchni czoła, co wyznaczyło wyraźnie prawdziwie piękną głowę kobiety. Tomcio wpatrzył się w tę żywą statwę z uczuciem nierównie silniejszym niż uczucie najgorętszego lubownika sztuki snycerskiej.

Ona nagle powstała, powiodła okiem po przyglądających jej się z zawiścią aktorkach, uśmiech lekceważenia zaigrał na jej pięknych usteczkach i podała Tomciowi rękę mówiąc głośno:

– Skoro świat ten jest już tak urządzony, że między szarymi wróblami białego wróbla zawsze kot jakiś zjeść musi, to bądźże pan moim kotem...

On podał jej swoje ramię i wyszli spod werandy razem wśród powszechnego oburzenia aktorek.

*** Debutantka – zaczynająca karierę zawód (płsz. wzd) artystki (płsz. wzd) – debiutantka

Kuropatwy

1

Iakże dobrze być pisklęciem, żyć pod opieką czułą pary rodzicielskiej w gąszczu koniczyny albo pszenicy!

Świat uśmiecha się pogodą słoneczną, pachnie kwiatami. Pieśni skowroncze, przepiórcze i przygrywki świerszczów brzmią naokoło. Zające młodociane wyprawiają płasy ucieszne przy księżycu.

Raj życia!

Przyszłość rozkosznie przemawia do wyobraźni ptaszęcia, które otoczone pieścotami matki szczerze wierzy, że żywot ziemski jest jednym pasmem szczęścia.

Szesnaścioro braci i sióstr wylęgło się w gnieździe, ogrzewanym piersią macierzyńską. Ciepło serca tkliwego powołało tę dziatwę do życia.

Kurczątko drobne, kuse, przyodziane w puch miękkie opuściły chatę natychmiast po urodzeniu. Skorupki jaj jeszcze wisiały u skrzydełek, tkwiły na czubkach główek. Maleństwo utykało, chwiała się na nóżkach wątych, a i tak popiskując ciekąło za panią matką po bruzdach.

Tatuś, bohater dzielny, strażuje gdzieś na kresach niwy, odwraca niebezpieczeństwa groźne od strzechy rodzinnej. Matusia, bóstwo dobroci, ciągle przebywa z drobiazgiem, a karmi, a naucza, wychowuje.

Oj, droga jest ta pierś rodzicielki, naga, pozbawiona pierza od długiego wysiadywania na gnieździe!

Taka miłość serdeczna i poczucie wspólności ożywiają rodzinę, że tu nie ma: „ja, ty, on”, tylko „my” tkwi w duszy każdego. Jest nam bardzo dobrze! Ale matka, biedactwo, zawsze gotowa oddać życie za dzieci, nie dojada, nie dosypia – szczyt poświęcenia.

Aż tu jednego dnia sierpy zadzwoniły, poczęły żąć pszenicę, niszczyć kraj rodzinny.

Koniczyna zwalona już leżała na pokosach, schła, pachniała.

Była to chwila wielce pamiętna, kiedy o zmroku ojciec chrobry stojąc na miedzy przemówił do swej czeladzi:

– Wziąć nogi za pas i ruszać w derdy na niwę grochową! A pomykać chyłkiem, cichutko, bez szmeru najmniejszego!... Za mną dzieci!

W kilkanaście dni potem rodzina musiała się znowu przesiedlać z grochu w kartofle i proso. Zające, przepiórki robiły to samo.

Świat się zmieniał, szpetniał. Ziemia coraz bardziej łysiała, płowiała.

Jastrząb na stałe wyniósł się z lasów w pola, krążył ponad rzyskami, badał z wysoka paprzyska**** kuropatw, kotliny zajęcze. Na szczęście ojciec umiał zapobiegać napaści.

To gorsza, że człowiek rozpoczął teraz polowania codzienne z wyżłem i bronią palną. Rodzic stary, zawsze waleczny w obronie swoich, pierwszy zginął od kuli ołowianej. Był taki mądry, taki mężny i zginął...

Zlany krwią spadł na rżysko, trzepotał skrzydłami, konał. Wyżeł nadbiegł, wziął go w zęby, przyniósł do ręki pana. Klęska...

Strata ojca-wodza stanowiła początek rozbitcia rodziny. Matka owdowiała miała tylko serce dla dzieci, nie umiała trzymać gromady w karbach karności. Pies zawzięcie tropił stado, a huk strzałów zabójczych nieciły przestkach ogromny, rozrzucały rodzeństwo po okolicy. Rozbitki głosem smutnym, trwożnym zwiabiały się o zmroku, aby codziennie oplakać stratę brata lub siostry. Nareszcie jednego razu, o żalości przesmutna, zabrakło matki... Na próżno sieroty wołały tęskliwie:

– Bywaj, matusiu nasza luba, bywaj!

Przepadła dla nich na zawsze. Syn pierworodny, głowa zdolna, zastąpił z czasem ojca i hetmanił gromadzie, ale serca matki nikt nigdy nie zdoła zastąpić. Taka tkliwa, taka dobra, piękna w czynach swoich i zginęła...

Mróz ścisnął, śniegi zwały, zima przyszła. Kruki i wrony z krakaniem lecą za żerem od borów. Jastrząb posepny po całych dniach odprawia czaty na gruszy polnej lub na stogu siana.

11

Nie widać świata w tumanach śniegu, który niebiosa wymiatają na ziemię. Słupy piachu białego hulają po wzgórzach, wicher przygrywa im gwizdem i wyciem wściekłym. „Wiuu!..”

Pędzą ku dolinom jakby porwane szałem dzikim, zawalają po drodze wężwozy, sypią wały, kopce. Wypadły na łąkę, rwą zaciekle w płasach wirowych, suną obertasa po lodach gładkich rzeki, wyrzucają niekiedy w górę garść kit trzeci-

**** Paprzysko – gniazdo kuropatw (przyp. wyd.).

nowych albo kłak zielska uschłego. A wicher zda się teraz buchać śmiechem piekielnym czy zionąć przekleństwem: dmie potężnie, śwista przeciągle, syczy po lodzie: „I-wwiii...”.

Tnie wężami śniegu zimnego, leci, leci, podskakuje i zawraca w okółek, potyka się, a huczy, a piszczy: „Wiii!...”.

Noc, dzień i jeszcze noc całą zima wyprawiała sobie pląsy mięsopustne z wodzirejem, wichrem wartogłowym, na czele. Zmęczyła się widać srodze i nareszcie zbalowana, zhasana, padła na spoczynek.

Dera śniegu, gruba, lśniąca, pozałamywana w fałdy olbrzymie, przykryła ziemię. Było tak czysto, tak błyskotliwie biało dokąd sięgnąć okiem, że można oślepnąć. Cisza życia zmrożonego, zimno dołów mogilnych panowały wszędzie. Nigdzie ani znaku karmy, a tu głód doskwiera, szarpie boleśnie trzewia.

– Jeść, jeść! Na miłość boską, jeść! – zdają się wołać ptaki w polach i borach.

Pięcioro dzieci, pozostałych na świecie z rodziny kuropatwiej, przetrwało burzę zimową pod osłoną krzów tarniny w podszewce zaspy śnieżnej. Drzemały przyklepione jedno do drugiego, głowy pod skrzydłami i serca bijące. Broń Boże wychylić się z dziobem!... Zawieja straszna mogłaby urwać głowę, wyskubać pierze.

Uśmierzyło się przecie. Kuropatwy wyjrzały na świat Boży.

– Panie święty, jakże biało i cicho, i zimno!... Trzebaż nam pomyśleć o kawałku chleba... i to niezwłocznie... Oj, głód okropnie dokucza. Lećmy, bieżmy, szukajmy jakiej stawy!

Strojne, gładkie, ubrane dostatnio w szaty zimowe wypadły z kryjówki. Uniosły skrzydła i na wpół lecąc, na wpół biegnąc mykały po niwie bieluteńskiej, jaśniejącej w blasku słonecznym. Białość nieskażona, czystość wytworna i mróz naokoluteńko.

– Żebyż gdzie znaleźć bodaj kilka grudek ziemi czarnej i tym nasycić czczość straszliwą żołądka pustego!

Jest to życzenie z krainy marzeń nigdy niedościgłych. Ziemia biała, zimna, martwa, nieużyta wygląda dziś jak opoka twarda i bezpłodna. Jej łono odtrąca dzieci rodzone i jakby przemawia:

– Chcecie istnieć, to przetrwajcie głody, mrozy! Inaczej gińcie jako niegodne bytu!...

– Matko, miejże litość, odmień swoje przykazanie!

Na próżno! Bryła błota skostniałego i kamieni na zna uczuć, nie współczuje.

Poleciały na łąkę. Tu także wszystko zadęte... O szczęście! W oddaleniu, tam nad brzegiem rzeczki, kilka szczygiełków barwnych otrząsnęło śnieg z łodygi ostu uschłego i skrzętnie wydobywa ziarnka. Człowiek, który odkrył kopalnię złota, nie jest tak szczęśliwy jak te szczygiełki świegotające.

Nasze kury wydały okrzyk głodnych:

– Lećmy, lećmy!

Poskoczyły w derdy ku okruciom strząśniętym. Mocny Boże, marneż to używanie na plewach pustych ostu, na liściach suchych i kolących!... Jednakże każdy nędzarz tak oszukuje swój żołądek.

Krzążają się skwapliwie: brat siostrze, siostra bratu wydziera ochłap podły. Wtem jakiś cień ciemny padł na ziemię białą i ptaki zrozumiały, co to znaczy.

– Strach, strach, strach! – Najprzód szczygiełki pierzchły w mgnieniu oka. A tu jastrząb rozbójnik rzucił się z podniebia i prędzej niż można opowiedzieć porwał jedną z kuropatw. Wojna bywa przyczyną głodu, głód przyczyną wojny. Takie jest prawo obosieczne życia.

Pochwycona w szpony wydała pisk głuchy trwogi. Jej krew szkarłatna splamiła niwę niepokalanie czystą, a piórka wydarte bujały w powietrzu.

Drapieżnik niedaleko odleciał ze zdobyczą, usiadł na wzgórzu śnieżnym i zabrał się do uczy: rwał dziobem kawałki ciała, w którym życie jeszcze drgało.

Zawsze słaby tylko i głodny ginie, silny i możny wyprawia uczy.

Cztery kury pozostałe znikły z widowni. Każda uchodziła na swoją rękę, gdzie oczy niosły, i głęboko zaszywała się w śniegu.

Grom nieszczęścia, strach szalony o życie czasowo rozerwał związki rodzinne. Ale jakżeby biedacy i słabi mogli wyżyć na świecie, gdyby nie znajdowali oparcia w związkach z powinowatymi i równymi?

Zaraz więc po zachodzie słońca najśmielsza z kuropatw opuściła ukrycie i poczęła zwabiać inne. Schodziły się, a każda miała nadzieję błogą, że może usłyszy nowinę dobrą, znajdzie pociechę, radę u duszy pokrewnej. Jeszcze niezupełnie ochłonęły z przestachu, głód pożerał je coraz dotkliwiej. Trwożne, znękanе krzepiły się jednak, jak mogły.

Mróz szedł na noc, szczypał strasznie. Światła wszechświata ozdobiły niebo.

– Pst! Jakieś dudnienie głuche daje się słyszeć od lasu... Oj, w tym boru różne istoty okropne żyją! Uciekajmy na wszelki wypadek! Pan Bóg opiekuje się tylko ostrożnymi...

– Nie, nie! To zajac pędzi, nasz powinowaty. Hej! Baczość. Miarkujmy, w którą stronę on zmierza i dalejże w jego ślady!

Szarak pomyka, co chwila przystaje w słupek i znowu bieży. Kury pogoniły za nim już pieszo, już na skrzydłach. Dotarł do niwy na wzgórzu, stanął, oglądał się, nasłuchiwał; potem jął szybko łapami przednimi odgrzebywać śnieg twardy. Była to praca ciężka, gdyż warstwa śniegu gruba i ubita pokrywała pole. Zajac i tak zrobił swoje: dobrał się do pożywienia, chrupał, aż mu się słuchy trzęsły. Kiedy zaspokoił głód i odszedł, kury przypadły do żerowiska, rzuciły się z chucią ogromną na jedzę; dawno już nie używały takiej rozkoszy stołowej. Rzepak smakowity wyrósł był bujnie, a listki jego, nieco zwarzone mrozem, zaprawne goryczką, stanowiły pokarm znakomity.

– Trzeba się rzetelnie nasycić, gdyż nie wiadomo, czy i kiedy znajdziemy znowu żłób tak obfity!... Rozkosz, co za smakołyki!

Kuropatwy jedzą zawzięcie, zajac już syty podskakuje w pobliżu, wyprawia jakieś płasy osobliwe. Gwiazdy zalały niebo jasnością i zdawały się patrzeć z zadowoleniem na tanią ucztę głodnych.

ci?... Bo może ten kogut okazywał najwięcej usilności, ażeby ocaleć, może też posiadał siły i zdolności najlepsze po temu... Może Bóg tak chciał, jak się stało...

Sam jeden ostał na niwie rodzinnej i kiedy śniegi stajały, biegał nawołując:
– Ki-rek, ki-rek!...

Raz o zmroku usłyszał odpowiedź, pośpieszył za odgłosem i znalazł polowicę.

Gniazdo kuropatw znowu powstało na tejże niwie. Cieszcie się jastrzębie, lisy, kuny, ludzie i inni drapieżnicy! Nie pomrzecie z głodu, gdyż ziemia-matka wychowuje dla was zdobycz łatwą z słabych.

Gody życia

Rozdział 1

Pochodził z bardzo starożytnego rodu Mysikrólików, których w ciągu wieków nie skaziła przymieszka krwi obcej. Błąd rodowy nie obarczył tu nigdy ani miecza, ani kądzieli, chociaż w borze pełno jest śpiewaków, niebezpiecznych dla płci pięknej, i baletnic, gotowych zawracać głowę rycerzom. Taki słowik, takie sikorki, pokrzewki różne: istna opera i cyrk, i balet! Przy tym Mysikróliki żyły i żyją w ubóstwie, nie zawierając związków małżeńskich dla wiana! Dusza naszego ptaka, wychowywana w swojskości z pokolenia na pokolenie, i odziedziczona wadliwość w budowie skrzydeł wstrzymywały go od kosmopolityzmu ptaków przelotnych. Natomiast znał przebywornie wszelkie dziury kraju ojczystego i wyrobił w sobie zręczność, sprawność przemykania przez kręte a ciasne labirynty puszczy nad Prądnikiem.

Doświadczył on tam mnóstwo przygód, nie znanych innym ptakom. Wywodził w pole chytrość lisią, robił zawody drapieżności kotów, wron, srok, krogulców. Nie dawał się pożreć. Miewał nieraz spotkanie oko w oko z myszą, jaszczurką, wężem, kretem, jeżem i nic sobie z tego nie robił: myk i zniknął bez śladu. Ileż razy staczał bój z ropuchą i wydzierał jej z ust mszyce albo pająka!

Wszystkie te zwierzęta tak mu spowszedniały, że wcale nie zwracał na nie uwagi. Ba, częstokroć śpiewał, choć miał przed sobą niedźwiedzia, żmiję, człowieka! Ale trwoga niewysłowiona przejmowała go na wskroś, kiedy w nocy wołanie jakieś straszliwe rozlegało się po borze: „U-hu-huu! U-hu-huu!” Serce waliło młotem w piersiach ptaka dziennego, sen uciekał z powiek, przecucia złowieszcze dręczyły duszę.

– Oby jak najprędzej doczekać jasności dziennej!

Wyobrażał sobie, że ten wołacz jest smokiem jadowitym, okrutnym, obrośniętym w kudły powichrzone, ma łeb szpetny o paszczy ziejącej wściekłością i uzbrojonej w kły mordercze – że dybie na wszechptastwo, zabija je wzrokiem samym i oddechem.

Strwożony, rano przecierał oczy, puszczał się w drogę, widział ślady krwi przelanej, pióra wydarte czyżyków, szczygłów, gilów, sikorek, drozdów, dzięciołów, krasek.

– On to sprawił, potwór niewidzialny, który wyje po nocach tak strasznie, tak przeraźliwie:

Mysikrólik jęczał trwożliwie!

– Czyk, czyk, czyk!

I zniknął gdzieś w jamie podziemnej, jak gdyby pragnął ukryć się przed swoim własnym wyobrażeniem smoka, którego nigdy nie widział na oczy. A okropne „u-hu-huu!” ciągle huczało mu w uszach.

Słońce jasne coraz wyżej wznosiło się na niebie i w miarę tego malały obawy Mysikrólika. Wyraz niepokoju, przerażenia zniknął w jego oczach czarnych, a blask szczęścia, nadziei, wiary w życie poczynął je ożywiać.

– Och, słońce, królu jasny nieba, dlaczego nie przyświecasz nam zawsze? Dlaczego opuszczasz dzieci swoje w nocy i wydajesz je na łup złobie* ciemności? Dlaczego w zimie tak krótko, mdło jaśniejesz nad ziemią i pozbawiasz nas ciepła? Słońce, prawdo dobra, błoga, bądź z nami!

Mysikrólik, inaczej strzyżyk, był czystym poganinem, czcicielem słońca: żył w dzień, lękał się nocy. Bił pokłony słońcu jasnemu, śpiewał mu hymny uwielbienia szczere, serdeczne. Słowik śpiewa dla popisu: głośno, czysto i przy nocnym oświetleniu nieba. Pieśń strzyżyka wypływa jedynie z potrzeby duszy: jest ona dla słońca, brzmi cicho, rzewnie, wśród gwaru i wrzasku dziennego. Jemu wcale nie chodzi o to, aby go słyszano: modli się i jest szczęśliwy.

Wyskoczył skądś niespodziewanie, jakby spod ziemi, zawołał:

– Czyk, czyk, czyk!

Spojrzał wokoło, rzucił się w prawo, w lewo i przepadł, a potem znowu się ukazał. Ta odrobina, słabizna, ma w żyłach krew bardzo bogatą, umie podołać wszystkim zadaniom życia.

Latem spotkał się często i przyjaźnił z rudzikiem-krasnoogonkiem, ze słowikiem: pobratymstwo duchowe zbliżało te ptaki. Zresztą prowadził żywot dosyć samotny, nie uchylając się jednak od różnych obowiązków, na których spełnianiu polega dobro pospolite mieszkańców puszczy. Bo z kim tu zawierać stosunki przyjaźni zażyłej, co to raz na zawsze?...

Prawdę mówiąc, słowik jest próżny, płochy; rudzik – niezdara i charakteru słabego. No, ale ci dwaj mają przynajmniej talent z łaski Bożej, wycierają nim

* Na końcu książki znajduje się alfabetyczny słowniczek, objaśniający wyrazy staropolskie, trudniejsze formy językowe, właściwe prozie Dygasińskiego.

kąty poza granicami ojczyzny i świat się dowiaduje o istnieniu kraju nad Prądnikiem. Gil – trubadur ckliwo-uczuciowy: stosunek z nim prędko się przejada, powszednieje. Zięba – zarozumialec waśniowy, ma zawsze swoje „ja” na ustach. Sikora – przewrotność uosobiona, nosi płaszcz na obu ramionach: gotowa zgubić przyjaciela, jeśli jej o zysk chodzi. Wróbel – samolub domorosły, który nic już nie widzi poza sobą i swoją rodziną. O srokach, sójkach, wronach, dzierzbach mówią straszne rzeczy. Ciągłe się słyszy:

– To złodziej, to szpieg, stręczyciel, opryszek!

Ma się rozumieć, dużo jest w tym przesady.

Strzyżyk używał wśród ptaków boru sławy wróża-ostrzegacza i jako ptak prawdomówny znajdował wiarę u wszystkich. Czyżyki, szczygły, dzwońce, gile, pokrzewki tak mu ufały, że nie sprawdzając, co za niebezpieczeństwo grozi, niosły dalej w las jego ostrzeżenia i hasła trwogi. Dzięcioły, drozdy, turkawki, a nawet wiewiórki wołały wtedy – każde po swojemu:

– Baczość, baczość!

Rzecz prosta, chodziło zwykle o gniazda, o pisklęta, jaja najdroższe, o przyszłość pokoleń. I rzeczywiście było drzeć o co: bo już lis skradał się do gniazda ciecioriki, już krogulec zagrażał drozdom młodziutkim, sójka lub sroka była w pobliżu gniazda szczygłego albo – nieszczęście, równe klęsce ostatniej – kukułka podpatrywała, komu podrzucić swe jaje.

Mysikrólik wołał ostrzegawczo, a wszystkie ptaki zdwajały czujność i robiły, co należało. Więc posiadające zasób sił i odwagi uderzały ławą na wroga, zwykle z wrzawą niemąłą. Słabe, lękliwe jęczały z trwogi, zmykały do kryjówek. Niektóre udawały zuchów takich, co to umieją kiwać palcem w bucie.

Każdy ptak wyssał z żółtka jaja macierzyńskiego odpowiedni sposób walki z wrogiem gatunku.

Strzyżyk spełnił obowiązek obywatelski, narobił nieraz rwetesu w puszczy, po czym uchodził do pierwszej lepszej dziury mysiej albo dawał nura w kupę chrustu czy liści suchych. Po chwili znowu się zjawiał i wołał:

– Czyk, czyk, czyk!

Bo zawsze tak czykał; ale brzmiało to inaczej, kiedy zapowiadał:

– Obywatele, czuwajcie!

A inaczej, jeśli wyrażał uczucie miłości małżeńskiej, rodzicielskiej lub okazywał radość, smutek, podziw, uwielbienie, nadzieję. Przecież i człowiek częstokroć wypowiada wszystkie te uczucia przez jakiś jeden wykrzyknik: „Oj-jej”, „Ach!” Czykał głośno i publicznie, śpiewał cicho i w ukryciu. Mimo niepokażności posiadał dużo rozumu i dzielności życiowej: był jednym z tych, którzy się nie dają zjeść w kaszy.

Jako pustelnik, stroniący od świata zgiełkliwego, przepędzał znaczną część życia w zaciszach ustronnych, być może – i na rozmyślaniach. Znał on na wylot jamy w ziemi, większe i mniejsze, dziuple drzew wypróchniałych, jaskinie skał, gdzie sowy i nietoperze budują gniazda, gdzie kości i ciała prapranieboszczyków leżą zbutwiałe, spopielone. Jego sposób życia miał urok tajemniczości dla ptaków, skłonnych do zabobonu.

– Mysikrólik niezawodnie wie daleko więcej niż my, żyjący wyłącznie na powierzchni ziemi!

Tak mniemano powszechnie i uważano go za wieszczka-czarodzieja.

Ludzie współcześni, jeszcze zabobonniejsi od ptaków, poczęli go nawet czcić jako ptaka zagadkowego.

– Duch zły albo dobry: na wszelki wypadek lepiej oddać takiemu pokłon.

Z wyjątkiem jastrzębi, kruków, tłumu wron każdego uderzała też w oczy ta okoliczność, że strzyżyk śpiewa nawet w zimie.

Gdyby poezja żyła tylko prawdą rzeczywistą, umarłaby z głodu! Zresztą dusza każdego stworzenia żywego jest prawdą najistotniejszą.

Nasz bohater skrzydlaty żył w bezkrytycznych czasach bałwochwalstwa: czci Słońca, bogini Wandy, Żywy – wiary powszechnej w walkę uporczywą bóstwa światłości z bóstwem ćmy nocnej. Miłośnik nieposzlakowany swojej ojczyzny leśnej, żył szczerzuchnie szczęśliwy w Bohborze nad Prądnikiem.

Tylko ten smok straszny, bies nocny, to okropne „u-hu-huu”... Zły, z oczyma płomiennymi, przetrząsający gąszcze niedostępne, bładzający po wrzosowiskach, po ługach błotnych, ponad źródłami i jeziorami świętymi! Już zawył straszliwiej aniżeli zgraja wilków.

– Bóstwo jasne, przybądź, pokonaj króla ciemności, śmiertelnego wroga życia!

Potwór jaskiń nadprądnickich, mocarz ćmy nocnej – nie był taki, jak go sobie przedstawiała wyobraźnia bujna Mysikrólika poety. Wyglądał z barwy niby odłam epoki – podobnie jak ona – zapisany hieroglifami czarnymi na tle szarym. Spędzał dzień cały w wydrążeniach skał albo w gąszczach liściastych, przytulony do pnia drzewa. Posępnie napuszony, zły czy smutny, drzemie wśród jasności dnia z oczyma na wpół otwartymi, a dokoła niego wrą zgiełki życia. Usłyszał jakiś szmer w pobliżu swego leża, nastawił dwa pióropusze czarne, zdobiące mu głowę przy uszach, i zwrócił w stronę odgłosu parę oczu wielkich, okrągłych, połyskujących jak dwa dukaty.

– Ech, nic godnego uwagi nie zaszło w puszczy!

Niedźwiedź w barłogu głośniejszym pomruknął, kot dziki z drzewa na drzewo dał susa, odyniec zgrzybiały i marudny fuknął gniewnie na wilki natrętne, które chcą wziąć po nim w schedzie skórę i mięso, dzięcioł odłupał dziobem za duży kawałek kory, dwie wiewiórki z igraszki wyprawiają gonitwę. Szmary to zwyczajne w naszym borze.

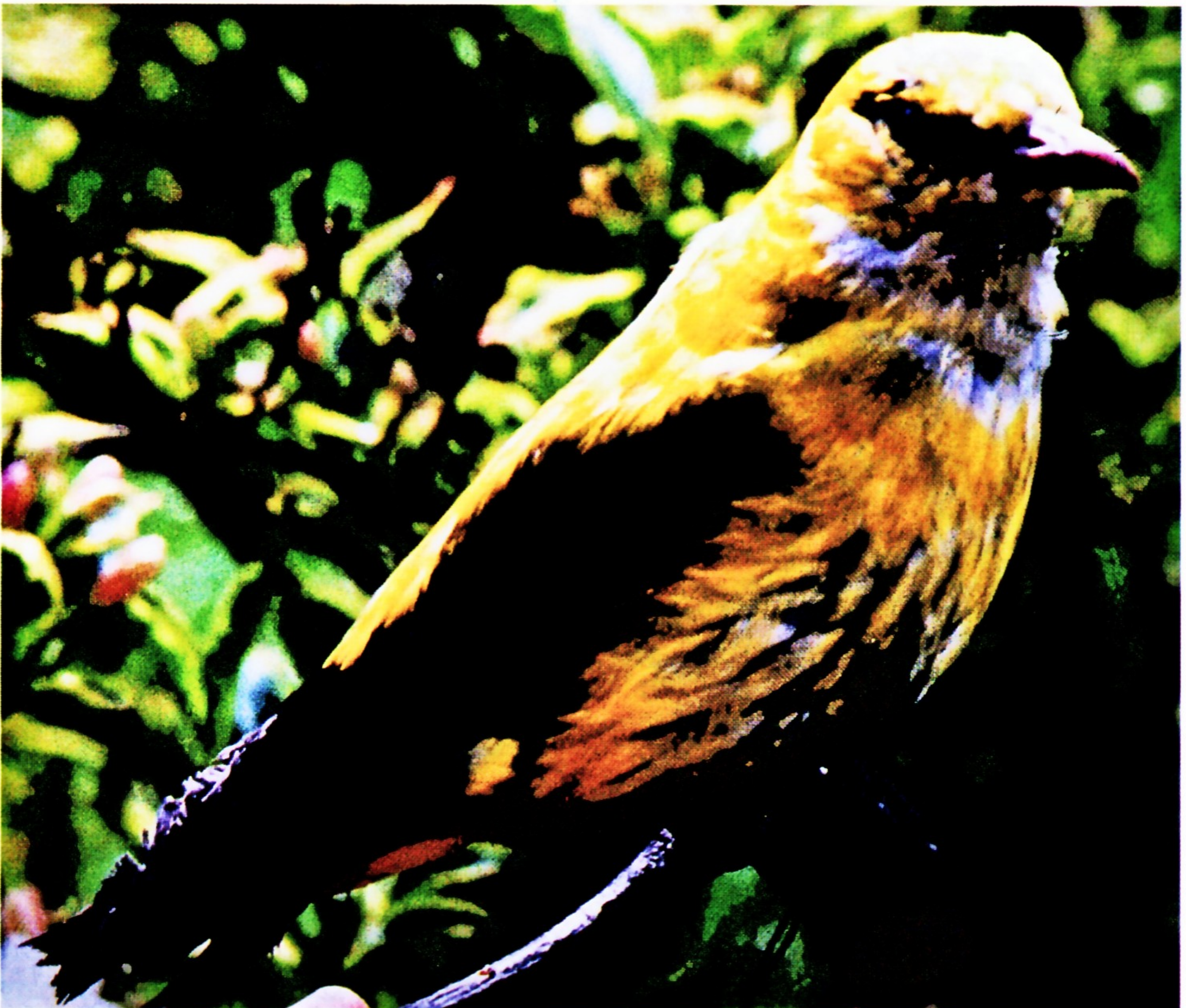
Poprawił więc na sobie płaszcz suty, czarno pręgowany, otulił się nim tak, że tylko widać spod szaty palce, uzbrojone w szpony potężne. Pióropusze czarne opadły na łbie okazałym, zaopatrzonym w nos hakowaty, spiczasty. Jego ślepie okropne, dziób i szpony mówią wyraźnie, że sposobem do życia jest rozbój nocny.

I znowu drzemał z oczyma na wpół przywartymi. Księżę ciemności oczekuje nadejścia nocy: dopiero wtedy umie on władać.

Słońce zachodzi jaskrawo, ostatnimi promieniami żegna szczyty drzew, garby skał najwynioślejszych. Wieczornica złota wystąpiła na niebo i zda się



Malownicze meandry rzeki Radomki



Wilga (*Oriolus oriolus*)



Gniazdo makolągwy z jajami



Makolagwa (*Carduelis cannabina*)



Jar



Gniazdo słowika rdzawego

Kwitnące bzy pod Wielgiem



Słowik rdzawy
(*Luscinia megarhynchos*)





Gniazdo pliszki siwej z jajami
(w środku jajo kukułki)

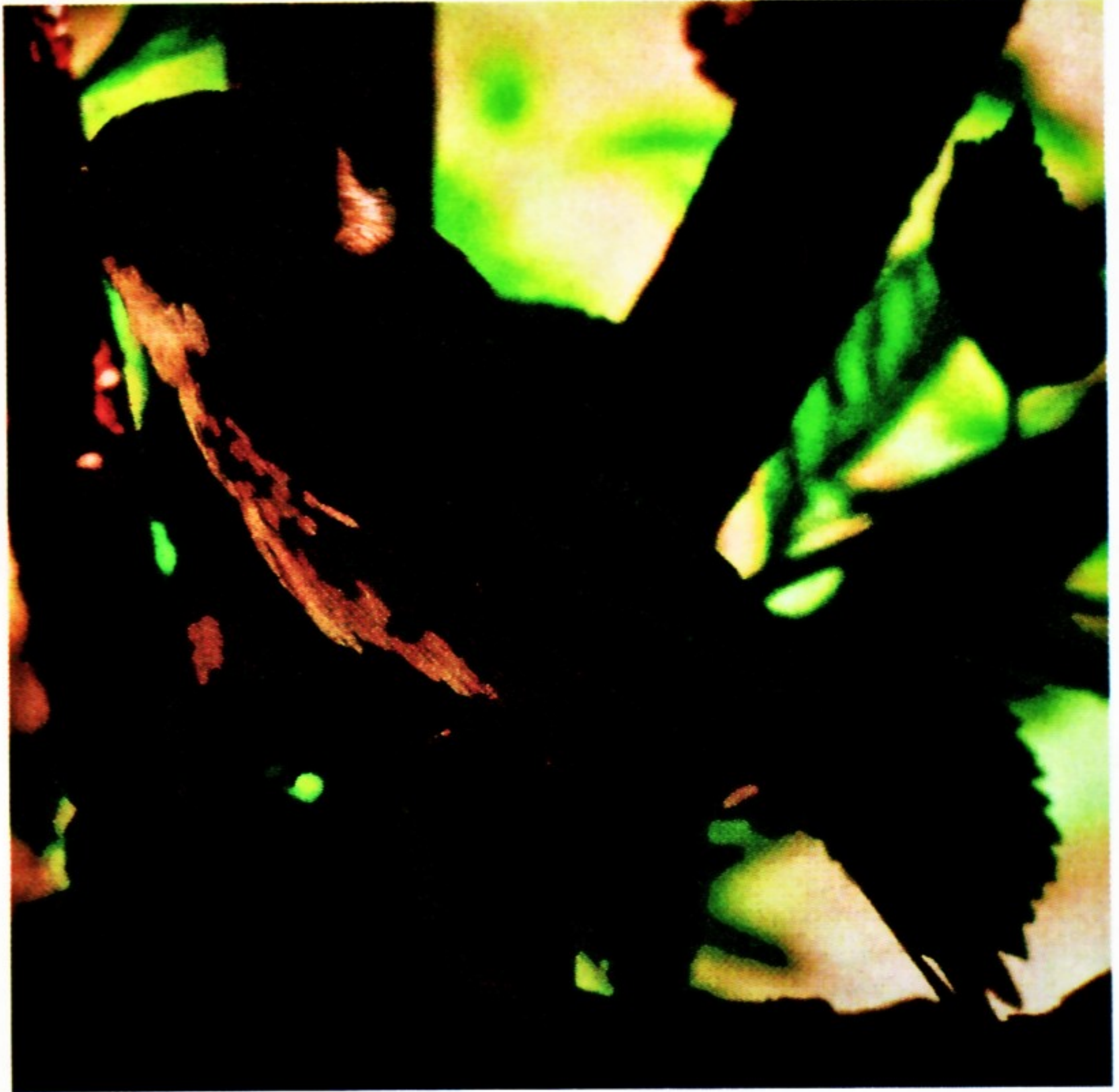
Ruiny wodnego młyna nad Krępanką koło Lipska



Pliszka siwa
(*Motacilla alba*)



Gniazdo muchołówki szarej z jajami
(z brzegu jajo kukułki)



Muchołówka
(*Muscicapa striata*)



Kładka

z lubością spoglądać na bory ogromne, których cienie nakrywają ziemię płachtą nocy przedwczesnej. Kukułka rzuca światu zamroczonemu dobranoc, wrony zakrakały po raz ostatni, gwar dzienny ucichł. Ćma gruba zaległa parowy i werpety między skałami, gąszcze gajów młodych. Opary białe wisiały rozpięte nad polanami, nad rzeką, jeziorem i mokradłem. Lelek na nizinach rozpoczął pracę, nietoperz zarysował się ponad borem. W górze – niebo gwiaździste, na podłożach – otchłanie ciemności.

Teraz on sposobił się do panowania: już od godziny niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, drapał się szponem po szyi, układał płaszcz na sobie, ziewał, przeciągał się, a oczy zaczynały mu gorzeć jak latarnie. Z upragnieniem wyczekiwał swej pory. Ciemność i cisza przybyły nareszcie. Tylko głos świerszcza i szmer Prądnika mąciły milczenie nocy, kiedy opuścił schronienie dzienne. Naprzód zatrzepotał skrzydłami, otrząsł się na ciele, potem lekko, niesłyszalnie wyleciał i usiadł na wierzchołku skały panującej nad doliną. Siedząc tu, wydał głos przeciągły, powtórzony przez echa boru:

– U-hu-huu! – Straszliwe powitanie nocy czy może zapowiedź jej okropności?

Wilk i ryś wyruszają na grabież słysząc hasło. Borsuk opuszcza norę, kot z oczyma świecącymi czai się pod krzakiem, lis słuchem i węchem bada, dokąd ma iść na polowanie. Żubry i łosie rozstawiają czaty czujne. Jeleń i sarna pierzchają bez pamięci z kniei do kniei. Mieszkańcy puszczy usłyszeli dziki hymn na cześć boga Czarnego, wezwanie do mordów, do przelewu krwi bezbronnych czcicieli światła.

Ludzie upodobniają wołanie „u-hu-huu” do okrzyku i śmiechu czarta, a mienia powinowatym piekła tego, który je wygłasza. Albowiem jasność i ciemność są na ziemi od początku świata, a z nimi przyroda wyznaczyła dwa rodzaje czci i czcicieli: bóstwa jasnego i czarnego.

Ptakiienne ocknęły się ze snu, ogarnięte zewsząd ciemnością, drżą w trwodze śmiertelnej; niektóre zupełnie straciły przytomność, uciekają na oślepie, marnie giną, przepadają.

Wycie potwora nocy jest straszne, a groza jego nadzwyczajnie wzrasta, kiedy w dobie miłości dwa głosy wtórują sobie: oblubienica odpowiada na wezwanie oblubieńca. Bo on wyraźnie urąga światu, drwi z niego śmiechem biesowskim i wyzywa do boju; ona przedrzeźnia krzyki rozpaczliwe, jęki stworzeń konających w katuszach srogich. Cóż dopiero, jeśli z tymi głosami zlewa się huk wichru po jaskiniach, wycie wilków zgłodniałych, wrzaski i piski istot mordowanych!

Mroki boru są przekropne dla tych, którzy ślepną w nocy, a przeto muszą uchem i patrzeć, i słuchać. Im wrażliwsza dusza, tym większa jest jej trwoga. Lekko, czujnie się sypia, zwykle bez marzeń złotych o szczęściu. Strach ogromnie powiększa wszystko i ubiera w barwy bardzo czarne, Poczwały nadzwyczajne łążą naokoło, kłębią się, suną po ziemi, bujają nad ziemią, która wygląda jak próg śmierci. A złowrogie „u-hu-huu” ciągle brzmi i brzmi po puszczy, przeraża do szpiku kości.

– Gdzieżeście wy, jasne, dobre bóstwa opiekuńcze życia? Świetnie potężne przy blasku słonecznym, jesteście, jako i my, bezsilne w ćmach nocy! Oko wasze nie czuwa, dłoń nas nie wspiera.

Jakże straszny jest wróg niewidzialny! Wyobraźnia nadaje mu coraz inną postać, a oczy nie mogą się z nim obyć. Słyszymy tylko nocą jego groźby i złorzeczenia pełne nienawiści. Rano widzimy dzieła: gdzie rzucić okiem, rozlana przezeń krew powinowatych drogich, przyjaciół. Podania o nim, dzieje wróżdy smoka nocy dla dzieci światła dochodzą do nas od wieków prastarych. Cóż nam to pomoże?...

– Królu dni jarowych, panie godów miłości, słońce najjaśniejsze, stwórz ptaka-bohatera, który przeniknie w ponure pieczary wawelu ciemności i zmoże smoka-potwora! My oto, oślepieni brakiem światłości, zgnębieni strachem, przykuci łańcuchem miłości do gniazd swoich, drżymy w nieprzejrzanych mrokach nocy. On widzi dobrze poprzez ćmy, co się dzieje w gniazdach, szydzi z miłości naszej, z trwogi i niedoli. Ze swobodą jaskółki leci cichuchno, wpada do chat, niszczy w nich życie. Urywa głowy ptakom większym, żre ich po kąsku. Druzgoce czaszki, łamie żebra mniejszym i pochłania w całości. Pancierz kolczasty nie zdoła osłonić przed nim jeża ani pęd szybki nie ocala zajaca. Cóż my, biedne ptastwo!... on zuchwale podejmie rękawicę rzuconą przez samego króla-orła i orłu odbierze dzieci. Biada naszej puszczy, biada!

Dzień świta, światło zwycięża, wycie potwora milknie. Ptaki – niepomne, że noc czarna znowu nastąpi – śpiewają radośnie, aż bór się trzęsie. Jedna połowa życia jest szczęściem, druga – cierpieniem: obie przechodzą w ciemność o zostawiają po sobie światu księgę dziejów.

Ranek zimowy, wczesny. Dwa bory stoją naprzeciwko: oba poważne wiekiem, milczące, podobne do gór śnieżnych, zamrożonych na wieki. Bugaj i Bohór ich miana. Ubrały się biało na powitanie starożytnego jak świat święta Słońca – godów zimowych. Są to wielkie, pierwotne bory boże, które praojcowie nasi czcili ongi, a Niemcy wycinali je i budowali tam swoje Hamburgi. Do dziś dnia wycięto mnogo borów, z nimi – wiele, bardzo wiele ludzi i wytępiono moc srogą stworzeń rozmaitych. Zniszczono trebiszcza bogów starych, ale ołtarze przyrody i tak trwają, ziemia pozostała i – lud w białych sukmanach.

Któż by powiedział, że ta puszcza, przyodziana całunem zimy sędziwej, ta cisza skostniała jest jednym z najgwarniejszych i najwięcej zamieszkałych gniazd życia ziemskiego?

Bór dlatego odbierał cześć boską, że jest wielki i tajemniczy: jak morze, niebo. Cześć mu i dzisiaj, gdyż modlitwy przodków, mogiły ich, krew przelana uświęciły tu glebę!

Między tymi borami jest pole, które bartnik poganin, pierwszy osadnik, wyczynił z zapustu, pospuszczał nieciecz i orze je, obsiewa. Pewnie jakie sto radeł udoła w ciągu dnia zryć to nowisko. Grusza dzika, drzewo olbrzymie, wyrasta wśród pola i widać z zaciosu na niej, że jest znakiem granicznym własności. Drogi rozstajne przecinają się na krzyż pod gruszą: zwierzyna głównie po nich chadza.

Śnieg walił przez noc całą, najdłuższą w roku, zadał do cna wąwozy, drogi, osady ludzkie, wysiółki, pola i lasy. Niebo przetarło się dopiero przed samym świtaniem i mróz trzaskający na dzień ścisnął.

Szkarłat tronu słonecznego rąbkiem wyziera spoza wzgórzy lesistych od sławnej Wiślicy. Lekkich pyłki śnieżne bujają na powietrzu pod borem i cisza niczym nie zamącona panuje wokoło. Z niskości ziemskich jeszcze nie widać tarczy słońca wschodzącego; tylko wrony, wysiadujące u skraju Bołboru, z wierzchów jodeł najsmiglejszych już chyba oglądają przecudną purpurę wschodu. Pewnie ją widzi i jastrząb, który przepędził tę noc zawieruszoną w polu między lasami, na owej gruszy z zaciosem granicznym. Ptak-panosza, nieustannie żyjący na stopie wojennej, zwykle zajmuje to siadło wyniosłe. Witeź powietrzny – istny margraf na tamtych rubieżach – codziennie wymusza myto krwawe przy drogach krzyżowych.

– Biada zwyciężonym!

Jeden orzeł strąca go czasem z tego stolca, kiedy tu przyleci od garbów Karpackich.

Jastrząb, jak gdyby wiedział o uroczystości dnia świtającego, zwrócił głowę ku wschodowi i okiem nieruchomym wpatrzył się w niebiosa szkarłatne, bramowane złotem.

Wtem u podnóża jodeł, na których wrony strażowały, skądś spod śniegu strzyżyk wypadł niespodziewanie. Ptaszek maleńki – czysta grudka ziemi – rudawoszary, cętkowany, z ogonkiem zadartym, cały w podrygach, jak gdyby chciał uosobić prawdę: – życie jest ruchem.

Spojrzał naokoło niespokojnie, bojaźliwie, merdnął ogonkiem i zawołał:

– Czyk, czyk, czyk! Chwalić Boga, noc przeszła, dzień na niebie! – I potem znowu czykał ze zdziwieniem:

– Oj-jej, co też to za śnieg spadł nocy dzisiejszej!

Na bieluteńkiej powierzchni puchu śnieżnego drobne okruchy mchu, ziarenka jakiegoś widniały tu i owdzie. Malec pomknął żwawo do tej zobi, dziobnął kilka owych szynków leśnych, rażno derdnął raz, drugi i trzeci, podskoczył sobie wesoło, jął się pustacko trzpiotać po śniegu – jak to czynią wróble w piasku. Widać już puścił w niepamięć mary, które go dręczyły w nocy.

– Czyk, czyk, czyk! Doprawdy, życie jest dobre! – Podrygnął, wyciągnął skrzydełko, skrobął po nim dziobkiem parę razy: trzebaż dbać o swą powierchowność.

Wykapany, wygładzony, zerknął oczkiem na prawo, zerknął w górę, obrócił się wokółek, zalotnie dygnął główką, dygnął ogonkiem. Nie zrobiłby tego lepiej, gdyby nawet umiał uśmiechnąć się po ludzku. Ochoczy i szczęśliwy frunął teraz na pobliski krzak jałowca, całkiem okryty śniegiem i lekkutko jak motyl przysiadł na prątku. Tu znowu „czykał” z zadowoleniem najwyższym, dziobnął odrobinę śniegu i strząsnął go nieco. Wzleciał w podskokach na sam wierzchołek krzewu, napuszył pierze, spoglądał zadumany w świat i kołysał się przez chwilę. O czym też taki może myśleć?

Podniósł w stronę nieba zapłonionego oczy, wdzięcznie skinął główką: zdawał się tym pokłonem witać słońce wschodzące. Spoważniał po chwili, zmrużył oczka do połowy i – czego się można było najmniej spodziewać w tej porze roku – zaczął śpiewać głosem cichym, miłym.

Tylko nieprzeparta siła natchnienia może dziś niewolić do śpiewania. Hymn szczęścia szczerego duszy dobrej, pieśń natchniona nie leciała daleko po padołach wielkiej puszczy, spowitej w całuny śmierci: Był to jedyny głos zadowolonia z tego, co jest, i może – wiary, nadziei w przyszłość lepszą.

Dźwięki radości czystej jak szczebiot dziecięcy płynęły milutko z krtani maleńkiej, świadczyły o wzruszeniu wielkim, o natchnieniu śpiewaka. Aby czuć potężnie i wyrażać dobrze uniesienia duszy, niekoniecznie trzeba posiadać serce o dużych wymiarach i gardło szerokie. I nie ci też na świecie śpiewają pieśni najpiękniejsze, którzy spożywają, uczyły suto a obfite z ciał przeróżnych nieboszczyków.

Rzeczywistość straszna rozpościera się naokoło: kto tylko żyje, cierpi, chucha w dłonie, przemyśliwa o chlebie. Niektórzy jęczą; mruczą, klną, warczą, złorzeczą dziełu stworzenia. Słysząc i krakania złowieszcze:

– Jest bardzo źle, a jutro będzie jeszcze gorzej!

Tymczasem Mysikrólik, szczęśliwiec, nic sobie nie robi z zimna, z głodu, mrozu powszechnego i nawet zachciewa mu się, o zgrozo, pochutnywać śpiewaniem wesołym.

Wrony pierwsze zwróciły na to uwagę, nastawiły uszu i słyszą wyraźnie, że pieśń brzmi tak mniej więcej: – „Choć chłodno i głodno... Ej, co mi tam! Wždy nie żyję dla żeru!”

– Do kroćset, przecież to ogromnie razi!

Od razu poczuły całą niewłaściwość zachwyków poetyckich w chwili, kiedy wypadało raczej załkać lub zawycić żałośnie. Zdziwione, ba – nawet zgorszone i oburzone – spoglądały z góry.

– Oszalał chyba, czy może wyprawia sobie z nas pożartki?... Złość ostatnia bierze na takiego lekkoducha! Należałoby skarcić swawolę dla przykładu.

One, ptaki poważne, gromadne, rozmyślają oto o przyszłości dnia całego, pieczołowicie suszą sobie głowy i już od rana zaczynają wiecować w celu rozstrzygnięcia sprawy głodowej. A ten włóczykij, łazęga jakiś, ptak ni z pierza, ni z mięsa, stroi gędźby ucieszne, piska poskocznie, bęczy, jak na weselu; wyraźnie urąga im, wronom, w chwili frasunku głodowego, dolegliwości największej ze wszystkich.

– Dudo przeklęty, bodaj cię na wiosnę porwał krogulec albo dzierzba gąsiorek!... Bodaj ci kukułka podrzuciła w gniazdo rodzinne swe jaje!

Mysikrólik wcale nie zważał na to, co o nim sądzą, co mówią, śpiewał dalej o chłodzie i głodzie. Ni go dziś zapały miłosne nie nagliły do pieśni, ni współzawodnictwo innych śpiewaków. Czyciel światła czuł w duszy mus nieprzearty i śpiewał sobie czy – słońcu.

Szczęśliwy, kto wzniesie głowę w górę i na widok szmaty jasnej błękitu niebios zapomina o powszedniej niedoli życia! Ciernie ostre żywota częstokroć ranią go bardzo boleśnie; on tym piękniej śpiewa. Wesołek natchniony, igra czy wieszcz z łaski Bożej?... Gdyby takich nie było w puszczy, mieszkańcy jej ugrzęźliby w błocie samolubstwa – w dbałości niestrzeżliwej o kęs chleba powszedniego – i zapomnieliby, że niebo precudne jest nad nimi: żądza tuszy, dobrobytu rozpięłaby ducha na krzyżu.

Śpiewaj więc, Mysikróliku, śpiewaj, chociaż za to oburzają się na ciebie!

Babie lato już dawno minęło i baby, niby okruchy diamentowe, błyszczą na zimowym niebie nocy. Świat żywy ma oblicze posępne, bardzo surowe, na którym można wyczytać: „Wszelkie złe pochodzi z głodu i zimna”. Każdy namiętnie ugania się za żerem: rozbija kradnie, w milczeniu spożywa skwapliwie tak zwane dary Boże.

Jasne bóstwa jaru i lata odeszły na twardy sen zimowy. Inne potęgi zajęły ich miejsce i władają: nie miłość, nie dobroć przez nie przemawia.

Martwota, ciemności – z każdym dniem większe – kładły się na ziemię nieustannie odzieraną z wdzięków przez dżdże, wichry, mrozy. Liczymy dni pochmurne, a nocy – czarne.

Nareszcie przyroda zgołociała zupełnie, przyoblekła posępne barwy żałoby. Ziemia, matusia – rzekłbyś nieboszczka skostniała – leży na marach i oczekuje pogrzebu. Księżyc, król pory, przenika zimnym swym światłem w puszcze dziewicze, wskazuje drogę pątnikom zbłąkanym, zbójcom i wilkom wygłodzonym. Oświeca mogiły śpiących snem nieprzespanym przodków, praprzodków. Żyły tu ongi wielgoludy takie, co to jeden drugiemu poprzez Wisłę podawał siekierę. Żyły na ziemi z nimi i wielgozwierze, wielgoptaki.

Zima! Widma ponure, złośliwe wałęsają się po świecie w nocy ciemne: bładnice, strzygi, upiory, wilkołaki. Dziwy złowrogie strapien i nieszczęścia, wieszcząc niedolę, jęczą po lasach u szczytów jodeł, świerków i cisów. Bożec boru straszliwy, potworny wściekle szaleje nocami, huczy, rży, gwizdże, klaska, bierze się za bary z dębami wiekowymi, skręca je, łamie, pozbawia konarów. A znowu w nocy pogodne, mroźne, gwiazdziste Dziwica, ksieni księżycowa, przedziwnie urodziwa, lecz w spojrzeniu okropnie groźna, uzbrojona w łuk i strzały, goni z psami przez knieje, pędzi przed sobą raz stado żubrów wylękłych, to znowu – łosie, dziki, jelenie. Las grzmi wtedy jak burza, trzęsie się w posadach swoich. Dachy śniegu wałają się wśród trzasku, łomotu z drzew olbrzymich, miażdżą krzewiny i drzewstwo pomniejsze. Ryki niedźwiedzi przerażonych, wycie zgrai wilków, hukanie smoka-puchacza wtórują tym łowom dzikim. Biada temu łowcy, który wejdzie w drogę bogini Dziwicy, groźnej pani księżycy!

Moc niezliczonych biesów czarnych i szarych przebiega ziemię, straszy, nęka wszystkie istoty żywe. Ach, bo nie ma światła i ciepła dwóch potęg cudownych, które tworzą i utrzymują życie!

„Śmierć wije się po płotu”, wyprawia duchy ludzkie po Drodze Mlecznej na ów ostrów szczęścia wiecznego, gdzie bytują dusze umarłych pradziadów od

wieków najdawniejszych i – dusze dzieci mających się narodzić. „Niemiec już tam nie rozkazuje!” – mówią skapani w krwi ludzie znad Łaby. Po chatach baby stare czynią wróżby: znaczą mnogie kreski na popiele, potem obliczają – cetno czy lichy. Zwykle wypada im lichy – nieszczęście. Ileż zgryzot przedwczesnych z tego powodu!

Niezawodnie – głód, mór lub wojna!

Inne prawią przy kądzieli baśń o krasnych ludkach, o boginkach, smokach, wilach, dziwożonach. Ktoś nawet przebrzakiwa – o wieści pożądana – jakoby tu, na naszym Bugaju, już się w tajemnicy zjawilo jasne bóstwo jaru. Dzieci z zachwytem patrzą na wróżby, z wiarą wysłuchują baśni, które są mlekiem duszy.

Czas tak przemijał i oto dziś nadszedł dzień, w którym słońce dobiega kresu najniższego; teraz przystanie, pocznie podbijać państwo Czarnego, zwyciężać jego wojska i wznosić się na niebie tryumfalnie, a nas, ziemian, darzyć weselem. Mamy dzisiaj gody zimowe, te sławne „gody, co to robią wino z wody”.

Dzień uroczysty zaświtał i właśnie w jego „wieczór szczodry” przypada święto urodzin Słońca młodego na niebie. Wraz z gwiazdą wieczorną wstąpi nadzieja w dusze strapione. Lidzie zaścielą stoły sianem:

– Panie, daj łąkom naszym pokosy bogate!

Zastawią misy z różnymi płodami roli: z pszenicą, grochem, bobem, makiem. Nie zabraknie i miodu. Przed ucztą będą się łamali skibką chleba i jedni drugim wyrażą życzenia szczęścia „siego lata”. Smerd, rataj służebny, jest dzisiaj za pan brat z panem ojcem i z jego czeladzią rodziną. Przypuszczą do ogniska i tego, kto w imię gościnności przekroczy kołowrot osady, choćby to nawet był Żyd kupczący niewolnikiem. Ej, gość rzadko kiedy nawiedza nasze puszcze między Nidą i Przemszą Czarną, między Wisłą i źródłami Pilicy! Czasem, czasem człowiek od Kniezna, od Kruszwicy, od tych, co siedzą na Kujawach, na Mazowszach, na łąkach nadbuzurańskich, zabłądzi tu w drodze do Krakowa: pątnik pobożny, parasoł lub goniały za kupią.

Szczodry wieczór! Bydło w oborze i pies, i kogut, i gąsior pożywią się szczątkami uczy: boć i to czeladź gospodarska. Dziewki zaśpiewają chórem pieśni, umają gaik w jabłka i orzechy, zawieszają u powały.

Tymczasem rano o świcie – zimno i głodno w puszczy. O, zimno! Nie ma się chęci najmniejszej do podniesienia skrzydeł: mróz natychmiast wtargnie pod pachy wygrzane, wszyje się pod skórę, przejmie na wskroś do szpiku kości.

Głodno! Śnieg już od dawna pokrył ziemię, utworzył skorupę lodową, grubą i twardą. Nieszczęście ostatnie tych wszystkich, którzy muszą wygrzebywać obrok powszedni życia spod powłoki zlodowaciałej! „Śmierć wije się po płotu”.

Człowiek ma zapasy w komorach, był przezorny i może suto obchodzić gody zimowe, wyprawiać sobie wieczory szczodre, składać bogom obiady. Szczęśliwe i zwierzęta, przesypiające tę okropną porę mrozów, głodów zabójczych! Stokroć szczęśliwe są ptaki, które w przewidywaniu mądrym czasów niedoli odleciały na wyraj do krain bogatych, ciepłych. Nas miłość ojczyzny więzami spięła, przywiązała do ziemi i – dzieci puszczy – cierpimy srogo za swe uczucia.

Trudno, Matka-Ziemia i Ociec-Słońce nie użalą się nad naszą nędzą! Ci rodzice nigdy nie rozpieszczają swego potomstwa.

– Daliśmy wam wychowanie dobre – mądrości tyle, ile potrzeba, radźcież sobie! Zresztą macie drogę otwartą do udoskonalenia się o własnych siłach.

Pasibrzuchy zbyt wiele roztyły wśród wygod są wstrętne dla przyrody, która lubi wdzięk pracy dzielnej i skazuje na zagładę niewiściuchów tłustych, zwyrodniałych. Rodzice dobrzy wychowują nas w kierunku rozwoju sił duchowych, jedynie uszlachetniających każdy gatunek. Głupcy i gnuśni niech przepadną! Drapieżnicy, podług istoty swojej, są to surowi mistrze rozumu i dzielności: bez nich nie byłoby na świecie mysikrólików. Takie dzieło chowu idzie naprzód od wieków, a każdy dzień, każda chwila dorzuca do skarbca perłę nową. Używamy rozkoszy tylko dlatego, że doświadczamy dolegliwości życia i ciągle walczymy z nimi. Szczęście szlachetne jest tryumfem jednostki mężnej, ale drogą do szczęścia jest cierpienie i walka. Jeśli zaś ten i ów ginie, to jednak nic nie ubywa pod słońcem, a tylko zmiana na lepsze postępuje.

Spojrzymy na życie i jego zapasy w dzień głodów zimowych! Jastrząb, samotnik dziki i nietowarzyski, siedzi obwyż na gruszy – sam sobie wystarcza. Żarłoczny, chciwy, nawet nienasycony, zachowuje spokój stateczny i z krwią zimną rozpatruje okolicę, chociaż już od trzech dni pości: umie panować nad sobą ten łowca potężny.

Inaczej zachowują się wrony, które właśnie siedzą na jodłach u skraju Bohboru – motłoch krewki, krzykliwy, zawzięcie sejmikujący. Kręcą się niecierpliwie na gałęziach, a płęć żeńska stroi miny dziwne i oczyma daje samcom jak najwyraźniej do zrozumienia:

– Od czegoż wy jesteście głowy rodzin, żupanowie gromad, wodzowie drużyn wronich? Głód targa nasze wnętrza, kruczy nam w trzewach! Niechże się przecie który z was ruszy, przepatrzy, co, gdzie i jak jest na świecie! Widzicie, że słońce zapowiada dzisiaj przyszłą porę miłości małżeńskiej, budowy gniazd rodzinnych, rozplodu potomstwa... Maćki jakieś, wyskoczże przecie który! Jeżeli my, narzeczone i żony, połowice wasze, jeszcze przed jarem pomrzemy z głodu albo znędziejemy, to któż będzie znosił jaja przyszłości? Wstyďte się tego, że płęć piękna musi wam przypominać obowiązki najzwyczajniejsze!

Takie pokrakiwania i nieustanne wiercenie się na drzewach rzeszy gminowładnej od dawna nosi nazwę wiecu.

Uchwała sejmowa zapadła widać, gdyż oczy wszystkich wron spoczęły na samcu, którego gromada powołała, aby działał w jej imieniu i dla jej dobra. Naturalnie, oceniano dobrą głowę wybrańca i przeto dano mu do zrozumienia:

– Mężu zaufania, idź w świat, zbawiaj rzeczpospolitą, najszlachetniejszą w świecie! My poczekamy tutaj na skutki twojej wyprawy i, skoro tylko obwieścisz hasło umówione, w lot pośpieszymy do żeru gotowego lub, jeśli zajdzie potrzeba, przybędziemy, ażeby działać zbiorowo.

W ten sposób załatwiono część pierwszą sprawy głodowej. Na zwiady wypchnięto wronca-mądralę, kmięcia-wyęgę, który zasłynął z obrotności i roztropności życiowej; był to jeden z takich, co się o nich mawia:

– Słyszy, jak trawa rośnie, i wie, gdzie raki zimują.

Głowacz niepospolity, mąż stanu zawołany, ogromnie biegły w rozbieraniu wszelkich zawiłych spraw wewnętrznych i zewnętrznych. Przed wszystkim wybornie odróżniał kij w rękach ludzkich od każdego oręza zabójczego dla ptaków. Następnie odgadywał na rzut oka wszelką złość skrytych zamiarów człowieka i nigdy, przenigdy nie dałby się omamić pozorom jakiejś udanej dobroduszości. Przy tym posiadał sąd bardzo zdrowy o rzeczach, który go zawsze wiodł najprostszą drogą do żeru. Mistrz istny, kiedy szło o zmylenie czujności matki-gęsi lub kwoki-kury, jednocześnie odznaczał się bezczelnością i takim zuchwalstwem, że wydzierał psu z gardła kawałki padliny! Jako złodzieja bezwstydne go po siołach psy, kury, wróble, sroki, dzierlatki i w ogóle wszystkie zwierzęta, które w kupach śmieci poszukują kęsa chleba. Wieki czekały, aby się urodził taki wrona-bohater.

Co prawda, jest to osobnik niezbyt godny zaufania gromady, ale w rzeczypospolitej wron „uczciwy” znaczy tyle, co „głupi”. Należy dodać, że swój wybór na wiecu zawdzięcza on najgłówniej stronnictwu samic, ponieważ – *suum cuique* – ma to być skarb nieoceniony jako mąż i ojciec rodziny. Dobro gromady leżało mu na sercu o tyle, o ile mógł przy nim zadowolić cele samolubne, upiec – jak się mówi – własną pieczeń.

Ten to prowodyr, zaszczycony wyborem swojaków, co tchu otrząsł śnieg ze skrzydeł i poleciał ku ludzkiej osadzie bartników na Bugaju.

– Gdzie tylko przebywa skrzętny człowiek, tam zawsze można znaleźć jaki ochłap.

Leciał, a rozumował po drodze i w cichości ducha rozwijał swoje pomysły znakomite.

– Przecież to jest niepodobieństwo czyste, ażeby podczas zimy tak ciężkiej nie zdechł gdzieś jaki baran chorowity albo szkapa dychawiczna... Czuję, że wkrótce dusza moja się rozraduje.

Leciał, a nic nie uchodziło jego uwagi: ciągle kręcił głową mądrą, zwracał oczy już na dół, już na prawo, na lewo; łeb chodził mu jak na zawiasach.

A wrony pozostałe na skraju Bohboru, głodne, skostniałe od mrozu, spoglądały za nim z wiarą i niejaką dumą narodową.

– Śmiało możemy polegać na takim pośle! Bestia – nadzwyczajnie zdolny! Prawdziwie z naszych! Tylko słuchać, jak na nas krzyknie: „Żreć, żreć, żreć!”

Mróz piekący naglił różne ptastwo do przetarcia oczu ze snu i niewolił je do ruchu tym bardziej, że każdemu chodziło o śniadanie. Praca dzienna, mozolna, zaczęła się więc na dobre i puszcza, ojczyzna nasza, wyglądała jak miska, z której każdy wydobywał jakiś kąsek pożywny.

Strzyżyk sam jeden śpiewał, nie zważając na to, że ptaki zajęte żerem powtarzały wokoło:

– Mysikróliku, marzycielu głupi!

Dzięcioł opuścił schronienie nocne w dziupli, wydał krzyk podobny do śmiechu ludzkiego i już myka naokolusieńko po pniach omszonych. Ptak to

pracowity, sprężysty, przysadkowaty, ogromnie tęgi w karku, w barach, łbie, a równie tęgi w ogonie. Towarzyszy mu nieodstępnie liczna drużyna głodmorków drobnego kalibru, hołota wielce piskliwa, ciągle utyskująca: pełzacze, sikory bogate, ubogie, modre, ogonatki i bargiełki. Wszystkie ze zwinnością właściwą łuszczybochenkom porywają kąski sprzed nosa dziecięcia. Wiercipięty próżniackie precz udają, że i one rzekomo biorą udział w robocie poszukiwania środków do życia, a są czynne tylko w zjadaniu. Kował, poczciwiec, cierpliwie i pobłażliwie znosi tych natrętów uprzykorzonych, kuje nieustannie, odkrywa coraz nowe źródła pożywienia i z głową zawsze wzniesioną do góry pomyka dalej. Nikt w borze nie pracuje na chleb tak ciężko jak dziecięć. Musi, skoro inni wydzierają mu owoce pracy. Taki bez marzeń spać się kładzie i żadne widma nie zatruwają mu spoczynku sennego. Niewolnik skazany na pracę nałogową dla żołądka.

Ptaki zaniepokoiły się na chwilę, spojrzały trwożliwie ku gęstwinie. Bo sójka pierchnęła w gąszczach z wrzaskiem przeraźliwym, natrzęsała z drzew śniegu, narobiła zgiełku.

– Nie ma się czego bać tak dalece! Znamy cię, udawczko! Chcesz łowić ryby w mętnej wodzie, urwać łeb takiemu, co się złęknie twego wrzasku i zgłupieje? Powszechnie wiadomo, o co chodzi siostrzycy wrony i sroki. Jeden gawron poczciwy wyrodził się w tej rodzinie, skalanej przewrotnością, oszustwem i skrytobójstwem.

Gil na tle śnieżnobiałym boru wygląda jak skrawek nieba zaognionego. Napuszony, w kłobuczku z aksamitu czarnego, siedzi na sęczku i pogwizduje tęskno, płaczkliwie-uczuciowo. On zawsze taki rozrzewniony, tkliwy, zbolały. Nawet w dniu swoich zaślubin piskał bardzo żałościwie, jak gdyby chciał do łez pobudzić swoją narzeczoną. W każdej chwili życia jakiś gwóźdź bolesny rani serce gila: już to wspomina sobie przyjaciela, którego przed rokiem krogulec oskubał i pożarł, już – żonę pierwszą, chociaż na wiosnę ożenił się po raz trzeci, to znowu oplakuje smutne losy synów, córek, braci. Dusza dobra, Cygan, gotowy dla przyjaźni dać się powiesić. Cóż – kiedy za dużo, za często płacze!

Jemiołuszka jedwabniczek, gość z Północy dalekiej, nowak w naszej puszczy, przysiadł na szczycie dębu, obraca na wsze strony głowę z czubkiem pięknym, a w jego wzroku maluje się zdziwienie i rozczarowanie.

– Więc to jest wasza przesławiona Słowiańszczyzna?... Myślałem, że lecę do ziemi obiecanej, a tu, widzę, istna Syberia! W mojej ojczyźnie przynajmniej zorza północna świeci nocną porą.

Zwyczajnie, taki pątnik – Bóg wie co sobie wyobrażał:

– Tam pewnie jest raj, gdzie nawet mleka ptasiego nie zabraknie!

I biedak doznał zawodu.

Właśnie sroka krajowiec widzi to zafrasowanie cudzoziemca i podlatuje z sęka na sęk, z gałęzi na gałąź, merda ogonem nadzwyczajnie uprzejmie, a wyraźnie ma na języku te słowa:

– Czym waszeci mogę służyć? Jestem ptak międzynarodowy, nie pogardzam żadną pracą! Umieję być pośrednikiem, stręczycielem, towarzyszem przyjemnym, przewodnikiem pewnym – do usług waszej miłości!

Rzecz prosta, jest to obłuda, chęć zamotania oczu w celu wyprowadzenia w pole przybysza, nieświadomego zwyczajów miejscowych. Dobrze wiadomo, że każdy obcy w kraju cudzym nie czuje pod stopami oparcia pewnego i jedwabniczek niezawodnie zginie, jeśli się rzuci w objęcia sroki sprosnej. Potem z takich przypadków sława zła w świat idzie:

– U nich tam nad Prądnikiem zjadają cudzoziemców!

Na szczęście dobry duch boru ostrzega:

– Czyk, czyk, czyk! Kto żyw, strzeż się sroki!

Odgłosy pracy na chleb powszedni, skargi, utyskiwania na czasy ciężkie dają się słyszeć w puszczy coraz wyraźniej.

Stuletni wieszczek nieszczęść przerozmaitych, kruk, już po trzykroć zakrakał, rzucił światu wróżbę doli jeszcze nędzniejszej.

– Przekleństwo! Przekleństwo!

Okropność, jak brzmi „rra” w ustach tego ptaka straszliwie czarnego!... Pewnie przylata z pola bitew, okarmiony ciałami poległych, i łyże nam wieszczy.

A poseł wron głodnych, lecąc bacznie, z daleka obegnał gruszę dziką, gdzie jastrząb posępny czynił spostrzeżenia nad swoim ujazdem.

– Zawodnik sprosny, gwałtownik rozterkliwy pokoju pospolitego, jak on się umie przyczajać! Ee, nie mnie, ćwika, brać na zasadzki, na przysiadki myśliwskie! Gdyby mię głód nie naglił do pośpiechu, krzyknąłbym na swoich, aby cię wykurzyli z tej gruszy!

Napiął się, wzleciał wyżej w podniebie, sięgnął wzrokiem precz poza kresy panowania jastrzębia. Pędził dalej z tym pośpiechem gorączkowym, z jakim wrony wygłodzone lecą zawsze od borów w poranki zimowe. Wtem ujrzał w oddaleniu jakiś przedmiot ruchomy, plamę ciemną, migającą na olśniewająco białym prześcieradle śniegów.

– Jeśli mię wzrok nie myli, jest to czworonóg... Miałem przeczucie dobre, że gdzieś tu znajdę kąsek pożywny... Kiż diabeł – zając, nie zając? Zając, i to widocznie zraniony! Przewybornie! Bogowie mądrzy i dobrzy stworzyli zajączka słabego, ażeby zapewnić wronom zdobycz łatwą, a pokarm smaczny.

Słońce stoi na niebie jeszcze bardzo nisko dla patrzących z poziomu. Jego tarcza jaskrawa, płomiennie rozpalona, leży na widnokręgu, łuną krwawi wokół obłoki i złoci ubielone śniegiem wierzchołki drzew puszczy. Właśnie pod tę porę zajączek jeden pochuchrany, starzany, okrutnie zbiedzony, brnął przez zasy na polu, niedołąźnie wyciągając skoki spracowane i utykał, jak chromy.

– Psiakrew, to ci mój los zajączy!

Chadzał za chlebem w tę noc burzliwą i szczęście mu nie dopisało. Oj, bo też to była noc piekielna! Ludzie twardo spali w swych chyżach darnem krytych, a do na śniegiem zasypanych; śnili o biesach, wyprawiających psoty srogie w tę noc ostatnią swego panowania na ziemi zlodowaciałej. A tu wilki gromadnie

wtargnęły do osady bartników na Bugaju, obległy tam chlewy, zdobyły szturmem wieprza, kozła, krowę, rozszarpały psa niejednego. Lis znowu dobrał się do ptaków domowych, wydusił je, wyniósł. Dziki rozburzyły brogi prosa. Niedźwiedź złupił braci. Kiedy głód, to i wojna.

My, dzieci puszczy, drżeliśmy ze strachu. Bo ludzie-bohaterowie, Wyrwidąb i Waligóra, potomkowie wygasłych wielgoludów, wypowiedzieli wojnę bogu leśnemu w dolinie Prądnika. Gdyby sam Perun zstąpił z niebios na ziemię, nie sprawiłby wrzawy większej.

Smok, nasz wróg śmiertelny, wył okropnie, przelewał krew i panował. Każdy syn ciemności rad łowił kielby w tej wodzie mętnej. Trzeba to przypisać chyba wielkiej łasce bogów krajowych, może opiece Wandy, że puszcza nie zapadła się dzisiaj w otchłanie.

Otóż ów zając, chudzielec nędzny, poszedł na robotę w taką zawieruchę, spracował się setnie i – miasto pożytku – zyskał guzy bolesne. Może go jaki kondel, ordyniec gruby, niewolnik człowieka, dopadł i skrzywdził. Może miał przeprawę z lisem, podstępny kita, i tylko przypadkiem uniósł duszę w skórze podziurawionej jak sito. A może się urwał z wnyka, tej strasznej dusienicy zajęczej.

– Ojcie-Słońce, miej litość nad nędzarzem zającem!

Biedak czuje w sobie upad sił, cierpi widać ciężko i dawa folgę skokom. Usiłuje jak bądź przekołatać się od Bugaju do Bohboru, do swojej leży rodzinnej, aby tam wylizać, wygoić rany odebrane w boju o życie. Czyż słabi mają zawsze ginąć?... On sobie myśli w duszy:

– Jeżeli mię śmierć zdejmie ze świata, to przynajmniej na ziemi ojczystej, w kotlinie ukochanej! Tam, w kącie ciemnym, milej mi jest płakać i cierpieć, niż gdzie indziej używać i pękać od śmiechu.

Ale goniec wron, oprawca plugawy, jadowity, już spostrzegł zająca charłaka i – dalejże do niego.

– U tego zdechlaka, widzę, dusza na wylocie! Smyka się, z ledwością pełza po śniegu, jakby kołem tłuczony: znać po nim mnogie uciski na ciele i na duszy. Ogromnie lubię dobijać takich niedołęgów, którzy są jedną nogą na tamtym świecie... Ma się zasługę, wyzwalając dusze zgorzkniałe, smętne z lepianek cielesnych, które stoją w gruzach ostatnich. Dobić męczennika – jest to łaska szlachetnego!

Zdrajca, tak myślał w głębi czarnej duszy, a nie wydał okrzyku, nie wygłosił hasła, oczekiwanego z takim upragnieniem przez ziomków zgłodniałych!

– Przecież spełniam służbę publiczną, jestem przedstawicielem sławnej rzeczypospolitej, a nie dostałem ani grosza strawnego. Przy tym cóż znaczy jeden zajączek na tuzin głodnych żołądków wronich? Rozdziobią toto po kasku drobnym i wszyscy będą niezadowoleni. Niesnaski, wojny domowe mogą łatwo stąd powstać, rozedrzyć nasze społeczeństwo. O, znam ja dobrze swoją drużynę wronią! Sobkostwo tego gminu wyzyskuje dzielność i zdolności umysłowe jednostki. Uczynili ze mnie rękę społeczną, chcą, ażebym się na czczo narażał dla

dobra ogółu: oszukiwał na ich korzyść, kradł, rozbijał w razie potrzeby i za to wszystko odpowiadał gardłem. Potem w nagrodę za dzieła dokonane – jeżeli się przedtem wymigam od szubienicy – będę używał nazwy ojca ojczyzny. Ależ moja osoba przede wszystkim ma wartość dla mnie samego i uważam za pierwszy swój obowiązek dbać o głowę myślącą, którą noszę na swoim własnym karku. Niech ci się, luba ojczyzno, nie zdaje, że to jest twoja głowa!... Ja muszę się najęść, aby Rzeczpospolita miała myśliciela sytego!

W ten sposób rozumował i powtórzył sobie samemu po cichu hasło wronie:

– Żreć, żreć, żreć! – Co może brzmieć również: – Kraść, kraść, kraść! – A dodał z szyderstwem: – Na tym stoi Rzeczpospolita!

Mądry w żarłoczności swojej, spadł na pole z wielkim rozmachem skrzydeł. Pchany chęcią pożerania, wpatrzył się pożądliwie w ciało zająca schorzałego, łykał ślinę i szedł pieszo na jego spotkanie. Ciało wronca wahało się na podobieństwo kaczki, a dziób wystawiony naprzód godził widocznie w jakiś punkt upatrzony.

– Bóstwa jasności, czyż zając musi ginąć dlatego, że jest słaby, biedny i – żarłoczność nań czyha?

Szarak przystanął na widok wroga i przycupnął; może chciał zachwycić tchu, może się zastanawiał, a może zląkł się i zgłupiał ze strachu. Dopiero napastnik poskoczy, bieży co tchu w derdy na jednej nodze. Zmierzał prosto do ofiary, knując w duszy zamiar podły wsadzenia jej dziobiska grubego w ślepie szeroko wytrzeszczone.

– Rozum nakazuje mi przede wszystkim oślepić tego słabaka, a potem...

Nędznik, gdybyż przynajmniej zamierzał to zrobić *pro publico bono*!

Zawieźmie się bitwa. Przy pierwszym starciu wyszło na jaw, że i zając nie w ciemną bitwę, umie sobie radzić w niebezpieczeństwie.

– O Słońce, ty i najszabszym z dzieci swoich użyczasz oręża obrony!

Napadnięty natychmiast stanął słupka i skokami przednimi sprawnie odbił natarcie napastnika, obrócił wniwecz jego zamach na trzeszcze. Cóż z tego, kiedy postawa słupkowa odsłoniła inne znowu słabe miejsce ciała. Dziób silny wroga sięgnął teraz do podbrzusza i stamtąd jakby kleszczami wyrwał garść turzycy białej, którą wyrzucił w powietrze.

Zając, ugodzony dotkliwie, wykrztusił mruk ponury:

– Prr... prru! – Szybko poruszył wargą górną i wąsami! – zupełnie tak, jak człowiek, kiedy mu się na płacz zbiera. Chciał uniknąć ciosu powtórnego, przeto zebrał się w kupę, zwinął, odsadził i w mgnieniu oka wyciął w powietrze susa potężnego. Teraz już bez pamięci pomykał wśród kurzawy śniegu sypkiego jak piasek, położywszy słuchy po sobie. Kalectwo zabrało mu było siły, przestraszył je powrócił.

Jednak wroniec już był dotknął dziobem, a może i językiem ciała ciepłego, poczuł w sobie żądzę namiętą żarłoczności, chłęptania krwi żywej. I w takiej chwili właśnie zdobycz mu się wymykała...

– O nie, spod ziemi go wygrzebię, jeśli na to przyjdzie!

Uderzył w skrzydła, leciał ponad grzbietem szaraka, ciągle go podskubywał i grzmocił dziobem po głowie. Opuścił się na ziemię, zaskoczył nieszczęśliwcowi drogę, znowu nastawił swój oszczep, znowu na piechotę nękał chudziaka. Teraz także spotkał opór, zaciętrzewił się, wpadł w szal popędułości. Rozjuszony, napierany przez żądzę żeru, zadawał ciosy coraz namiętniej i coraz boleśniejsze. Zajac, doprowadzony do rozpacz, jał kniazić, wreszcie wniebogłoso:

– Litości, litości!

Ojciec-Słońce patrzy i milczy, Matka-Ziemia nie ocknie się na wezwanie zajaca ze snu zimowego.

Jastrząb podczas tego siedział poważnie na swym wyszogrodzie, wpatrywał się w okolicę, wsłuchiwał w jej szmery.

– Baczość! Jakies odgłoso wojenne dolatują do moich uszu...

Zawsze spokojny, milczący, rozwinął skrzydła potężne, wzleciał i z wysokości badał oblicznie przyczynę zgielków. Przystanął w powietrzu, oblany światłem różowym słońca wschodzącego, i wkrótce już wiedział wszystko. Ma się rozumieć, że napaść wrony na zajaca jest i zniewagą, i krzywdą pana ujazdu. Więc szparko popłynął szlakiem górnym w kierunku najechanych granic.

– Prawo łupieży skóry zajęczej w tym państwie do mnie należy!

Gniewny, dotarł i z szybkością wartkiej strzały rzucił się na kark szaraka. Ale chybił celu: bo zajac właśnie w tejże samej chwili wyciął szczupaka, skoczył ponad głową wrony i poszedł. Drapieźnik władny spadł na poboiszcze, zasłane kłakami zajęczymi, i tu spotkał się oko w oko z wrońcem. Wzniósł skrzydła, wyciągnął szyję, a straszne jego oczy rzucały pioruny gniewu, buty zuchwałej, wzgardy dla przeciwnika. Rzeźbić go i nie podpisywać: „Siła jest prawem moim!”.

Zawrzał burzą gniewu straszego na widok tej wrony zawsze natrętnej, wrzaskliwej, a nigdy niezdolnej stawić czoła w boju otwartym.

– Wara ci kokoszyć się w moim domu! – syknął, piorunując wzrokiem posła wron wystraszonego. Bo skok szalony zajaca i spadek jastrzębia odbyły się jednocześnie, tak że wroniec – zwykle mądry – zgłupiał, widząc przed sobą ptaka groźnego miasto czworonoga, który się trząsał ze strachu. Odskoczył też natychmiast jak oparzony, z miejsca strzelił w górę prostopadle i wrzasnął przeżalście:

– Strach, strach, strach!

Hasło to poleciało do Bohboru niby głos dzwonu na trwozę czy wici pospolitego ruszenia. Wszystko to było dziełem jednej chwili, stało się w czasie daleko krótszym, niż trwa opowiadanie.

Teraz jastrząb wzleciał lekko, opisał wrońca kołem szerokim i wzbijał się coraz wyżej. Robił to z taką swobodą przedziwną, jak gdyby chciał tylko poigrać, napędzić strachu wronie, ciągle jeszcze powrzaskującej.

Szarak – rzecz prosta – korzystał tymczasem ze zdarzeń: wziął nogi za pas i – bez względu na kalectwo – rączy śmigał ku kniei. Biedactwo, nie spodziewał się, że wpadnie z deszczu pod okap!... Wrony na wezwanie swego wódcy najprzód odpowiedziały wrzaskiem, którego echa wstrząsnęły borem; potem porwały się z wielkim łopotem skrzydeł i, rozpierzchłe po dwie, po trzy, leciały na wyścigi w stronę Buhaju. Naraz zoczyły po drodze zmykającego zajaca i w tej chwili zapomniały o swojaku, wzywającym je co tchu na pomoc.

Głodni nie mają żadnych obowiązków; dopóki się przedtem nie nasycą.

Cała czerń chciwa żeru w mgnieniu oka spadła na pole. Obyczajem tatarskim opasały szaraka obręczą, wzięły go w środek i dopiero, podskakując rażno, szły nań z nastawionymi włóczniami dziobów.

– Musisz zginąć, nędzarzu!

On już teraz ustawał i zdrętwiał na widok tyłu wrogów. Spostrzegł to jastrząb, mocarz, który doskonale rozumie, że nietykalność granic stanowi u ptaków od stworzenia świata podstawę prawa międzynarodowego. Bez zwłoki czasu zaniechał igraszki wyścigowej z wrońcem, a rzucił się całą siłą swych wioseł w stronę, gdzie śmierć męczeńska zaglądała zajacowi w trzeszcze. Wnet niby napowietrzny korab wojenny zawisł nad karkami zgrai zgłodniałej i zadawał się grozić z góry:

– Dam ja wam!

Krzyk straszny powstał, popłoch niewypowiedziany. Strach pokonał żądze żeru i wszystkie wrony jak jedna wyleciały w powietrze, uderzyły na wroga wśród okrzyków:

– O-ha, o-ha!

Wrzeszczą, rzekomo dopadają do jego karku; żadna jednak nie śmie należycie natrzeć. Otoczony przez czerń rozwydrzoną spokojnie płynął w powietrzu: znać lwa po pazurach. Był pewny siebie, dobrze wiedział, że wrony nigdy nie zmogą jastrzębia. Czasem wykonał jakiś ruch nadzwyczajny, wprawiający nieprzyjaciół w zdumienie; czasem wyciął tęgiego kułaka temu, który się zanadto zbliżał.

Nareszcie sprzykrzyły mu się widać takie harce i powrócił do gruszy, usiadł z krwią zimną na gałęzi.

– Walczy się tylko dla korzyści albo – dla sławy.

Teraz wrony uderzyły do odwrotu i krakając pieśń zwycięstwa co żywo pognały za szarakiem niedobitkiem, którego sroki sprośne już opadały pod borem. Zamierzały skończyć dzieło rozpoczęte. Jastrząb natychmiast zrozumiał, o co chodzi czarnym wrzaskulom. A że mniemał zajaca za swą własność wyłączną i niezaprzeczoną, więc postanowił znowu wystąpić przeciw bezprawiu.

– Mnie jednemu prawo przysłuża! Ja tutaj panem i tylko ja go zjem albo –nikt!...

Poleciał w skok, zagroził przywłaszczycielom, natarł, ile sił stało. A tak się był zawziął w obronie tej słusznej sprawy, że wydarł ogon sroce najzuchwalszej

i podskubał rzetelnie dwie wrony. Rozlał krew winowatą i dumny, spokojny, odprowadzany przez zgiełkliwy motłoch, powrócił na swoje siodło.

– Słońce, ty stwarzasz niedolę słabych; ale sprawiasz, że wojny mocnych dają słabym ocalenie! W twojej dłoni orężem na mocnych są jeszcze mocniejsi, którzy nie ostoja przed najmocniejszymi. I zając biedny z jedyną nadzieją w Bodze może wyżyć pod twym panowaniem.

Przeto najślabszy z ptaków, któremu jest miano Mysikrólik, śpiewa słońcu pieśń zaranną, oddaje mu swą duszę na całopalenie.

Rozdział 11

Cóż to za ryk straszny leci od boru do boru, rozdziera powietrze?

Pod Bugajem słyhać zaciekle ujadania psów licznych; wrzawa niezmierna głosów ludzkich grzmi i huczy, ziemia dodni od pogoni. Zapewne jakiś głód nowy, wojna nowa? Może jacyś bardzo mocni idą o lepsze z jeszcze mocniejszymi?

Niedźwiedź olbrzymi wypadł na polanę, sady w podskokach wśród kurzawy pyłu śnieżnego, posoką znaczy ślady. Psiarnia rozżarta rwie za nim, po uszy zapada się, tarza w zaspach śnieżnych. Wyparty z jednego boru, uchodzi do drugiego – do tej samej kniei, dokąd i szarak znękany podążał. Psy zziajane, z pianą u pysków, wyją z wściekłości głosem ochryplym i trop w trop gonia. Coraz tu któryś dopada do tyłów, wpije się paszczą, szarpnie zapamiętałe. Kudłacz ryczy i mruży, wykonywa obroty szybkie, nagłe, wyrzuca w górę, jakby piórka, śmiałków rozplątanych. Znać z jego postawy, że nie cofnąłby się, choćby mu cały świat rzucił rękawicę.

Ujadanie psów żywych, skomlenie rannych i umierających zlewa się w jedno z rykiem niedźwiedzia rozwścieczonego i okrzykami następujących nań ludzi:

– Huzia, huzia! – Bij go! – Pilnuj! – Zachodź od boru!

Słońce wzniosło się na niebie, zalało bieliznę pola blaskiem olśniewającym, a na tym tle złowrogo połyskiwały purpurowe plamy krwi. Żubry spłoszone przez okrzyki dzikie, łosie, jelenie, odyńce w strachu ogromnym przebierają się bokami polany. Wilki z rozkoszą zawęszyły padło świeże, kręcą się niespokojnie i nasłuchują w ostępach puszczy. Kruki zataczają koła w podniebiu czystym i krótkim, chrapliwym „krr”... odpowiadają na każdy jęk konania.

– Wojna – to nasze żniwo!

Ale na polanie tylko niedźwiedź pochłania uwagę psów i ich panów. Ludzie – jedni pieszo, inni na koniach oklep lub w siodle – pędzą z pośpiechem nie-

zmiernym, aby przeciąć drogę kudłaczowi. O, bo jeśli zwierz ujdzie do Bohboru, to przepadnie tam, zginie w jaskiniach niedostępnych, strzeżonych przez drzewa święte! A tu na jego życie tak pożądliwie dybią. Jakaż to rozkosz zwyciężyć, zabić!

Osada bartników, od wieku założona na Bugaju, wyprawia obławę dzisiaj, przed wieczorem szczodrym.

– Boże, daj szczęście!

Kto dziś zabije, przez cały rok będzie zabijał przy pomocy Bożej; a mamy wielu wrogów do zabicia. Postanowiono uprzętnąć ze świata tego właśnie olbrzyma, który od dawna sprawia spustoszenie w barciach, napada bydło, nie przepuszcza ludziom.

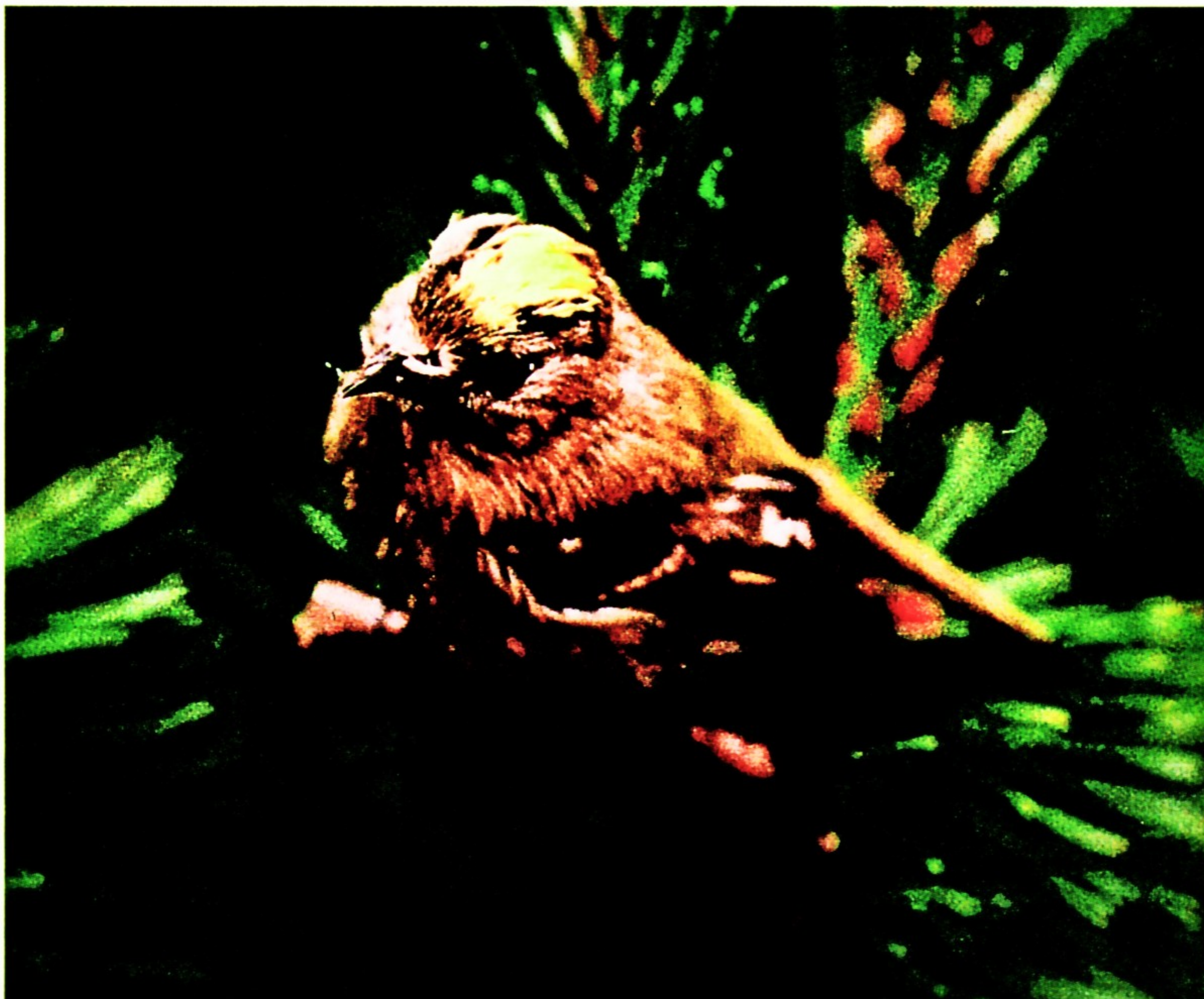
Starosta zachęcał do boju swoją czeladź, obiecywał sławę knęzia Kraka temu, kto pokona potwora krainy nad Prądnikiem. Cóż, kiedy patriarcha zwierzęcy uważał się za dziedzica prawowitego borów i gniewnie odmruknął:

– Moja skóra jest bardzo droga!

Wezwano na łowy mnogą czeladź; psarów, wilkowyjów, naroczników niewolnych, którzy wyczyniają ziemię z zapustu i spuszczają nieciecz na łąkach. Oprócz tego stawili się wolni, rodowicie powinowaci starosty miodowego. Można poznać po stroju, kto w tej drużynie czeladnej jest pan, kto sługa. Ów nadział kiereję sutą, podbitą miechem z kuny, nakrył głowę kłobukiem bobrowym, uzbroił się w łuk, w tuleję pełną szypów i w bardysz. Inny przepasał krótko kozuch barani pasem wełnianym krasnym, miał nogi poobwijane w skóry sarnie, na głowie – szłyk okolony kądzielą wilczą, w ręku – włócznię ogromną. Tamten, rozkudłany na łbie, rozmamłany na piersiach, okręcony kupą łachów zgrzebnych, w łapciach dziurawych na nogach, dzierżył gruby kół dębowy, a miał za pasem młot z granitu.

Były tu olbrzymy wąsate i brodate, o włosach wypłowiałych na słotach, o grubych i ćwikowatych rysach twarzy, o oczach siwych, świecących błyskawicą gniewu. Byli i ludzie wynędzniali, obdarci, o spojrzeniach wilków.

Sędziwy niedźwiedź roztył się przez lato, strasznie łupieżąc świepota i ro-gaciznę. Z pierwszym śniegiem poszedł przesypiać zimę w barłogu na Bugaju, gdzie go bartnicy spatrzyli. Nadeszła chwila, wyznaczona przez ludzi do odwetu. Dzisiaj w bitwie walnej o życie położył trupem wszystkie psy najzuchwalsze, pobił na śmierć czterech ludzi, trzem obdarł skórę z głowy. Człowieka ubrano by w wieńce z wawrzynu za takie dzieła i śpiewano by o nim pieśni. On, niedźwiedź zwyczajny, pragnął tylko odeprzeć napaść. Zadyszany, okryty ranami, z paszczą okrwawioną, siadł pod gruszą na tyłach ciała, rzucając wokoło spojrzenia wściekłe: zdał się wzywać do boju otwartego. Czelaź bartnicza otoczyła go kręgiem, jak owe wrony zająca. Puszczano weń grady pocisków przeróżnych – strzał, kamieni, kijów, oszczepów. Ryczał, mruczał, pokazywał kły straszne, a nie dawał się wyprzeć. Chciano go bowiem zmusić do ucieczki, aby utłuc w pogoni, dopadając z tyłu i waląc po łbie, po grzbiecie. Bój z mężnym oko w oko zawsze jest niebezpieczny, a podstęp, choć tchnie podłością, jednak uła-



Mysikrólik (*Regulus regulus*)



Zmierzch w Gordzienicach



Radomka koło Brzózy. Wieś Wólka Brzózka.



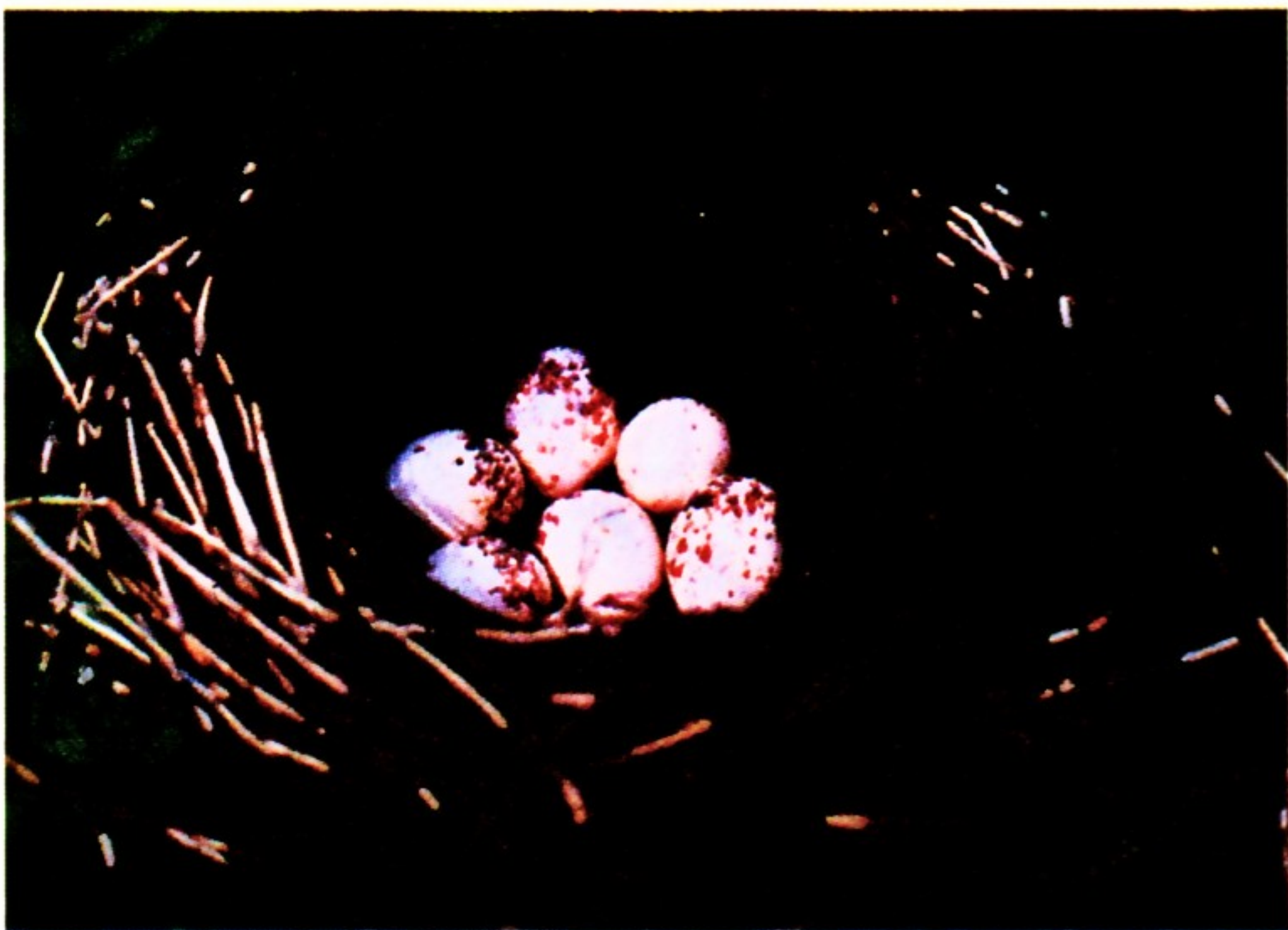
Gęsi



Kogut z kurami



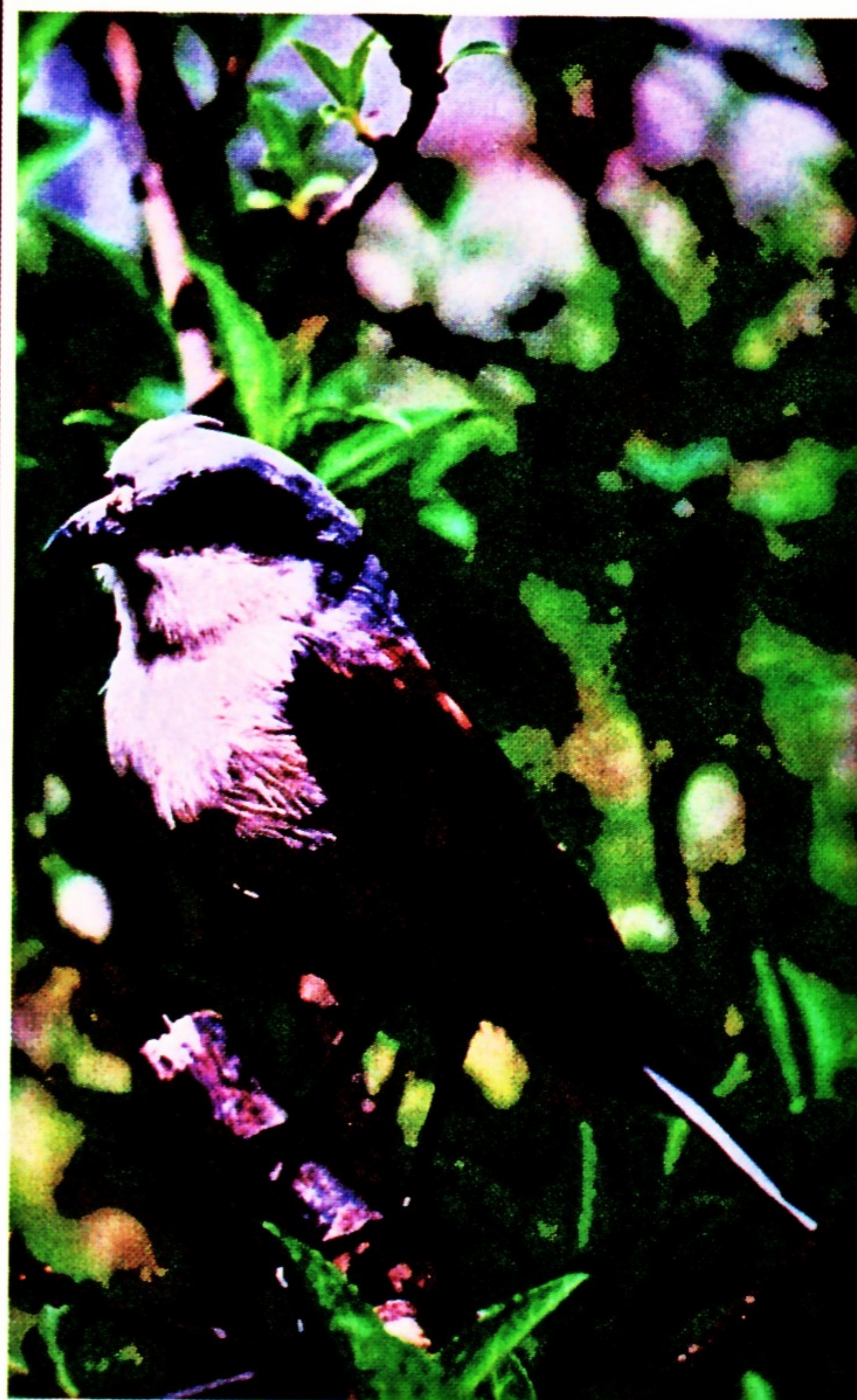
Mieszkańcy wiejskich
podwórek: mama kaczka
z kaczątkami



Gniazdo dzierzby gąsiorka
z kukułczym jajem na tylnej
krawędzi



Św. Jan Nepomucen
nad promem wiślanym w Solcu



Dzierzba gąsiorek
(*Lanius collurio*)



Droga

twia szlachetne i słodkie zwycięstwo. Trzeba być dzieckiem przyrody tak dzi-
kim jak niedźwiedź, ażeby otwarcie stawić czoło przeciwnikom.

Jeszcze dwa psy, podszczone, zachęczone przez panów do napaści, padły
rozdarte u stóp potwora. Bartnicy zaklęli od wszystkich biesów czarnych, przy-
zywali gromy Peruna na pomoc. Kudłacz warczał.

Teraz starosta, zniecierpliwiony, gromko przemówił do swoich:

– Ludzie niewolni, mamy dzieńsi święto wielkie, wieczór szczodry! Kto
z was powali tego rozbójnika, otrzyma nagrodę szczodłą – wolność!

Niewolnicy – lud srodze zabiedzony smutną dolą – trwożliwie spojrzeli na
mocarza boru, który w tej chwili dotkniętym szypem wyprostował się, ryknął
i poskoczył ku najbliższemu. Zabiegł mu drogę młodzieniec wątlej postawy,
zdający się nieść odpowiedź na wezwanie starosty:

– Wolność jest godna, aby za nią oddać życie!

Nastawił włócznię, szedł śmiało do przeciwnika, wsadził mu w pierś żelazo.
Ale nie zwyciężył: zwalony z nóg, zalany krwią, wił się w cierpieniach konania.
Śmierć wyzwoliła go z niewoli na zawsze.

Niedźwiedź rycząc straszliwie wszedł do Bohboru, gdzie Mysikrólik śpiewa
hymn słońcu.

Rozdział III

Gody Jarowe! Niektóre drzewa już się okryły listkami drobnymi, na innych
pącze pełne nadziei połyskuje, we wszystkich bogactwo twórczych soków życia
obiega. Tajemnicze siły wzrostu grają w miazgach. Pierwsze kwiatki wiosny
złocą się, modrzą, bielą, rumienią po lasach i smugach. U krynic świętych, przy
brzegach Prądnika, u jeziorzysk sity, wodorosty, trawy, zioła puściły pędy
szmaragdowe. Młodziutkie kwiaty świerków czerwienią się wśród gąszczu igli-
wia ciemnozielonego. Bór z każdym dniem wydycha więcej woni żywicznej
i balsamu brzeziny, łązy, topoli. Ziemia zmienia się nieustannie, zrzuca szatę
wytartą, szarą, zapleśniałą, staje się piękną, wielmożną w każdym swoim
spłachciu. Ona święci teraz wschody i zachody słońca, kwiatami wita i żegna
kochanka Jasnego, pieśniami ptaków czaruje i w ciągu dnia całego opowiada
baśnie o rozkoszach miłości. Wietrzyk ciepły roznosi tajemnicze szepty szczę-
ścia po zaciszach świata, swawolnie igra z liśćmi i motylami nowo narodzony-
mi. Niebo, rozmiłowane w ziemi, z lubością spogląda swym błękitem na jej
wdzięki, z rumieńcem szczęścia odchodzi wieczorem i przybywa rankiem wczes-
nym. Teraz i w nocy, przy gwiazdach błogo jest marzyć o słońcu.

Skowronki lecą w podniebia słoneczne, napełniając gwarem pieśni przestwory, z których światłość zda się lać potokami. Czy to wysłańcy Dziewy-Ziemi śpieszą do Jasnego z hymnem uwielbienia? Wiszą w powietrzu, trzepocą skrzydły, a dzwonią i dzwonią. Inne po linii muszli ślimaczej wzlatują wyżej a wyżej i wtórują tamtym, które się już wzbiły nad padole tak wysoko, że ich wcale nie widać.

„Raz Stwórca świata rzucił był bryłkę roli pod niebo, a bryłka ożyła i zaczęła śpiewać.”

Może tam w górze odbywają się nabożeństwa majowe i potrzeba śpiewaków?..

Dzikie gęsi z zapalem szybują w porządku klinowym, widzą pod sobą bory, wody, pola i sioła. Czasem która z nich gęgnie wesoło: zapewne rzuca pozdrowienie od serca okolicy znajomej. Wódz gromady nie zważa na wylewy uczucia jednostek i dalej ciągnie za sobą ufiec pątniczy.

Żurawie także wracają z podróży dalekiej; wcale ich nie widać, tylko słychać granie kędyś wysoko w otchłaniach błękitnych, ponad gwarem skowronczym. Po jakich to szlakach żeglują nasi ptacy: oko i ich nie wypatrzy!

Na stepie piaszczystym, pełnym głazów, wśród łodyg ostów uschłych i dziewanny przeszłorocznej dropie błakają się w stadkach. Żyły tak zgodnie, po przyjacielsku, przez jesień i zimę; nastąpiła wiosna, pora miłości, a miłość u dzieci przyrody jest silniejszą niż przyjaźń. Samce brodate wydeły gardła, wzniosły ogony i mizdrzą się tkliwie do samic, które łażą z wdziękiem spokoju dziewiczego, dłubią dziobami w piasku lub pod pachami skrzydeł łowią pchełki: chyba udają, że rozkosz miłości jest im obca. Trzej rycerze staczają właśnie bój namiętny o jedną krasawicę, mają już łby zakrwawione, szyje obdarte z pierza. Ona tymczasem jednym spojrzeniem czarującym zawróciła głowę czwartemu i uchodzi z nim w zarośla tarniny.

Gwar nadzwyczajny wre na mokradłach; najmniejsze bagienko stanowi miejsce schadzki miłosnej jakichś ptaków wodnych, a kaczki słyną z namiętności w tokach. Serca kaczorów dziarskich, krewkich rozgorzały kochaniem: stąd wrzawa ogromna, szum, plusk na wodach i to trąbienie rozgłośnie płci męskiej. Obrząd zalotów polega tu coś jakby na zabawie w gonionego i chowanego. Szczęśliwy, kto odszuka, dogoni i pojma panią lubą! Im kto prędzej wyskoczy, to rychlej się ożeni. Płec piękna kacza ma do czasu serce twarde i długo wodzi za sobą ubiegających się o rękę po wodach czystych, po szuwarach. Zalotnik nie ma czasu wytchnąć ani w dzień, ani w nocy. Co oni wyrabiają przy blasku księżyca!... Nie śpią, nie jedzą, żyją miłością tylko. Głodni, ochrzypli, poranieni krzepią się zawziętkiem uczucia. Kaczor wzgardzony przez ukochaną, pokonany przez kilku współzawodników wygląda bardzo smutnie. Oskubany, okryty ranami i guzami na ciele, płynie z daleka od orszaku miłosnego i tylko sobie wyobraża, co to jest za szczęście być obok kochanki.

Trzeba nie mieć ani odrobiny miłości własnej! Godność osobista kaczora zupełnie znika w takich razach. Ten samolub żarłoczny, więcej niż obojętny na

powaby miłości rodzicielskiej, umie być tylko kochankiem natarczywym w porze toków: tym namiętniej miłuje, tym dotkliwiej boli go odtrącenie.

Czajki czubate biegają jak fruczki na nogach zawsze chętnych. A jakież one baczne, czujne nawet w tej porze, kiedy miłość zwykle ogłupia i oszołomia najrozsądniejsze ptaki. Drżą zawsze o to, aby ktoś z gromady nie był w śpiączki zabit. Jedna spostrzegła właśnie łaskę fertającą się po łące, krzyknęła ostrzegawczo i już w mgnieniu oka wszystkie pary miłosne zerwały się jak burza, lecą w górę, wywracają koziołki, a wrzeszczą, a piszczą. Niektóre udają, że mogą dziobem razić nieprzyjaciela, spadają nań z góry, jakby na złamanie karku, usiłują tą groźbą odgromić napad. Słychać wtedy naokoło krzyk ostry:

– Kibi-it! Kibi-it!

Wróg nieraz porozumie niebezpieczeństwo, zażywa ręczości nóg, zmyka, niby porażony na głowę. Czajki odprowadzają go daleko i w powrocie do domu szczęśliwie przytakują jedna drugiej:

– Dobrze się zamierzyć znaczy nieraz tyle, co uderzyć.

Słońce chadza po niebie coraz górnijszym szlakiem i daje taki połysk chmurom, że nawet w dni szare, posępne, ciepło błogie od nich bije. Opona liści bogata rozwiesza się na drzewach, kwiat okrył śnieżną białością czeremchę. Słowik strzela pieśniami, aż się knieje trzęsą. Dziecioty łażąc po drzewach wyznają sobie miłość. Rudzik krasnoogonek w ciemne gąszcze wabi swą kochankę.

Miłość upaja i żółwie, i żaby, i ryby, i owady rozliczne. Przy tym zapał niesłychany ogarnia nowożeńców do zakładania ognisk rodzinnych – budowania chat. Śliczne są te gniazda, wyrabiane w natchnieniu miłości gorącej.

Tylko jeden bocian kocha się bardzo spokojnie. Oświadczył się swej narzeczonej głosem drewnianym, bez żadnych wzruszeń, uniesień i zaraz potem poszedł polować na żaby.

Należy on do rzędu tych ptaków, które nie uwzględniają ani ciepłych, ani gorących wybuchów uczucia, są surowo moralne, rozważne i bardzo obowiązkowe. Założył ognisko rodzinne, jest niezłomnie pewny uczuć małżonki i żyje zapracowany w nieustannej trosce o przechowanie z pokolenia w pokolenie obyczajów nieskażonych. Wybucho namiętnością wtedy tylko, kiedy widzi, że bocianica zbywa jak bądź obowiązki albo któreś z dzieci zanoszą się na nicponia. Co on się naklekce, natrejkota, ile razy w gnieździe znajdzie stan rzeczy nie po swojej myśli! Podług niego byt świata zależy od zachowywania cnót w gatunku bocianim. Ludzie też czczą go za cnoty.

A wkoło bociana świątobliwego – rozpusta, szały namiętności, wybuchy serc tkliwych, aż wody się pienią. Czuć miłość w powietrzu, w wodzie i na ziemi. Kto ma uszy do słuchania, ten wyraźnie słyszy:

– Kochać, kochać, kochać!

Dopiero w borach życie wyprawia sobie istne uczty miłości. Ptaszkowie roztkliwieni, zacini prętem uczucia, spać tutaj nie mogą. Zmroki szare przed świtaniem widocznie sprzyjają zalotom, oświadczeniom, a pieśni kochanków brzmią dobitniej po rosie porannej i lecą dalej. Niejeden, co się za życia już wykochał, mówi z gniewem:

– Kiedyż, do licha, to wszystko się skończy!

Ostatnie zimne dreszcze ziemi, jej zamrozy zimowe zdają się ulatywać na skrzydłach miłości do gwiazd i do księżyca. Zaledwie biała smuga świtu rozjaśni niebo, już rzesza skrzydlata rwie się do kochania. Każdy śpiewa, jak umie, na tokach miłości. Głuszc, kogut sierdzisty, zrywa się już w pierwospy, leci w bór gęsty, zasiada na gałęzi sosny. Wyciągnął szyję, wystawił przed się głowę z pióry najeżonymi, nadobnie rozpostarł ogon, opuścił skrzydła – wszystko to oznacza szal miłości – i tokuje głosem oschłym. Świat cały zniknął mu sprzed oczu, niebezpieczeństwo nawet nie przerwie tych wynurzeń serca.

Gwiazdy migotliwe zazierają w puszcę ciemną, pełną parowów, skał ogromnych. Fale obłoków białych i czarnych biorą w niewolę księżyc i znowu go wyzwala, mkną, znikają. Głos ponury puchacza brzmi po borze, huczy jakby szyderstwem:

– Biada wam, szaleńcy!

Tam kot dziki, z oczyma pałającymi, tu kuna czają się gotowe do skoku. Kogut, natchniony uczuciem, zachwycony, nic nie widzi w zapale, nie słyszy. Ma w duszy świat własny, pragnie żyć tylko w tym jednym świecie i odda zań wszystkie inne światy. Chwile szalu, zapomnienia są może jedynymi chwilami szczęścia w jego życiu ciężkim.

Perły rosy zimnej drgają światłem gwiazd brylantowych, jasnością wszechświata. Mgła biała otula ługi, moczary podnoszą się lekkuchno ku góróm lesistym. Prądnik kręty płynie cichutko, czasem mruknie, kiedy się stłucze o kamień, zawadzi o krawędź skały. Korony drzew szumem spokojnym, uroczystym witają zorzę poranną. Żaby zdają się mieć już niewiele do powiedzenia. Słowiki w nadzwyczajnym wyścigu śpiewackim walczą o palmę pierwszeństwa. Kukułka bieży od drzewa do drzewa i nieustannie okukiwa puszcę.

Wszystko znikło na chwilę, groźne memento mori huknęło między skałami:

– U-hu-huu!

Kogóż w tej chwili śmierć przeraża?... Sprawa miłości jest dzisiaj pierwszorzędną sprawą życia i bramy piekielne jej nie przemogą. Ona jest potężniejsza niż uczucie strachu, groza śmierci pewnej. Są tacy, którzy składają bez wahania życie na ołtarzu miłości.

„Trzrz-y!”... Głos tajemniczy, ostry przeszył powietrze – taki znamieny, że go nie stłumił gwar tysiąca głosów. I już bliżej, już dalej ozwały się inne „trzrz-y”. Cietrzewie koguty wabią czy może wzywają.

Świst lotu daje się słyszeć co chwila i plama czarna zapada na polanę, otoczoną wałem boru ciemnego. Wśród ćmy zmierzchu nikt nie rozpozna ptaków o pierzu świetnym – to raczej kamienie, krzaki ruchome.

„Rtu-ru-ru-ruu... ru-u-ruu”. Niby gruchanie gołębia osobliwego słyhać, a plama czarna kręci się, podskakuje, rośnie ci w oczach, znika... Oto cietrzew, zwykle spokojny i milczący, dzisiaj natchniony miłością uderzył w pieśń i tany. Plama druga, trzecia – dziesiąta, zjawiała się na polanie: płasy, gonitwy, igrzyska

– ruchy jakiegoś obrzędu szczególnego – dzieją się tutaj w ciemnościach. Obchód tajemniczy uroczystości pogańskiej, święto miłości godów jarowych!

Strzała złota kochania przeszywa serca kogutów, które w uniesieniu skaczą, trzęsą się, bębnują, szukają chluby z postawy okazałej, siły męskiej i zręczności ruchów.

– Jestem cietrzew rzetelny z duszy, krwi i kości! Jeden drugiego zuchwale wyciąga na walkę o podwikę. Zdrowie wisi na łyżku w tych bojach zawziętych i zalotnik częstokroć nic nie wskóra, oprócz guzów a sińców.

Cieciorki, kokoszki nadobne, płeć gładka, cudna na wejrzenie, tak wyglądają, jak gdyby rozumiały, że samcy walczą i trudują się o nie. Siedzą na drzewach pobliskich, spokojnie zagryzają słodyczne oskoły płynącej w pąkach młodziuchnych. Istne łąteczki, mrugają oczkami, wysadzają na pokaz gardziołki wypukłe, szyjki cudne i wdzięki kibici! Właśnie któraś sfrunęła na brzeg polany, pamiętna zapewne, że źle jest postarzyć jako panna. Z kolei inne naśladują ten krok bardzo rozsądny. Teraz każda chciałaby pierwsza dostać męża. Popis żeński odbywa się tu również. Ubrane w szatki skromniuchne podrygają, noszą główki nisko, spuszczały powieki, trzymają powściągliwie język za zębami. To wszystko ogromnie się podoba rycerzom. Są między nimi i wdowy, i rozwódki, a każda wygląda jak dziewczica.

– Mnie pojmij, jeśli chcesz być szczęśliwy!

Byłby ślepy, kto by nie dojrzał, że one płodzą rozkosz.

Koguty po rycersku poskoczyły ku kokoszkom, składają ukłony, prawie biją czołem. Starzy kuszą się też zbliżyć, młodzież daje im odpór mocny. Krew niezawodnie popłynie. W toku miłosnym, gdzie Bóg jest dziewostębem, nie zawsze najdzielniejszy zdoła się przyłubić białogłówce. Bo kiedy rycerze co najlepsi walczą, płeć śliczna dla pośpiechu nie hydzi się zawrzyć związków małżeńskich z wiercipiętą lada jakim, młokosikiem, który wystawa na boku i stroni od boju jak od ognia. Inny krew za nią przelał, a inny ją poobrał. Ha, łącniej pono zawrzyć wiatr w dziurawym worze, niż powstrzymać płeć słabą w niestateczności!

Ranek powstawa z różanej łożnicy. Słońce wystąpiło w todze złotolitej – pan świata. Dzień już się ohynał z ciemności, tylko pod stopą ma jeszcze mroczne przepaści borów i jaskiń skalistych, dokąd puchacz uchodzi, a za nim – sowy, nietoperze. Ostatnie „u-huu-huu” przeszyło puszcę i przepadło. Wilki i koty, lisy i rysie, dybiące na zalotników, oszołomionych napojem miłości, odeszły do kryjówek, gdzie drzemią, oblizując paszcze zakrwawione. Gęsi tęskliwie gęgnęły w górze, żurawie wesoło zagrały, łabędzie i nury lecą na wielkie wody – pewnie do Gopła. Sarny smukłe i jelenie, żubry brodate wylegają na wrzosowiska, raczą się wrzosem, macierzanką, szczypiorami trawy młodej, soczystej. Czapla siwa duma jeszcze na brzegu jeziora.

Mysikrólik spędził noc w kupie chrustu suchego i tam go drasnął promień słońca jasny, ciepły. Czciiciel światła, zbudzony przez bóstwo białe, rażno wyskoczył z ukrycia, spojrział na świat widny.

– Dzień, dzień! – Świeżość luba poranku wiosennego wionęła nań, pogłaskała wszystkie jego zmysły.

– O, jak błogo! Co tu światła, ciepła, barw, woni, śpiewania!

Na widok słońca, płynącego po błękitnie pogodnym, uczuł w sobie żądę życia, miał duszę pełną szczęścia, uwielbienia, miłości. Świat precudny zachwyił, porwał go w swe objęcia i uniósł. On, ptaszek taki maleńki, a tu – puszcza ogromna i natchniona jakąś nadzwyczajną rozkoszą, żądzą życia. Nad nim i nad puszcza, i wokoło – świat niebios bezgraniczny o pogodzie przepięknej, która szczęście potokami rozlewa.

– Życ, żyć, żyć!... Kochać, aby żyć wiecznie, odtworzyć to życie piękne na wieki przyszłe! Jak nie kochać, kiedy takie pragnienie życia przejmuje wszelką istotę żywą?

Niedawno trwoga straszna pochłaniała go w nocy: bezsilny, nędzny drzał, przepadał, ginał; teraz życie mu się uśmiecha. „U-hu-huu” gnębiło go okropnie, zalewało przerażeniem całą jego istność, podobnie jak potop zalewa tego, kto nie umie pływać. Rozpacz!

Słyszał wrzawę weselną zalotników i – piski, szamotanie się, jęki konania ptaków mordowanych. Poznawał nawet głosy tych umierających i myślał:

– Wróg światła, Czarny, przelewa krew dzieci Słońca, prowadzi dzieło zniszczenia!

Mysikrólik miał w sobie i czuł cząstkę istności słonecznej. Znał przecież tego Jasnego, swego rodzica-stwórcę, a małżonka naszej Matki-Ziemi. Znajdował w nim całą otuchę życia, dopóki widział na niebie jego oblicze wspaniałe. Kochał i uwielbiał sprawcę życia ziemskiego. Tylko noc unieszczęśliwiała ptaszynę, czyniła go sierota bardzo biednym, bez oparcia. Potęga jakaś nieznana, wroga, nie mająca z nim nic wspólnego, warła nań wtedy i usuwała mu spod stóp ziemię. Więc musi być bóg niejasny, czarny, który sieje trwogę w duszy urodzonych pod słońcem, nienawidzi, zagraża im nicością. Potęga dobra stwarza nas i utrzymuje, zła – gnębi i usiłuje zniszczyć. Konieczność czci stworzyły pierwsze blaski promieni słonecznych.

Strzyżyk tajał teraz z wdzięczności, jego serce żywo biło uwielbieniem.

– O ty, który dałeś życie dobre i w życiu – skarb miłości, witaj na niebie jasnym!

Spojrzał w górę, widział poprzez oponę liści skrawki niebios ciemnobłękitnych, niepokalanych żadną plamą mroku. Deszcz promieni światła lał zewsząd, wpadł przez oka sieci listnej, wiszącej jak dach nad puszcza, rozsiewał jasność po ziemi, odbijał w falach Prądnika blaskiem olśniewającym. Mysikrólik byłby zaśpiewa: hymn uwielbienia i wdzięczności, gdyby nie to, że miał robotę, przykazaną przez słońce, najpilniejszą ze wszystkich robót na świecie.

– Idź, zbuduj gniazdo i śpiewaj nad gniazdem!

Tak brzmiało przykazanie, a mus serca niepowstrzymanie naglił ptaka do posłuszeństwa. Śpiewak urodzony szedł do pracy z tym samym natchnieniem,

z którego powstaje dzieło pieśni. Gniazdo czy pieśń potrzebują zdrojów miłości, aby się stały i sprawiły odrodzenie życia nieśmiertelnego.

Miał kochankę, ptaszkę prześliczną, i już jej wyznał, wyśpiewał swą miłość: stąd pochodził obowiązek rozkoszny postawienia chaty. A nosił w duszy wzór chaty rodzinnej, gdzie ujrzał światło dzienne i otrzymał wychowanie.

Nie ma na świecie gmachu wspanialszego nad dom rodzicielski – pierwotny wzór gniazda przekazany przez dziadów, pradziadów!

Szczerze jął się roboty: nie jadł, nie śpiewał, tylko pracował z wysiłkiem niezmiernym. Pod koniec dnia czwartego stanęło arcydzieło w swoim rodzaju. Obejrzał je, podskoczył uszczęśliwiony, wołał radośnie:

– Czyk, czyk, czyk!

Musi dobrze zrobić ten, kto pracuje z ideałem w duszy. Przybytek był godnym siedliskiem miłości. Mech – istny aksamit płowozielony – służył mu za budulec. Z jego nitek budowniczy upłócił, wydziergał i wyhaftował kulę gładziutką – zachwycające cacko z dziurką. Do gniazda o objętości jabłka wiódł otwór wchodowy z boku.

Leżał tam w borze dęb olbrzymi, przed laty wyrwany z korzeniami przez burzę, dziś zbutwiały, porosły gąszczem mchów, ziół i krzewów. W zaroślach tych pasożytów dębowych, powikłanych, niedostępnych Mysikrólik zbudował chatkę i przyzwał swą kochankę, aby obejrzała dzieło.

Trudno wyobrazić sobie coś piękniejszego!

Do płci pięknej należy urządzenie domu, zaopatrzenie go w pościel ciepłą i miękką, więc połowica strzyżyka miała się właśnie tym zająć. Puściła się w świat, zbierała różne puchy wiosenne, wyściełała poduszkami ściany chaty. Wywiązała się z zadania jak najlepiej.

Spędziła pierwszą noc w gniazdku, marząc o rozkoszach życia rodzinnego.

– Tutaj dzieciątka nasze przyjdą na świat podobne do mnie, drugie do niego. Już teraz bardzo je kocham!

Kołysana obietnicami nadziei błogiej, upojona wyobrażeniem szczęścia, ukryta w ścianach chatki, nie widziała ciemności nocnych, nie słyszała „u-hu-huu” straszliwego. Miała w duszy jasność ogromną i głos szczęścia własnego słyszała najwyraźniej. Mary rozkoszne stały u bram serca, nie dopuszczały na chwilę trwogi. Zresztą on, bohater kochany i dzielny, czuwał przecież, strażował u drzwi tego raj. O, nigdy niezapomniane sny pierwszej nocy pieśniczot miłości, jakżeście piękne!

Ale rano trwoga niezmierna ją zdjęła: z przerażeniem spostrzegła, że gniazdo ciecioriki, założone w pobliżu, uległo podczas nocy zniszczeniu. Naokoło widniały plamy krwi, leżały pióra i szczątki ciała, pełno skorup jaj, na których kura zamordowana dosiadywała była z poświęceniem matki.

Połowica Mysikrólika zadrżała i spojrzała z niepokojem w oczy męża. On jej odpowiedział głosem smutnym:

– Czyk, czyk, czyk!

To mogło znaczyć:

– Szczęście w marzeniu jest łatwe, tanie, w życiu najczęściej przychodzi drogo je opłacać!

Ponieważ miłował nad życie tę kochankę cudną i obawy jej leżały mu na sercu, więc postanowił zbudować gdzie indziej chatę nową. Miał bowiem taką naturę, że nie skąpiłby trudu, gdyby przyszło zakładać nawet czwarte i piąte gniazdo, gdyby to było życzeniem lubej. Znowu się zabrał szczerze i chętnie do pracy.

– Pracować dla niej jest to moje samolubstwo!

Okazały krzew leszczyny zrósł się po bratersku z krzakiem bzu i kaliny; od spodu, w ich podszewce, dzika róża i tarnina, powiązane jeżyną, uściśnęły stopy tej trójcy. Ptak niespracowany rozpoczął wśród gąstwy onej budowę gniazda wtórego.

Założył naprzód z nitek szarych mchu podwaliny gmachu sklepionego, to jest zaciągnął od góry do dołu łuki, nadające gniazdu postać nieba, które obejmuje ziemię. Potem utwierdzał zewsząd rysy tego sklepienia: przeplatał jego żeberka żdźbłami trawy cienkiej, żyłkami liści. Utworzył kulę o dwu biegunach, z równikiem, równoleżnikami i południkami. Teraz spajał nitki podłużne i poprzeczne pajęczyną, wiązał je włosem zajęczym, wilczym, borsuczym. W tkaniu domku poczynił okienka maleńkie u góry, a na samym równiku kuli – główny otwór wchodowy wykrojony okrągłuteńko. Nareszcie wziął się do przyozdobienia gmachu na zewnątrz: odział go płaszczem mchu zielonego, na który tu i ówdzie rzucił piórko jakie barwne – już kraski; gila, wilgi, już zimorodka. Ileż on duszy włożył w całą tę pracę nadzwyczajną!

Stanęła chata nowa, podobna do poprzedniej, zbudowana jak i tamta podług zapamiętanego wizerunku chaty ojcowskiej.

Oblubienica obejrzała ognisko rodzinne, wyraziła spojrzeniem wdzięczność, szczęście, uwielbienie dzieła.

– Wszystko, co on robi, jest dobre i piękne!

Znowu wyścielała wnętrze gniazda puchami miękkuchnymi, ugniotła je, wygładziła prześlicznie, ogrzała ciepłem piersi macierzyńskiej i zaczęła znosić jaja. Bezgranicznie cierpliwa, pełna spokoju i słodczy duszy dobrej, dosiadywała pilnie w domu, bez wytchnienia strzegła gniazda. Odrobina taka maleńka, wątłutka na ciele, a zniosła aż siedem jajek! Podłożyła sobie najpierwsze jaje zniesione pod samo serce.

– Zapewne syn będzie i niezawodnie zupełnie podobny do ojca! – myślała.

Inne sześć otaczały wieńcem tamto pierworodne: wszystkie – dzieci najukochańsze, skarby najdroższe.

Było błogo, ciepło, dobrze w ich chatce. On nie oddalał się nigdy zbyt odlegle od progów domu, chociaż musiał dostarczać swej najdroższej środków do życia. Starał się osładzać jej samotność już śpiewem pięknym, już dając znać, że czuwa nad gniazdem i o niej myśli:

– Czyk, czyk, czyk!

W ich sąsiedztwie, obwyż między widełkami gałązki leszczyny, para szczygiełków spokojnych i bardzo kochających się wzajemnie także założyła gniazdko. Oprócz tego kosy gnieździły się w dziupli sosny pobliskiej, gdzie kolejno

– on w godzinach przedpołudniowych, ona przez resztę doby – przykładnie wyśiadły na jajach. Po drugiej znowu stronie, na brzozie, zięby uwiły gniazdo półkuliste, bardzo kształtne i z barwy zupełnie podobne do kory brzozonej; istną czarzę wewnątrz podbitą puchem przerozmaitym bo nawet – jastrzębim, a, gładką, a mięk kuchną.

Ptaszka Mysikrólikowa już się była dobrze zasiedziała w swoim domku malutkim, kiedy jednego dnia przyleciała pokrzewka płci męskiej – z tych, co noszą na głowach czapeczki czarne – i z pośpiechem największym poczęła zakładać gniazdo tuż obok w tarninie. Wkrótce potem przybyła samiczka i w parę dni domek ptasi, zrobiony jakby z drucików, wysłany siartką sarnią, włoskami jedwabistymi gąsienic, zawisł między kolcami. Sąsiedztwo – bardzo miłe!

Ludno było w okolicach gniazda Mysikrólika. Jak i bywa zwykle w sąsiedztwie, między rodzicami przychodziło częstokroć do zatargów, nieporozumień. Założyciele rodzin – słusznie czy niesłusznie – podejrzewali sąsiadów o złe zamiary. Mianowicie też samczyk-zięba, bardzo krewki, okazał wielką pochopność do walki i nieraz usiłował wyczubić któregoś z ojców rodziny.

Nie było tu mowy o sporach zbyt głośnych, gdyż w promieniu jakich trzydziestu kroków, wśród młodej jedliny, wisiało gniazdo srocze, uplecione z prętów hrustu suchego, kryte od wierzchu jakby czapką. Srocze już się tam były wylęgły, nieustannie wołały na rodziców o żer, a wobec tego żadne z piskląt w sąsiedztwie nie mogło być pewne życia. Tylko dzieciół pstry ogromnie dokuczał kosom, które założyły gniazdo w jego chałupie: niepokoił matkę ciągłym kuciem w pień i terkotaniem nad jej głową, a nic sobie nie robił z gróźb ojca. Podobnyż zatarg o własność nieruchomą wszczyniała wiewiórka, nie mogąc przebaczyć sobie przywłaszczenia dziury bardzo wygodnej w starożytnym dębie.

Mimo to wszystko w ogóle było tam dobrze. Kos wygwizdywał zamasyście swoją piosnkę narodową, a czasem znów nastrajał się uroczyście i wtedy pieśń jego brzmiała po borze, jak gdyby hymn nabożny w świątyni. Zięba wpałała w zapal śpiewacki, gdyż naokoło inne samce zięby sadziły się na czystość i wytworność głosu, a każdy z nich w skrytości ducha myślał:

– Ho, ho! Nikt mię tu nie prześpiewa!.. Jakże też sąsiad poczciwiec podle pieje!

Wysoko, w koronach wspaniałych drzew, czyżyki to się wabiły głosem tęskliwym, to świegotały, to śpiewały radośnie. Pokrzewki, trznadle, szczygiełki, drozdy – jedne w cieniu drzew i krzewów, inne na słońcu – wyprawiały gwar śpiewny nadzwyczajny.

Wilga, prześliczność złotolita, istna rusałka boru, rzucała się z wdziękiem od drzewa do drzewa, a gdzie siadła, gwizdała namiętnie swoje:

— Fio-lu-lu!

Spostrzegła inną piękność boru, kraszkę mieniającą się od błękitów, a skrzypiącą ochryple jak sucha gałąź sosny. Wilga skoczyła natarczywie, spędziła kraszkę z drzewa. Leciała potem do dębu, swarzyła się z kukułką: na każde „kuku” odpowiadała „fio-lu-lu”. Narobiła strachu dudkowi czubatemu, który się boi

zwady jak ognia. Zamała spokój turkawkom, poszukującym ustronia zacisznego, aby się mogły należycie wygruchać. Klótnica jakaś! Przeleciała w płasach na polankę, spędziła tu z wierzchołka śliwy dzikiej srokosza nadziewacza, co sobie tam założył szubienicę, wbijał na kolce cierniowe różne owady złowione i pisklęta zrabowane w gniazdach.

Tak się rzeczy miały w okolicach chaty strzyżykowej. Cóż, kiedy noc majowa, choć krótka, była dla Mysikrólika jeszcze straszniejsza teraz: drżał bowiem z obawy o siedmioro najukochańszych i o tę lubą, dobrą, piękną – marzenie duszy. „U-hu-huu” – szalało piekielnie po puszczy. Ten głos okropny nigdy jeszcze nie huczał tak złowieszczo, tak przerażająco. Przeczucia straszne gnębiły nadzwyczajnie duszę strzyżyka, który sobie w nocy bezsenne wyobrażał tę chwilę, kiedy wróg czarny napada jego gniazdo i wniwecz je obraca.

– O Boże, jeżeli ci moi drodzy zginą!...– Czuł wtedy, że kocha nad życie gniazdo swoje. Wystraszony, rano przecierał oczy ze snu, spieszył do ukochanej, widział ją żywą, łagodną, cierpliwą, uśmiechniętą – anioł dobroci i poświęcenia.

Na ten widok zachwycający straszne widziadła nocy znikwały natychmiast, a w duszy Mysikrólika stawała się pogoda jasna. Szedł w bór za chlebem przynosił jej owoce swej pracy. Jakże przyjemnie jest pracować dla tych, których się kocha! Rozkosz życia najczystsza, świadcząca, że szczęście prawdziwie wielkie leży poza granicami samolubstwa. Oddałby jej krew serdeczną, gdyby zaszła potrzeba.

Teraz siadał na gałązce, w pobliżu gniazda, zwracał się do słońca i natchniony śpiewał pieśń miłości. Pieśni mistrza cichego przepadały w puszczy, rozpływały się w przestrzeni, stłumione przez śpiewaków głośniejszych... Nie! Jest jedno wielkie, piękne po wsze czasy: pieśń, wyraz duszy szczerze czującej, nieuchronnie potrzebna dla bytu świata żywego. I taka pieśń, póki życia, nie zginie. Leci w przestwory zaświatów – bo jest duszą, płynie przez dalekie wieki – bo jest nieśmiertelna. Jakby z gwiazd spadła, odrodzona przez życie prawduce, znowu brzmi na ziemi...

Bądź pozdrowiona prapieżni, najstarsza a wiecznie młoda córo wieków, dzieło natchnienia Mysikrólików, synów Słońca i Ziemi!

Rozdział IV

Przed wiekami wieków król Ogień i królowa Woda wydali na świat córkę-gwiazdę, naszą matkę Ziemię.

Świeć i świeć się, Ogniu boski, żywy, czysty w słońcu, w gwiazdach niebios, w zanadrzach ziemi, w błyskawicach obłoków, w płomieniach ognisk domowych, w żarach i iskrach świętych nieśmiertelnego życia ducha!

Cześć ci, Wodo żywa, czysta, któraś jest w morzu, rzekach, strumieniach, źródłach, w chmurach, w łzach żywnych, dających ulgę niedoli, w łzach skruchy szczerej i żalu rzewnego, oczyszczających wszelką duszę z brodu samolubstwa!

Ogniu ojczy, płóń i zapalaj wielkie pragnienia życia, świeć na ołtarzach serc naszych, wybuchaj płomieniami miłości, pożogą obróć w nicość sobkostwo, uszlachetniaj zapałem wszechstworzenie!

Wodo matko, daj płodność niwom naszym, krzep i orzeźwiaj spragnionych, gaś pożary, straszne zniszczenia, zalewaj łzami przebaczenia pożogę nienawiści i wróżdy.

Dziewica-Ziemia, umieszczona w świecie nieskończoności, oświetlona blaskami gwiazd cudnie pałających, zapatrzona w słońce najjaśniejsze, zawarła związek miłości z Jasnym, bogiem-bogaczem wiekuistnym, i urodziła Życie.

Dziecię-Życie ma trwać wiecznie: bo miłość nieśmiertelna stała się jego natchnieniem – duszą. I dobrze jest żyć, nawet – w cierpieniach niedoli, gdyż wszelka boleść, każda walka dodają Życiu zacności i czynią je dopiero wtedy pięknym.

Ogień poświęcenia i łzy cierpienia wnoszą w pospolitość Życia ziemskiego pierwiastek boski.

A jest cierpienie ciężkie, jest zawód gorzki, ponieważ istnieje szczęście i nadzieja pełna wdzięku. I nicość wcale nigdzie nie istnieje, gdyż nic nie ginie, a miłość wiecznie młoda ciągle tworzy dzieła godne życia, bytu.

Światłość wielka bije od purpurowego tronu Słońca, źródła światła i ciepła w potokach spływają na łono Dziewy-Ziemi. To oblubieniec boski – imię mu jest dziano Jasny – przesyła narzeczonej w dni piękne zalotów pierwsze zadatki miłości: uśmiechy promieniste, pocałunki gorące. Wody rzek i strumieni wrą wartko, gromko szumią.

Błada Śmiertnica odpływa kędyś przez z ich falami.

Śmierć odpływa po wodzie, nowe lato do nas idzie. Witaj, latko milusieńkie; z obliczkiem zielonym.

Mamy jarz cudny! Gody boże, gody jarowe nastąpią niebawem po owych zaręczynach Nieba z Ziemią.

Już oto oblubieniec idzie na toki w całej wspaniałości swej potęgi męskiej. Potężnie oddycha olbrzymimi falami wiatru, przemawia hukami gromów, miota strzały błyskawic przejasne.

Jakiż on piękny i niezmiernie wielki! Rozpoczął płas miłosny, który jest także płasem bojowym, rycerskim.

Ziemia zadrżała. Objął oblubienicę w ramiona przemożnie, uczynił ją żoną swoją.

Bory tajemniczo szepcą i szumem podają wieść ważną:

– Sstało się!...

Krople dżdżów sytnych, płodnych lecą z nieba, padają, siąkną w ziemię, szumią:

– Sstało się!...

Ziemia poczyna Życie.

– Cześć Życiu, które mamy: temu, co się z pokoleń w pokolenia przelało, i temu, które piękna jutrzienka nadziei dopiero nam zapowiada w przyszłości!

Nikt taki nie żyje dzisiaj, kto nie żył ongi i komu nie świta jutro wieków Życia co chwila innego.

Szmaragd prześliczny wзира z młodziutkiej trawki, skąpanej w przecudnych blaskach słonecznych. On wieszcy miliony gwiazd, zapowiada przyszłość mnogich wieków Życia.

Pan młody zawiesił na sklepieniu górnym swój łuk cudownie piękny, arcydzieło odwieczne o siedmiu barwach, i spoczął – wielki w swej wielmożności. Ona, pani młoda, namaszczona na rodzicielkę, lśniąca od brylantów, pereł, szczęśliwa jego miłością i przeczuciem macierzyństwa, stoi cicha, uśmiechnięta.

Dziewica Wanda zaczyna przeobrażać się w Ładę – naszą piękną Matusię-Ziemie.

– Błogosław nam, matko, ej, wiosny matko!

Łono dziewicy przepelne ciepła życiodajnego już drga miłością tkliwą dla dzieci. Piers jej cudowna wzbiera mlekiem i życie poczyna ssać swą rodzicielkę. Soki twórcze grają w miazdze, w rdzeniach, pąkach i nowe pędy Życia ukazują się w świecie.

Już wieńce liści zielonych, kwiatów tęczobarwnych oplatają skroń macierzy uroczej młodością. Sasanki, pierwiosniki, wilcze łyko uśmiechają się po lasach, kaczeńce na ługach wilgotnych. A jaka pogoda Nieba otacza ją zewsząd rozkoszą! Ile błogosławieństwa spływa z błękitów od wschodu do zachodu słońca! Dla niej te szafiry nieskazitelnie czyste stropu niebios bez końca i początku; dla niej szkarłat, złoto, rubiny i topazy, wśród których żeglujecie gwiazda poranna i wieczorna; dla niej bogactwo nieprzebrane światła, zalewających jasnością Niebo nocne.

– Matko, tyś oblubienica Słońca, a my po mieczu i po kądzieli – powinowaci Wszechnieba!

Gwar nadzwyczajny ptaków rozspiewanych idzie z weselem wielkim przez bory, niwy, wody.

Powietrze, topiele, ługi, kryjówki skaliste drżą, huczą od rozkosznych biesiad miłości.

Kto żyw, uczuwa mus, obowiązek miły a nieuchronny szczęścia pod tym ogromnym, nieskończonym błękitem.

O Życie, twoja tajemnica jest tajemnicą miłości!

Chociaż kto jęczy, boleśnie płacze, nie słysząc go dzisiaj.

Wszyscy chciwie wpatrują się w szczęście, w siebie samych: czują, że miłość stwarza Życie; a Życie całe jest jednym łańcuchem miłości, który spina Ziemię z Wszechświatem.

Nasz świat pachnie, dyszy weselem, ukojeniem bez miary, błyszczy wdziękami czarownicami.

– Matko, dobrze nam żyć na twoim łonie!

Każde stworzenie żywe zdaje się przemawiać wyraźnie:

– Teraz mogę umrzeć, ale umrę w chwili szczęścia, które opłaca szczodrze utratę życia!

Bardzo, bardzo piękny jest ten ranek młodości niewinnej, o barwach świeżych, nie splamionych znojami żywota długiego. Żadna nadzieja złudna, by najmniejsza, jeszcze nie pękła i każdy w szale zachwyty pędzi upojony do bram szczęścia. Ileż to obietnic czarujących przynosi o świcie zwiastunka godów jarowych, jutrzienka złotowłosa i różanopalca!

Bogini Żywa, krasopani cudna, niańka Życia młodziuchnego, dobra jak szczęście, piękna jak obraz z marzenia, przebiega już świat nasz piędź po piędzi.

Najpiękniejsza z bogiń najpiękniejszych obnażyła krasę wdzięków niewysłowionych. Chadza w bieliźnie ciała łabędziej, bez rubów, bez zapaski, z kosą włosów Słonecznie złotych, rozpuszczoną niżej pasa; ma jeno na głowie wianuszek z ruty i pierwiosnków. Skapała się w Wiśle, przejrzała się w zwierciadle wód Nidy i przybyła nad Prądnik – niania nasza ukochana. Nawiedza sioła i przysiółki ludzkie, pieści niemowlęta lube, darzy niewiasty świętym natchnieniem macierzyństwa. To podług jej wzoru, z zapatrzenia na tę piękną, rodzą się u nas dziewice śliczności.

Wypadła na niwy, patrzy, dosiewa zboża nieweszłe, dźwiga źdźbła przy-marniałe. Bieży do puszczy, zagląda w każde gniazdo, błogosławi braciom, uży-
cza siły dębom, starganym przez wieki, po łąkach chucha na trawy i kwiaty sła-
be dotknięciem dłoni krzepi siły wiotkie, skinieniami ubarwia motyle, chrząsz-
cze i muszki. Odwraca złe powszędy, otacza pieczą troskliwą Dzieciątko-Życie
nowo narodzone. Zmieniła się w ptaka zazulę, przepowiada, wieszczy dziecię-
ciu i cacka je, pieści, bawi, a nawołuje:

– Kuku, kuku, kuku!

Dziecię, szczęśliwe, uśmiechami wdzięczności jej odpowiada.

– Chwała Życiu, chwała miłości i – szczęściu, i – wdziękowi!

Wszystko, co oddycha, co czuje w sobie krew Życia, wpatruje się w nie-
biosy; miliony serc biją uczuciem wdzięczności.

– O, jak cię uczcić, Ojczy Jasny! Jak cię umiłować, Matko-Ziemio, dobra
i piękna!

Lud, przepelniony szczęściem własnym, uczuwa potrzebę czci, uwielbienia
i posłuszny licznym skinieniom niebios, stwarza obrzędy uroczyste, obchodzi
święta wielkie.

Boże Jasny, nasz dobroczyńco, przyjmij obiady z plonów, którymi darzysz
swe dzieci, biedne i nędzne bez łask twoich!

Wnet między uroczyszczami zboże ozime i jare zaruni się po ujazdach, ob-
chodach i pocznie spiesznie śmigać ku Słońcu. Łąki, obsiane ręką niewidzialną
bóstwa opiekuńczego, porastają w trawy bujne.

– Panie, ty dajesz zniwo szczodre i kosowicę bogatą! Jakże cię za to nie
wielbić!

Hej, wiosna, pierwiosna! Hej, gody jarowe!

Naród wypoczywa i rozmyśla o wielkiej sprawie zmartwychwstania Życia. Z zachwytem wpatruje się w Niebo, marzy o Życiu ducha poza Życiem ciała: święci dni jasne jaru. Wdzięczny dla swej matki karmicielki, pożywa dary jej poświęcone. Sięga myślą w istotę rzeczy i widzi, że jaje jest godłem Życia, znakiem godów odrodzenia. Wyprawiają biesiady dyngusowe, ażeby obmyci wodą czystą, jako Ziemia dżdżami Niebios, byli godni powitać lato nadchodzące. Na jarzu cześć bogów powstała, a z czią – Życie ducha. Pieśni dziękczynne, modlitwy błagalne popłynęły od łąnów po szlakach skowrończych, zlały się w jedno z głosami Wszechżycia.

– Boże, ródź owies, pszenicę i wszelką pasznicę!

Wystąpił jeden, podeszły wiekiem, ubielony siwizną kapłan natchniony, który duchem dotarł do spraw pozaziemskich, On posiadał tajemnicę czci, stał się godnym sługą ołtarzów boga Jasnego. Wzniósł ręce w górę, ukazał niebo błękitne, ogromne, z pałającą tarczą słońca. Lud widział, że już nie ma nic większego na tym świecie: korzył się, uwielbił, uczcił Jasnego.

– Ku tobie, Ojczy Życia, zwracają się spojrzenia wszystkich istot żywych!

A Niebo ogarnęło swymi ramionami Ziemię i jej dzieci, odbijało pięknie w wodach Prądnika obliczem błękitnym i blaskami słonecznymi.

– Jakże potężne są Niebiosy, które obejmują i zamykają sobą wszystko! Nigdy nie stworzone, nie dające się zmierzyć, wzruszyć; zniszczyć... Wielki, wielki, wielki!

Skinieniem tworzy i uśmierza burze, ciska pioruny, utrzymuje Wszechświat w ruchu. Z niego pochodzi i przez niego ma być wszystko, co jest, było i będzie wszystko znane i wszystko nie znane... Przemocny, przemocny, przemocny!

Jest początkiem i końcem wszechrzeczy, a sam – bez początku i końca. Dzierży, ogarnia miliony światów olbrzymich, takich świetnych, unosi je w biegu przez nigdy nie zaczęte i nigdy nie skończone potoki wieków. Obraca jedne światy w gruzy, tworzy z nich inne i tak trwa wiecznie. Żaden, żaden z naszych przodków żywych nie widział jego urodzin, żaden z potomków nie ujrzy skonu... Nieśmiertelny, nieśmiertelny, nieśmiertelny!

Ukórzmy się, ziemianie żywi, tylko przez niego biorący udział w wieczności!

A Prabóg stary, sędziwy – Bóg niegdyś głównie czczony przez ludzi – spogląda z Niebios najwyższych okiem Ojca dobrego i łaskawego, udziela błogosławieństwa dzieciom Ziemi. Cuda naszych padołów, choć takie niewielkie, nie są cudami dla niego. On ma dokoła siebie cud największy: otchłań bezdenną nieskończoności, świat gwiazd niezliczonych, zniczów świętych, wiecznie płonących na ołtarzach Nieba. Także przedwieczny i powieczny.

Życie odśpiewywało pieśń wielką wiosenną i nie mogło jej skończyć. Jak tu wyrazić moc uczuć, które wezbrały tak potężnie, że się nie zmieszczą w żadnej postaci i są niewypowiedziane?... Wieki długie śpiewają i będą śpiewały wiecznie nową pieśń miłości.

Mysikrólik, uniesiony natchnieniem, śpiewał z innymi. Przerwał swój hymn nieskończony, gdyż matka jego dzieci potrzebowała do życia także chle-

ba powszedniego. Żarliwość ptaszki w dbałości o gniazdo nie znała żadnych granic. Ta matka młoda spełniała swe dzieło z namaszczeniem, z uczuciem zachwyty nabożnego: modliła się – rzecz można.

Wysłuchana w pieśń męża śpiewaka, czuła w sobie tchnienie i potęgę siły twórczej, mającej niebawem wzbogacić Życie dziećmi. Doznawała w głębi duszy rozkoszy najwyższej, przeto obowiązek uciążliwy był jedynie słodkim musem serca macierzyńskiego. Jednakże bywały chwile rzadkie, w których prawa Życia jednostki przychodziły do głosu i natarczywie domagały się za- doścuczynienia.

Marnie zginiesz, jeśli nie zaspokoisz głodu, nie ugasisz pragnienia, co cię pożera! A wtedy w cóż się obróci twoje kochanie?...

Dzieła poświęcenia, wymagają sił ducha, a Życie ziemskie nie zna ducha bez brzemienia ciała, które czerpie siły z chleba Ziemi.

Troska o chleb dla niej leżała prawie wyłącznie na głowie ojca gniazda; ale matka biedna nieraz umierała z pragnienia i wówczas musiała na chwilę odbiegać od drogiej kolebki z dziećmi. Nie było innej rady.

Właśnie oto, spragniona, tajemniczo wyfrunęła z gniazdka.

– O Boże, żeby tylko ktoś taki nie podpatrzył mojej nieobecności!

Jak myszka potoczyła się po ziemi ukradkiem, to znowu podlatywała i tak – już pieszo, już na skrzydłach – spieszyła po napój do Prądnika. Nikt z sąsiadów nie spostrzegł jej wycieczki; inne matki gniazd robiły to samo.

Maleńki gardziołek ptaszki miał potrzeby bardzo skromne, z łatwością zadowolili się i orzeźwił. Czerpnęła z potoku po odrobinie raz, drugi, trzeci i już miała dosyć.

Obejrzała się po świecie: spostrzegła i odczuła uroki wiosny! Tak jasno, tak ciepło, tak wonnie wszędy! Wokoło niej roiły się ptaszki, motyle, muszki, chrząszczyki, kwiatki. Było pełno ruchu, brzęku, śpiewu, świergotu i blasku barw przeróżnych. Ona przy zajęciach swoich prawie nie zaznała jeszcze rozkoszy wiosny.

Młoda pustelnica zapomniała się na jedną tylko krótką chwilę: na tyle, ile czasu potrzeba, aby rzutem oka ogarnąć wdzięki nadzwyczajne Życia jarowego, w tej części puszczy nad strumieniem.

– Ach, jak swobodnie jaskółka leci nad powierzchnią wody, jak ślicznie wilga gwizdże, dzwonią pliszki łączne!... Czy ten cudny zimorodek, te jętki, ważki, motyle, kwiaty nie są bóstwami Prądnika?.. Zapewne rusałki!

I już zaraz przypomniała sobie dzieci, pędziła do domu w pośpiechu największym, a serce biło jej z niepokoju. Czyniła sobie teraz wyrzuty ciężkie:

– O, jakaż ja jestem matka niedobra! Zapomniałam o nich – biedactwa moje! Żeby im się też aby nie stało co złego!

Podwaja kroki, przyśpiesza lotu. Czas nieobecności w chacie wydaje jej się niezmiernie długim, a odległość do domu – przerażająco wielką. Biegnie bez pamięci, słyszy po drodze, że sroka skrzeczy niemile, wrona wstrętnie kracze,

kukułka tak zgiełkliwie kuka, drozdy wydają głosy ostrzeżenia. Wszystko przemawia do niej:

– Matko niedobra, opuściłaś dzieci!

Niepokój ją ogarnął, dręczył. Zadyszana, strwożona wpadła do gniazdka, co tchu na nim zasiadła.

– Chwałaż Bogu, już jestem z nimi! O nigdy, nigdy na krok się nie oddalę!

Naraz uczuła pod sobą, że w domu jest coś inaczej, nie tak, jak przedtem było. Jedno jajko wysuwało się nieustannie spod skrzydeł matki opiekuńczych i trudno było zagarnąć je między inne jaja.

– Chyba tu co przyrosło, przybyło? Bo skądże to pochodzi, że teraz nie mogę pomieścić ich pod swoją piersią? Przecież przed chwilą niedawną nie było im w gnieździe ciasno.

Wskoczyła, czepiła się nóżkami ścianki chaty i z góry badała uważnie stan spraw rodzinnych. Światło wpadające przez bramkę i okienko, wskazywało wyraźnie jedno jaje większe od innych, co właśnie stanowiło przyczynę ciasnoty.

– Bynajmniej nie pamiętam, ażebym kiedykolwiek urodziła tego wielgusa!

Siedziała. na jajach i tak ciągle biła się myślami. Mąż wkrótce powrócił objuczony zapasami żywności.

Ptaszka natychmiast odsłoniła jajka rzucając pytanie:

– Czyk, czyk, czyk?... Jesteś mądry i zapewne mi wyjaśnisz, jakim sposobem to jaje większe od innych znalazło się w naszym gnieździe?

On zrobił duże oczy, uważnie patrzył a patrzył i widział rzecz niezwykłą, ale nie umiał o tym nic a nic powiedzieć.

– No, no, wydarzenie prawdziwie niepojęte! Takie jaja, jak świat światem, nigdy nie bywały w rodzie Mysikrólików!

I zacna para rodzicielska była skłonna uważać to zjawisko za nadprzyrodzone.

Bądź co bądź, obowiązek słodki macierzyństwa niewoli ptaszkę do wysiadania na jajach, póki się pisklęta nie wylęgną. Więc rozpostarła się w gnieździe i bardzo sumiennie spełniała to wszystko, co należy do kwoczki.

Z czasem przywykła, otrzaskała się; jaje, acz przyduże, nie raziło jej już wcale i ściśle weszło w skład rodziny.

Szczuplutka matusia tuliła je pod siebie jak mogła, ogarniała skrzydełkami, nóżkami, obdarzała ciepłem, serdecznym swej piersi.

W późniejszym czasie to jaje budziło w niej nawet ciekawość i upodobanie.

Okoliczność, że jedno dziecko tak wybitnie różni się od innych, mogła przecież schlebiać próżności macierzyńskiej.

– Cudowne dziecko!

Wiosna zbliżała się do lata i nadeszła chwila upragniona, kiedy ptaszka, wyczerpana trudami przetwarzania jaj na ptaki, uczuła pod sobą ruch życia, a zaraz potem posłyszała pisk słaby, niewyraźny, bardzo luby jej sercu. Natychmiast poznała całą swą istotą, co znaczy, i drgnęła z rozkoszy.

– Dzieci

Serce matki żywo biło ze wzruszenia.

– Co za szczęście!

Powiała syna pierworodnego, który przyjście na świat oznajmił kwileniem, jak gdyby mu żal było opuszczać spokojne zacisze w skorupce jaja. Matka od razu ukochała go całą duszą.

– Bobo ty moje najdroższe, mój ty milionie! To go otulała, to koła, udzielała posiłku.

– No, nie płaczże, nie płakusiał!

Był jedynakiem przez jedną dobę, panował wyłącznie w sercu matki. Potem już codziennie jakieś jaje wypuszczało na świat ptaszka nagiego, na którym gdzieś jeno widniał drobniuchny włoszek puchu szarego.

Dziobki z obwódkami żółtymi, wyłupiaste oczka czarne, brzuszki sinawe, wydęte jak bańki, napełniły gniazdo, roiły się, piszczwały a największe z jaj jeszcze leżało napęczniałe wśród rodzeństwa starszego.

Nareszcie skorupka zaczęła się i na nim rozpadać; pękła i jednego dnia ujrano pisklę rosłe, o więzi bardzo grubej, znacznie więcej ciałowite niż ojciec Mysikrólik. Rodzice spoglądali ze zdumieniem, ale nie bez miłości, na tego wielgoptaka, zapowiadającego wzrost olbrzymi w ich rodzie karłowatym.

– Co z niego będzie?

Tłumaczyli sobie wszystko na dobre. Może tam i marzyli w skrytości ducha.

– Udał się, nie ma co mówić! Kto wie, czy nie wyrośnie ptak-bohater, który okryje nasz ród sławą?

Dziwoląg najwidoczniej brał ich za serce. Jak tylko ujrzał światło dzienne i opamiętał się cokolwiek na świecie, zaraz otwarł na oścież dziób, dając do zrozumienia, że ptak z postawą tak okazałą nie będzie żył manną bożą. Rodzice zakrzętnęli się żwawo i w mgnieniu oka jedno przyniosło pajaka pękatego, drugie – glistę długą, pulchniutką – coś w rodzaju kielbaski. Na taki widok pisklę cudowne szeroko rozwarło gardziel bladuróżową, niby otchłań gotową pochłaniać wszystko, co tam wpadnie.

– Jedz na zdrowie, a rośnij na naszą pociechę! – myślała para rodzicielska, ciesząc się z początku, że potomek jest taki żerty.

Ale pożądlivość nadmierna obżartucha wnet im się dała we znaki. Prawie nie było znać w gnieździe siedmiorga drobiazgu; tylko kupa ciała cokolwiek omszonego rozpościerała się butnie na środku, a nad nią górował bąbel łąba z oczyma pożądlivo wybałuszonymi i z gardłem ciągle otwartym. Bywało, ojciec albo matka zjawia się na progu chaty, przynosi w dziobie jaki kasek dla dziatwy – ma się rozumieć – do podziału. Cóż z tego, kiedy pisklę-olbrzym góruje łbem nad resztą rodzeństwa, przejmuje u wchodu żer przyniesiony i połyka z pośpiechem ogromnym! Płacz, biadania malców poszkodowanych, więc głodnych, napełniały gniazdo i zakrwiawały serca rodziców, którzy nadaremnie

czynili nowe wysiłki, aby nikt z dzieci nie miał krzywdy. Biedni rodzice! Z przestachem niemałym spoglądali na nieustannie rozwarte czeluści żarłoka i, chcąc nie chcąc, wrzucali w nie co chwila wszelkie rzeczy jadalne.

– Jak tu wyżywić tyle dziatwy przy tym worku nienasyconym? – zdawał się zapytywać ojciec.

– Cóż on temu winien, że potrzebuje jeść więcej niż inne? – odpowiadała matka.

Oboje, wyczerpani pracą, zabiegami około utrzymania domu, omdlewali pod koniec dnia ze znużenia i w dodatku nie mieli pociechy, że należycie spełniają swe zadanie. Potomstwo drobniejsze, objadane przez uprzywilejowanego wielgusa, rozpaczliwie wierciło się i piszczalo w gnieździe. Biedactwo, suchoty im zagrażały.

Tymczasem obżartuch rósł jak na drożdżach. Już piątego dnia życia zrobił się drab nie do poznania. W skrzydłach jego i ogonie pokazały się pałki szare, grube, twarde jak patyki. Przy tym z oczu wyglądało zuchwalstwo i lekceważenie całego otoczenia. Zamaszyście siedział w gniazdku, rozpychał się łokciami i kolanami na wszystkie strony tak, iż pisklęta małe, deptane, kopane i przygniatanie do ścian, ledwie dyszały, wychylając na wierzch główki.

Siódmego dnia o zmierzchu wieczornym ptaszka-matka spostrzegła z przerażeniem, że w chacie nie ma już dla niej miejsca na nocleg: grubas całkowicie wypełnił gniazdo swą osobą i wystawił dziób na zewnątrz poza otwór wchodowy. Pozostałe rodzeństwo, wyparowane przezeń ku górze, wgramoliło się na grzbiet dziwoląga i ogrzewało go swym ciepłem, utyskując piskiem żalnym. Ptaszka zapłakała:

– Czyk, czyk, czyk!

Niedola to ostatnia, kiedy matka znajduje drzwi do gniazda zaparte.

Mąż słyszał żale żony, ale przecież był bezsilny, nie mógł złemu zaradzić.

To pisklę dziwnego nabożeństwa wywierało na rodziców jakiś wpływ nadzwyczajny: nie śmiano mu się sprzeciwić.

Rodzicielka stukała teraz do chaty wielokrotnie, a zawsze znajdowała drzwi zamknięte, ponieważ w bramie gniazda tkwiła głowa duża, kosmata, z dziobem szeroko rozdziawionym – istna rogatka. Wprawdzie nocleg w ciepłą noc czerwcową nie był dokuczliwy dla ptaszki przywykłej znosić niewygody, ale znowu serce macierzyńskie rwało się do dzieci, pragnęło kochać je dotykalnie i czuwać z bliska nad ciałkami lubymi.

Po kilku dniach bardzo skwarnych, niebo się zasepiło i błyskawice zaczęły po nim pod noc skakać.

– Kto wie, czy ulew nie nawiedzi dziś puszczy? Dzieciątka mogą mi przemoknąć, chorować z zaziębienia.

Zwyczajnie, matka musi się gryźć, frasować. A tu dzieciak cudaczny uparł się oczywiście, aby jej nie wpuścić do domu. Ha, sama go psuła!

Ojciec, strudzony pracą całodzienną, już był wsadził głowę skołataną pod skrzydełko i kipiał na gałęzce pod nakryciem liści leszczynowych. Ona też przypnęła w pobliżu, tylko że nie mogła zasnąć: czuwała z oczyma niespokojnie wlepionymi w miejsce, gdzie gniazdko jej najdroższe wisiało.

Serce matki pękało z żalości, kiedy słyszała piski rzewne, wezwania tęskliwe malców osierociałych.

– Och, to ten mój pieścioszek, dziecinka mizerna, słabowita!... Złoto moje, jak on tęskni od matusi! Czuć łzy w jego głosie – pomyślała sobie i co tchu pędziła do gniazdka, usiłowała zajrzeć wewnątrz. Na nic się nie zdało: bachor pękaty ciągle wzbraniał wejścia. Miałby on za swoje, gdyby się matusia umiała gniewać!

A te chmury ścigały na Bohbór z owym spokojem powolnym, który zwykle zwiastuje burzę.

Błyskawica kiedy niekiedy rozdzierała niebo pocerniałe, zalewała jasnością tajemnicze kryjówki puszczy, oświetlała od stóp do głów drzewa olbrzymie, które stały poważnie, cicho, jakby na sen zaklęte. Huk oddalony gromu ponuro warczał. Perun gdzieś strzelił i cięciwa jego łuku drżała w przestworach. Niebo przygotowywało się dzisiaj do obchodu święta godów letnich.

Pora toków miłosnych już przeszła, nastały czasy lęgów, a z nimi – znojów życia.

Jasny kończy swój bieg jarowy na niebie i jutro o północy przypada uroczystość lata, święto Słońca i Ziemi-Wandy – Ognia i Wody, co ludzie święcą przez sobótki i wianki.

Puszcza oczekuje tej nocy wielkiej, kiedy paproć strzela uroczym kwiatem szczęścia, więc drzewa zapewne dlatego z takim spokojem wpatrują się w niebiosy: może to jest ich wiara. Robaczki, miłe świetliki, jedne błyszczą wśród gąszczu traw i krzewów, inne migają w locie jak iskierki.

Motyl nocny czasem furknie, komar bzyknie, chrabąszcz zabęczy, lelek ci-chutko przemknie, a jedne świerszcze cierkają nieustannie.

„U-hu-huu” – zawyło, głos pustelny, smutny i zarazem okropny rozbił się po borze.

Mysikrólik drgnął całym ciałem, zmora straszliwa przerwała mu marzenie senne.

Najprzód zahuczało w okolicach skał, gdzie jest państwo jaskiń niedźwiedzich i gniazd wilczych. Potem wycie, od którego włosy powstają na głowie, zakłóciło ciszę w dąbrowie dębów i buków. Niezadługo przybliżyło się jeszcze więcej...

...Chwila krótka znowu upłynęła i zabrzmiało tuż, tuż obok gniazdka.

Strzyżyk wytrzeszczył teraz oczy przerażone, wpatrzył się w ciemności.

Naraz błyskawica przeciągła rozjaśniła okolicę i Mysikrólik ujrzał po raz pierwszy przy jej świetle smoka-potwora.

– Bóstwa jasne, czyż po to stwarzacie życie, aby je biesy czarne niszczyły?

Światłość błyskawicy zniknęła, noc czarna znowu padła na puszcę, a widmo poczwary wrogiej, rozpościerającej się przy gniazdku, nie schodziło z oczu ptaka zdrętwiałego w trwodze. Była to postać okropna: rogata, z nosem zakrzywionym, z ślepiami okrągłymi, z łbem kocim.

Czas krótki do rozświtu włókł się, dłużył jak wieki.

– O Boże, on siedział na krzaku tarniny i wszyscy moi kochani byli w jego mocy! Dlaczegoż strach, silniejszy niż miłość, zmroził mą duszę i nie dozwolił mi spieszyć im na pomoc?

Deszcz ciepły, mały, choć z wielkiej chmury, pokropił puszcę, orzeźwił rośliny spragnione napoju, wlał w nie nowe zapasy siły i było miło, wonno.

Bór sposobił się do powitania słońca porannego. Już dnieje, mury czarne przetaczają się, uchodzą w przepaść, jaskinie, jary, a mgły rozwieszają po smugach leśnych swe płaszcze białe.

– Dniu, raczej bądź nocą czarną, jeśli światło tve ma ujawnić prawdę bolesną, która jest grobem serca!

Wśród ostatnich cieni zmierzchu kukułka przelata tu i owdzie, daje hasło do życia dziennego. Ona nie ma swego gniazda!

Słychać, jak ptacy strząsają rosę z pierza, jak ocierają dzioby o skrzydła, o korę drzewną. Głosy coraz liczniejsze odzywają się zewsząd, a głównie nawoływania rodzicielskie i odzywki piskłące. I Mysikrólik opuścił schronienie – namiot pod listkiem leszczyny – zawabił tęsknie, tkliwie.

– Czy-yk, czy-yk, czy-yk!

Jak gdyby zapytywał:

– Gdzie jesteś, moja luba?

Tyle niepokoju było w tym głosie, że niektóre ptaki skłonniesze do współczucia zwróciły nań uwagę.

– Cóż się tam stało u sąsiada?

W odpowiedzi na swe wołanie, usłyszał piskliwe krzyki dzieci:

– Pi-ii. Pi-ii!

– Żyją, chwała Bogu!

Niebożątka uskarżały się, że są bardzo głodne. Troskliwy ojciec pospieszył do gniazda i tu się wzruszył ogromnie widokiem dziobków rozdziawionych:

– Jeść nam dawaj, jeść co żywo! – Wołano natarczywie.

– Ale gdzież jest ona, matka moich dzieci?

Obiegał chatę wokoło, szukał i przyzywał ptaszki. Choć jej nie znalazł, nie przypuszczał, ażeby przepadła. Któż, szczerze miłujący, uwierzy, że przedmiot jego miłości zginął?... „Czuję ją w sercu, więc jest!”

Tylko niepokój go dręczył.

– Może wstała ze snu wcześniej ode mnie i poszła pracować na dzieci?...

Zdarzało się to już nieraz

Znowu począł wabić:

– Czy-yk, czy-yk, czy-yk!

Widocznie ją zaklinał:

– Mojaś-ty, odezwij się, jak mię kochasz! Jestem bardzo niespokojny o ciebie!

Nie otrzymał odpowiedzi; tylko dzieci jęczały w gnieździe.

– Kto wie, czy się nie zapuściła w bór gdzieś dalej? Przecież i to bywało.

Pisklęta robiły taką wrzawę o śniadanie i tak go swą żalością wzięły za serce, że musiał spełnić obowiązek i zatkać im gardła. Krzyk lamentu ogromnego w gnieździe oszołamiał ojca, popychał do pracy, która koi poniekąd cierpienia duszy. Wziął się do roboty, wnet złowił wielką gąsienicę włochatą i rogatą, co jak wąż okręciła mu głowę, przyniósł ją do domu i wrzucił w dziób rozwarty żarłoka. Znowu się udał na łowy, zdobywał pająki, muchy, komary, obdzielał potomstwo, chociaż dziecię żerte bardzo mu utrudniało wymiar podziału sprawiedliwego.

– A cóż się stało z ptaszką moją jedyną?

Poszedł w bór dalszy, wołał:

Czy-yk, czy-yk, czy-yk!

Nie otrzymywał znanej sobie odpowiedzi. Wabił, przyzywał jeszcze głośniej i także nadaremnie. Zapuszczał się w gąszcze, zwiedzał brzegi Prądnika, przetrząsał ustronia skaliste ze skargą na ustach:

– O, ja nieszczęśliwy! Kochanka serdeczna, towarzyszka życia wierna, matka moich dzieci przepadła.

Wyteżył głos, zaklinał, wzywał tak rozpaczliwie, błagalnie, że ptaki różne przystawały, aby dociec, co takiego się stało; czyniły to zapewne raczej z ciekawości niż współczucia.

Wszelkie poszukiwania były bezowocne i Mysikrólik smutny, zgnębiony wracał do gniazda.

– Kto wie, może ją zastanę przy dzieciach... – Nie mógł się pogodzić z tą myślą, że ona nie istnieje już na świecie.

Zaledwie stanął u progów ogniska rodzinnego, widok okropny, przejmujący zgrozą uderzył go tu w oczy.

Pisklęta drobne, powyrzucane z gniazda, poniewierały się wokoło. Jedno z nich, spadając, zawisło, na wylot przebite, na ostrym kolcu tarniny: broczyło krwią, wiło się w boleści, piszcząc przeraźliwie. Inne sroka, sąsiadka, przygniotła stopą i chciwie szarpała dziobem. Pięcioro pozostałych leżały martwe na ziemi, zaledwie widzialne dla oka spod rojowiska wielkich mrówek rudych. Gromada much ciemnomodrych, wietrząc padlinę, obsiadła powszedy to cmentarzysko dzieci. Tylko pisklę olbrzymie wysiadywało w samym otworze gniazda, wpatrywało się w ojca przybyłego oczyma pożądlivymi, rozdziawiało dziób i natarczywie wołało:

– Jeść, jeść, jeść!

Ono to, podrzutek-kukułczę, wyparło z gniazda dzieci prawie i samowładnie rozpierało się tutaj.

Żywo, niańko życia, daj zbolątemu sercu Mysikrólika ukojenie, niepamięć nieszczęść! A nam powiedz, bogini dobra, dlaczego pod panowaniem Słońca tyle Mysikrólików słabych ginie, ażeby jeden obzartuch mógł wyżyć?

Czy kwiat cnoty dlatego jest tak cudownie piękny, że szlachetni cierpią i giną?

Na padole doczesnym nie może być powszedniością to, co stanowi wzór doskonałości przyszłych wieków Życia!

Rozdział V

Dzień letni godowy urodził się na niebie – święto uroczyste śródrocze. Słońce bowiem dosięgło szczytu panowania, występuje w najwyższej potędze ciepła i blasku. Ziemia też rozwinęła już całą krasę wdzięków i wyczerpała siłę swej płodności.

Dziawa, uszczęśliwiona miłością oblubieńca Jasnego, stała się panią wielmożną, matką przebogatą w potomstwo. Wydała na świat tyle skarbów życia, że choć niejedno zmarnieje, to nie będzie znać ubytku. I ma oblicze podobne do kwiatu, którego korona cudna już nie zdoła przybrać świetności większej.

Piękność macierzy naszej doszła do kresu ostatniego i barwy jej wspaniałe już nie zajaśnieją tego lata krasą wdzięków bardziej uroczych.

Miłosne stadło boskie ukończyło swoje dzieła twórcze.

Uczcijmyż tryumf Ojca-Słońca i Matki-Ziemi! Miłość ich wydała Życie nowe, natchnęła świat stary duszą młodą o zapale ognistym.

– Słońce, bożycu przepiękny, od dziś dnia poczniesz nam blednąć i będziesz skwapliwie uchodził przed Księżycem bladym a zimnym! Żle jest, smutno Życiu bez twojego blasku, ciepła.

– Ziemi, nasza bogini prześliczna, i ty postarzejesz w żarach kochania: twe liczko cudne szernieje, zmarszczki leciwości zaczną je okrywać! Żal nam, żywym, pomyśleć, że kochanka Jasnego, dziawa krasawica – ona, dziś taka piękna – utraci wdzięki nieporównane i stanie się Babą! Nie chce się temu wierzyć, choć starzy dowodzą.

Tarcza świetna błyszczący na niebie ogniem żywym, żarzy się, pali łono Ziemi, piecze nas wszystkich. Wzbudza już nie miłość jarową, ale trójpotem znojów namaszcza czoło Życia ziemskiego. Bóstwo jasne sypie piaskiem żaru rozpalonego, jak gdyby chciało strawić ogniem dzieci swoje. Stworzenie żywe omdlewa, wije się, upada pod brzemieniem spieki straszliwej.

– Potęgi twórcze, pełne dobroci, dlaczegoż darzycie nas dola tak ciężką?...

Słońce w ten sposób wykończa swe dzieło: wychowuje i udoskonala świat żywy. Ogrzewa pisklęta nagie, aby nie drżały z chłódów, i sprawia dojrzewanie nasion, wydanych przez kwiaty. Jest to Ogień przyszłej płodności świata.

– Boże jasny, ty także oczyszczasz ogniem żywym świat stary i dajesz mu namaszczenie wytrwania w cierpieniach!

Przecież pora szczęścia, rozkoszy miłosnych już minęła i dla byłych kochanków nastąpiły czasy pracy, a z pracą – niedoli. Co się poczęło w szatach zachwyty i upojenia, to może istnieć tylko przez walkę z całym światem. Spokojna miłość rodzicielska nie zna wybuchów uniesień gorących: zabiegi pracowite, troski nieustanne, cierpienia są teraz na porządku dziennym. Życie przodków starych przyodziło szaty nowe, wystąpiło w dzieciach pod postacią zmienioną. Trzeba utrzymać, umocnić, zrobić dojrzałym ten świat młodziuchny, aby z czasem dorósł do godności rodzica nowego ogniwa w łańcuchu Życia, które taką właśnie drogą przelewa się w ocean wieczności. Słońce wyznacza to prawo – mus pracy świętej dla przyszłości.

Pieśń szczęścia, wrzawy kochania, burze uniesień namiętnych, szczęki walki o miłość milkną coraz bardziej. Głosy poświęcenia, troski nieustannej, zawodów i boleści dają się słyszeć powszedy. Niejeden nawet złorzeczy Życiu.

Bóg jasny wraz z miłością stwarza także cierpienie, które dopiero jest prawdą odczuta Życia, jego istotą i szkołą.

Pod Słońcem, na tej Ziemi, cierpieć – jak i kochać – jest koniecznością nieuchronną. Kto do zgonu nie zaznał niedoli, ten nie ma miary dla wartości Życia, ten i o szczęściu wie niewiele. Szczęście samoluba jest małe, niskie, wystarczające tylko jemu samemu, który ma drogę zapartą do współczucia w doli i niedoli ze światem szerokim.

Dzień wielki wybija na zegarze wieczności, zapowiada początek czynów, dzieł nowych: roboty skrzętnej wśród zawodów gorzkich, rozczarowań i cierpień dotkliwych. Ci, którzy mężnie przetrwają porę znojną zabiegów, walk, dowiodą, że są zdolni i godni uczynić Życie nieśmiertelnym.

Nic to nie znaczy, że złe przypadki, nieszczęścia chodzą po świecie, że mężny nie zawsze zwycięża. Trzeba nieraz zginąć, aby innym utorować drogę do zwycięstwa – umrzeć, aby dobrej sprawie życia zapewnić przyszłość! Umiesz kochać, umiej walczyć, cierpieć i umrzeć! Byt doczesny bez tego przykazania byłby marny, pozbawiony uroków wiary i nadziei.

Płacz wielki słyhać po gniazdach w puszczy, a jednak gniazda nie giną. Gil jęczy, gdyż srokosz nadziewacz pobił i pożarł mu pisklęta. Cóż z tego, gile i tak istnieją! Cierpią i mocni, ponieważ są jeszcze mocniejsi niż oni.

Pisk żałosny dniem i nocą rozlega się w gnieździe srokosza: bo krogulec rozszarpał parę rodzicielską i dzieci umierają z głodu.

Jastrząb wpadł do gniazda krogulców, spustoszył je okrutnie, więc rodzice jak szaleni rzucają się w boleści.

Kot podusił znowu jastrzębięta i oddał na żer dzieciom swoim.

I inne wypadki oplakane zdarzają się codziennie. Wichry strącają niejedno gniazdo, wody zalewają, a ileż ich przepada tajemniczo, bez wieści! Ci, co na wiosnę radośnie śpiewali, teraz boją i płaczą.

W zimie cierpieliśmy ogromnie od mrozów, głodu, ale głód i zimno udręczają tylko ciała, nie tykają duszy, z której pochodzą wszystkie bóle największe. Dzisiaj dzieci, nasze gniazda ukochane giną, poczęte w rozkoszy kochania!

Boże jasny, jednym rzutem twórczym obdarzyłeś świat szczęściem i cierpieniem!

Żyjemy z dnia na dzień w obawie okropnej, w niepewności jutra. Kto przeżył dzień szczęśliwie, drży za nadejściem nocy i z przestachem wyczekuje tej chwili, która wbije w serce srogi gwóźdź bóleści.

Rozkosz i szczęście wiosny były piękne; praca, walka i cierpienie są uroczyście wzniosłe.

– Uczcijmy Słońce, stwórcę Życia! Uczcijmy Ziemię, matkę zawsze dobrą!

– Cześć Ci, Wando-bogini, córo nieba, mieszkanko naszego Powiśla! Ty morzu, ty ziemi, ty powietrzu rozkazujesz!

Lud białosukmanny, w czapkach kraśnych rogatych, przepasany bylicą, napływa do Bohboru od rana, a każdy ma na ustach słowa:

– Jasny – sobótki, obiaty; Wanda – wianki, kwiat paproci.

Gwar ludzki napęłnia puszcę, kędy się piętrzą skały, ołtarze bóstwa wyniosłe: Chełm, Ręka, Złota, Pieskowa Skała i inne. Tu Jasny corocznie odbiera cześć z ognia od narodu. Stąd łuny płomienne czci jego sięgają niebios i są widne u źródeł Pilicy, u brzegów Wisły pod Wawelem i na łąkach nadnidziańskich.

Tu Prądnik wartki, przezroczystry, zaludniony przez boginie wodne, szumnie toczy z gór fale ku Wiśle a z falami – obiaty wianków wdzięcznych dla Wandy.

Mrok poczyna zalegać puszcę, stoki gór i doliny Bohboru roją się od ludu pobożnego: starcy sędziwi, parobcy śmigli, krzepcy a rażni, niewiasty z dziećmi, dziewczuchy wysmukłe, piękne jak kwiaty – wszyscy zebrani w „stada” wesoło pośpiewują:

– Ej, wieczór krótki, zapalmy sobótki!

A co tu pieśniarzy, dudarzy, grajków przeróżnych!

Pod siekierami chłopów roślących, jarych, wałą z trzaskiem choje, jodły, brzozy, jałowce, a młodzież układa z nich na górach stosy wysokie. Drzewa jęczą pod ciosami toporów: toż wiadomo, że mają duszę i onego czasu jak ludzie chadzały po świecie szerokim.

Ale bogi muszą mieć obiaty z istot żywych i ich nieraz dopiero krwią ludzką daje się uśmierzyć.

Dziewice strojne w wieńce kwiatów, cudne i niepokalane – godne jać się sprawy świętej – wystąpiły z „stada”, trą drwa suche, wzniecają ogień żywy.

– Świeć i świeć się, ogniu boski! W świecie, w chatach, w duszach ludzkich! Ogniu żywy, płoń, zapalaj i ogrzewaj!

Chóry pieśni dziewiczych, miękkich, dźwięcznie płyną po rosie wieczornej, napętniają świętością puszcze, już i tak świętą.

Ogień żywy błysnął nareszcie, zaczął płonąć, świecić w łuczywach suchych. Podpalano iskrami jego stosy drzewa ułożone na górach i wnet języki płomieni, kłęby dymu burego buchnęły wysoko w niebiosy.

– Chwała, o chwała! – huczy wokoło szmer zadowolenia.

– Sobótki nasze muszą być widne i na wzgórzach wiślickich!

Płomienie wyrrywają się ze stosu, ich szmaty skaczą prosto do nieba. Jasność zalewa okolicę.

Kapłan-obiatnik urzezał jałówkę czerwoną, dotknął językiem jej krwi ciepłej, aby smakiem wyczuć tajemnicę życia. Lud może zażąda dziś wieszczby, więc usta księdza muszą mieć namaszczenie do oznajmienia wyroków boskich. Złożono Jasnemu obiady sute: tłuste mięsiwo i czasie prosa zgorzały z trzaskiem wśród żaru. Naród z obliczem wzniesionym do niebios chórem odmawiał modlitwę od dziadów pradziadów przekazaną.

– Bożycy, panie Jasny, chodzący po niebie, spożywaj dary nasze, a wysłuchaj prośby ludu swego: uchron nas od nieszczęść! Nie pal niw ludzkich skwarami, nie zniszcz ich potopem burzy, oszczędzaj głowom i strzechom naszym piorunów gniewu swego, błogosław dziatwie i dobytkowi!

Ogniu święty, który od boga z niebios pochodzisz i masz w sobie mocy boskie, oświecaj, ogrzewaj chyże nasze! W ciemnościach i chłodach straszliwych zbawiaj Życie! O, Ogniu, łuną cudną bijący do nieba, zanieś Jasnemu cześć i modły ludu!

Dopełnili obrzędu świętego i z zapalem niezmiernym rozpoczęli teraz igrzyska wesole.

Ćmy, zdumione jasnością pożogi, leciały jak w obłędzie do ognia na zgubę. Niektórzy ptaszki braли pożar sobótki za słońce i rzucali się ku niemu. Inni z pośpiechem stronili od wrzawy ludzkiej i spiekoty płomieni. Zwierz drapieżny, wabiony wonią krwi i mięsa obiady, ostrożnie węszył z oddalenia.

Gdzie tylko płonie sobótko, tam wre i ochota do uczy.

– Wszyscy na rozpust, jako wyuzdani, idą bylicą w poły przepasani. Świerkowe drzewa podpalone trzeszczą, dudy z bąkami jak co złego wrzeszczą.

Rogi, trąby, ligawki, bąki, gęśle, liry grajków miejscowych i wędrownych brzmia na wszystkie strony, zlewają się w jedno z gwarem rozmów, okrzyków, klaskaniem w dłonie i z dźwiękami pieśni. Na Chełmie czasem z gwaru tego można wyróżnić:

– Dana ino, dana!

W dolinie Saspowskiej jakaś samotnica pośpiewuje przy źródle świętym:

– Oj dada, dada, dada!

Czyciele Słońca i Ognia, podzieleni na „stada”, czyli rzesze, otoczyli w okrag stos płonący i płasali, trzymając się za ręce. A niewiasty i dziewczki spojone dłońmi snuły się, przechylały na prawo, na lewo podśpiewywały:

– Łado moja, Łado, Łado!

Czasem parobek jaki z boku rzucił żartem szyszkę lub kwiatek, godząc w dziewczuchę, dla której miał serce. O, bo w tych „stadach” zwykle kojarzą się „stadła”! Spojrzenie wymowne lub uśmiech są odpowiedzią na pocisk zaczepny.

– Usiłuj mię pozyskać, a pozyskasz!

Ludzie odbywają toki miłosne w każdej porze roku; o miłości ptaków słońce wyrokuje.

Mężowie sędziwi przytupywali w takt rogów, trąb, gęśli i prowadzili tan poważny – zwany „wielkim” albo „pieszym”.

Za to młodzieńcy wśród okrzyków „hej-że hop, hop!” w skokach dziarskich sadzili przez płomienie stosu: Ogień żywy oczyszcza człowieka i broni od wszelkich nieszczęść.

Burza śmiechu huczała w borze, jeśli ktoś niezdarnie zawadził czy chybił w skoku, padł w ognisko i musiał się ocalać ucieczką pośpieszną od upieczenia.

– Kopciuchu, trzymaj się ciepła!

Wnet poszły i płasy parzyste mężczyzn z białogłowami – owe „drobne, skoczne”, a także – krakowiak.

– My jacy-tacy umiemy płaszać!

Chłopcy dobierali sobie dziewczoje upodobane: stado rozbijało się na stadła.

Swawola swobodna w pieśniach, wzajemne przymilanie się płci obojej w ruchach coraz bardziej wzrastały z każdą chwilą.

Tymczasem inni używali kąpieli w Prądniku: oczyszczali się w Wodzie, podobnie jak tamci w Ogniu. Woda żywa krzepi, orzeźwia, daje życiu świeżość i czystość.

A tam oto, z kładki na strumieniu, dziewczęta hoże i niehoże puszczają na wodę wianki z rutki, macierzanki, z lubczyku, rozchodników i z bożego drzewka. I tutaj pieśń daleko w świat leci po wodzie:

– Wianeczku ruciany, ozdobo mej głowy – płyn w odmęt wiślany – do Wandy królowej!

Swoją drogą obiata dla bogini, a swoją – pragnienie tajemne i gorące, ażeby wianek dostał się w ręce tego młodzieńca, dla którego serce dziewczyny żywo bije.

Czyż los ma rozstrzygać sprawę miłości? Powierzamy to bogom i jest jakoś nieźle na świecie.

Niejeden młokos idzie z biegiem wody w pogoń za wiankami. Szczęśliwy, jeśli złowi to, czego pragnie: ma bowiem prawo uścisnąć i ucałować właścicielkę wianka.

– Tyś moja, moja z woli bogini Wandy!

Jednak bogini, jakby przez psotę, dopuszcza nieraz, że młodzieniec rażny i hoży pochwyci na wodzie wianek dziewczki starej, szpetnej. Gromada wyśmiewa takiego, wydrwiwa złośliwie:

– Nic nie pomoże, powieś się albo ucałuj! Bogini ci ją daje!

Uczta wesola i gęźba potrwają przez noc całą, najkrótszą w roku, i przeciągną się do wschodu słońca.

Czciciele Jasnego usilnie dbają o to, ażeby biesy nie wykradły im spod popiołów Ognia żywego, który jest wždy największym skarbem ludzi.

Niebo przewspaniałe wystąpiło tej nocy ku uczczeniu święta Wandy: zapaliło wszystkie swoje gwiazdy, zajaśniało księżycem pełnym, wywiesiło wstęgę, wysadzaną brylantami gwiazdek drobnych: Drogę Mleczną dziś tak światłą, jak jeszcze nigdy. Spoglądając na obrzędy czci ludzkiej, zdawało się przemawiać:

– Śmiertelnicy, czymże są wasze ognie i łuny sobótek, by największych, w nieskończoności moich światów?

Prabóg wielki sam ogniem ducha swego zapalił sobótki niebios, ognie żywe, niezmiernie, płonące wiecznie.

Światła wiekuiste sklepienia górnego wskazywały właśnie północ, chwilę jedyną, kiedy na padolach naszych paproć wystrzela kwiatem cudownym, posiadającym własności nadzwyczajne.

Kto posiadzie ten kwiat-dziwo, ma przystęp wolny do wszechskarbu świata i już się wcale nie obawia niedoli doczesnej. Może się snadnie wdrapywać na szklaną górę szczęścia, pokonywać bez trudności wszelki opór, używać życia bogów nie znających cierpienia i zawiści naszego świata. Jest to kwiat-gwiazda, kwiat-marzenie.

Różni śnią od wieków dawnych o tym talizmanie szczęścia, ukrytym w tajemniczej głębi borów, a jeszcze go nikt nie zdobył.

Bohaterowie sławni, opiewani w pieśniach starych, nadaremnie robili wyprawy pełne przygód osobliwych.

Bywali wśród nich tacy, którzy dotarli tam, gdzie należało, i już mieli pochwycić skarb w dłonie, a strudowani, zbiedzeni srodze, powrócili z niczym do domu. Inni nawet przyplacili życiem przedsięwzięcie zuchwałe.

O jakże piękne jest to, o czym każdy marzy, a czego nikt osiąść nie zdoła!

Zakwitanie paproci trwa przez chwilę krótką – jedno mgnienie oka.

Kwiat mignie jak błyskawica, olśni cię, oślepi blaskiem niezmiernym, wprawi w zdumienie nadzwyczajne i w tejże chwili zanim się opamiętasz – zjawisko cudowne znika.

A trzeba zaprawdę posiadać serce nie znające trwogi, ażeby się zbliżyć i przynajmniej z oddalenia rzucić okiem na to dziwo niesłychane. Bo siedzibą kwiatu są ciemności przerażające puszczy: tym świetniej on jaśnieje.

Tam wilki zwykle zakładają gniazda, tam niedźwiedzie ścielą barłogi, tam ród zdradziecki biesów przerozmaitych rozpościera swoje panowanie, zgubne dla świata żywego.

Tylko marzenie złote o szczęściu jest zdolne podniecać z wieku na wiek szaleńców zuchwałych, pędzić ich na bezdroża strasznie karkołomne.

Ha, trudno! Praojcowie przekazali nam to zadanie wielkie i trzeba je koniecznie spełnić. Więc walczmy o tajemniczy skarb szczęścia!

Kwiat cudowny paproci jest w mocy wrogów światła, bóstw czarnych, które zawzięcie bronią przystępu do niego, a nie dają się przejednać żadną obiata: szczęście świata byłoby dla nich zgubą.

Przeto bożec leśny wyprawia szумы, łoskoty i gwizdże, skrzypi, klaska, aż szpik zamarza ci w kościach.

Ten olbrzym potężny przerasta głową jodły najwyższe w puszczy, chadza w kozuchu nie podpasanym, zapiętym z lewej strony na prawą, i pierwszy miota z góry na śmiałka trwogę śmiertelną.

Okropność, co za głosy on wyrzuca! A dziwy, duchy złowrogie wtórują mu jękiem, wieszczą nieszczęście, zgubę niezawodną, rzucają przekleństwa, urągają, złorzeczą.

Krew zastyga ci w żyłach, dech życia zapiera się w piersiach i nie śmiesz wznieść głowy, spojrzeć do góry, aby nie skamienieć na widok tego, co się tam dzieje.

Chociaż nie patrzysz, widzisz i tak przed oczyma duszy rzeczy straszne.

Pamiętny celu nie zważasz na to, drżąc krocysz naprzód.

Zabrnąłeś z lękiem w duszy do królestwa ciemności i ciszy grobowej...

Jakże przeraźliwie rozlega się odgłos kroków!...

Oto mara czarna wlecze się wałem długim z powitaniem naprzeciw – niesłychanie okropna. Niby niedźwiedź kudłaty, ogromnie rozrosły na wszystkie strony... Kłębi się, snuje, maleje, wzbiera w falę olbrzymią, w chmurę czarną o postaci dziwacznej i wali prosto na cię całym swoim ogromem. Pochłonie cię, uniesie ta mara straszliwa i musisz zginąć, choćbyś był Waligórą, Wyrwidębem, nawet – knęziem Krakiem. Nic nie pomoże serce najbardziej nieustraszone.

– Cyt, czy słyszysz poza sobą na tyłach szelest cichuchny, chód stopek drobnych, lekkich i szepty dźwięczne?... Dziwożony, rusałki gonią za tobą, może – i sama Dziwica, pani księżycowa cudna a straszna. Niebezpieczeństwo największe tu się poczyna.

Ktoś słodko, czarująco poszeptuje do ucha:

– Ścigasz szczęście? To zawracaj, szaleńcze, i nie szukaj już przed sobą cudownego kwiatu paproci! Rozkosz, upojenie boskie miłości, szczęście nad szczęściem stoi za tobą. Odwróć oczy, pójdź, rzuć się w objęcia rozkoszy, ponad którą nie znajdziesz skarbu większego na ziemi.

Stanałeś strwożony przez widmo przeraźliwe i oczarowany obietnicą piękną. Słyszysz za sobą dźwięki pieśni uroczych, a wonie zachwycające kwiatów biją na cię, zachęcają do odwrotu.

Co począć?... Wrócić, nie wrócić?

– Bohaterze, uciekaj, bo zginiesz niechybnie!

– Nie, idź śmiało naprzód, walcz do upadłego z poczwarami czarnymi, zwyciężaj, dowiedz się, czym jest marzenie wieków!

Z prawej strony upiory, wilkołaki już dyszą, wytrzeszczają nań ślepie zjadliwe, niecą przestrach, sprawiający szum i zawrót głowy.

Od lewicy zmory i strzygi dopadają, rwą ku tobie jak wściekłe, gotowe zdusić, krew wyssać, rozszarpać na sztuki.

I to wszystko trzeba pokonać, aby zyskać szczęście?...

Masz wokoło otchłanie, przepaści, z których ciągle wyłazą coraz to nowe zgraje piekielników.

Zamknij oczy i z marzeniem złotym w duszy idź, idź nieustraszony, szukaj wszechskarbu szczęścia!

W dolinie Prądnika dwoje ich opuściło ucztę godów letnich i szli poszukiwać kwiatu paproci. Miłość była ich przewodnikiem i natchnieniem do spełnienia dzieła zuchwałego.

Ta pochodnia jasna rozprasza ciemności największe, jest postrachem wszelkich mar z piekła rodem. Ale biada pątnikom, jeśli im w drodze burza namiętności zgasi światło cudne!

Jedna z dziewczyc, które rozniecały ogień żywy podczas obrzędu sobótek, wznieciła płomień jeszcze żywszy w sercu młodzieńca. On dzisiaj posiadał jej wianek, puszczonej z wodą na obiatę dla Wandy.

– Jesteś moją z wyroków bogini, więc pójdźmy szukać szczęścia w zaświaty!

Oboje mieli już w duszy skarb szczęścia nieprzebrany, a pragnęli więcej.

Któż nie usiłuje ziścić marzeń i pragnień gorących?

Ziścić szczęście?... Jakże dziwnie brzmią te słowa ust ludzkich w rozległej puszczy Bohboru!

Najprzód kroczyli jedno obok drugiego po drodze szerokiej, równej i prostej, skąd widzieli ponad sobą niebo gwiazdziste, piękne. Serca ich natarczywie pożądały zbliżenia, więc oboje spoiłi się dłońmi.

Milcząc wyszli na ścieżki wąskie, bardzo kręte, gdzie światło księżycy tylko miejscami rzuca na ziemię smugę jasną.

Im dalej w bór, tym większe bezdroża, a wokoluteńko – ćmy nocy okropne. Nie słyszeli bynajmniej, że dziwy u wierzchów drzew wieszczą im nieszczęście, że „u-hu-huu” szyderczo rozlega się w puszczy.

Po co patrzeć, słuchać, mówić, kiedy można tylko czuć?...

Miłość jest ślepa, głucha i niema: wszystkie zmysły i władze duszy zbiegają się w czasie.

Przebywali jary głębokie, tułali się wśród skał, utykali na kłodach drzew zwalonych, wypłaszali z jaskiń ptaszęta dzikie, które wraz z marami rażno pierzchały przed nimi.

Można obejść świat cały, przebyć podziemia piekła, jeżeli serce bije żywo i gromko.

Zaszli tam, gdzie jeszcze nikt nie bywał.

W tych kniejach niedostępnych, gdzie tylko wąż pełza, ślimak leniwy zasypia, znajdują niezawodnie kwiat paproci; chyba że im szczęście własne stanie na

przeszkodzie. Byli pewni swego i spoczęli, aby doczekać chwili północnej, pory zakwitania.

Tak dobrze: dłoń w dłoni, serce obok serca...

Ciepło błogie, wonne owiało ich zewsząd, a taka jasność opromieniła, jak gdyby samo słońce spadło w tę noc u stóp pary kochanków. Paproć nie mogłaby im piękniej zakwitnąć i żaden skarb-cud nie uczyniłby ich szczęśliwsiymi.

O, szczęście, szczęście!...

Wtem bożec leśny zgrzytnął, dziw niedoli wydał jęczenie przeraźliwe, a kogut puszczy zapiał głosem okropnym:

– U-hu-huu!

Ostatnia godzina jaru uroczego wybiła właśnie na zegarze nieba; bóstwa czarne zyskują przewagę nad jasnymi.

– Dzieci Słońca, idźcie precz, precz z raju miłości! Przekleństwo wam wszystkim, coście przez miłość odradzali Życie!

Bożec leśny wychrapał, wykrakał złowieszczbę.

Młodzieniec i dziewczica porwali się na równe nogi, biegli bez pamięci z trwogą w sercach.

Mary poczarne oskoczyły ich wokoło, puchacz prześladował wyciem.

Bór zatrzęsł się, zaroił od biesów strasznych...

Strwożeni, potykali się o kamienie, zawadzali o drzewa, ciernie raniły im czoła. Ujrzeni w pobliżu światelko mdłe.

– Kwiat paproci! – szeptali kolejno i biegli jak do zbawienia.

To świetlik, chrząszczyk maleńki, przyświecał blaskiem złotawym sam sobie.

„U-hu-huu” – znowu zawyło, dziwy syknęły jak węże.

– Patrz, tam oto coś pięknie błyszczy, jaśniej!

Ona powiada głosem stłumionym.

– Może to szczęście nasze?...

Szli ścigani przez widma, pobudzani przez nadzieję. Przybyli do próchna dębu starego, który przeżył tysiąc lat, zbutwiał i to światelko – kto wie, czy nie duch nieboszczyka dębu – opowiada o znikomości życia doczesnego.

– Próchno!

Żądni, znowu gonią.

Jakiś płomyk światła pomyka wśród moczarów leśnych, wyraźnie nęci ich ku sobie, połyskuje, miga – istna gwiazdka, obietnica szczęścia. Nie daje się coś imać: ucieka, kiedy idą ku niemu; goni za nimi, gdy odступują. Jest niepochwyt-ny niby szczęście wypieszczzone w marzeniach; czyni sobie igraszkę z tych, którzy go usiłują posiąść.

Ach, jest to ogień błędny, złudna mara szczęścia na padołach płaczu!

Śmiertelniku, wyczerpiesz siły, przepadniesz w zamkach podwodnych topielca, a nie zdołasz pojmać chochlika złośliwego!

Teraz spieszcie żywo! Na zwalisku skały ocienionej jodłami dwa światła migotliwe błyszczą. Jeżeli one nie są kwiatem cudownym, to chyba już go wcale

nie ma w obiecanej ziemi Bohboru. Żarzą się przecież, płoną tak jasno, że wątpić nie należy. Oboje pobiegli, wyciągają wśród ciemności dłonie pożądliwe, utkwili oczy w cel jaśniejący.

– Nuże, tyś sprawniejszy, wespnij się rąco na skałę, pochwyć i podaj mi kwiat wszechszczęścia!

Zachęta dodał bodźca jego pragnieniu. Dotarł i już, już ma pojmać skarb pożądany...

Światło porywa się nagle, uchodzi w górę, znika i zostawia poza sobą ów głos straszny, od którego włosy powstają na głowie:

– U-hu-huu!

Biesy tym śmiechem naigrawają się z dzieci Słońca i Ziemi.

Oni wzięli za kwiat paproci światło oczu smoka-puchacza.

Smutni, rozczarowani, wracali z wyprawy po szczęście: nie znaleźli cudokwiatu, a uronili własny skarb szczęścia. Gorycz niezadowolenia napajała ich serca. Ci już nigdy, nigdy nie będą pięknie marzyli o szczęściu.

Jasny świta po godach odbytych. Mary pierzchają, Życie budzi się ze snu i dawa znaki bytu.

Znużenie pokryło bladością ich lica, zawód cierpki przykrył blaski oczu, usta milczały, dzień nie sprawiał uciechy.

W takich duszach smętnych rodzą się pierwsze myśli mądrości, nastrożone przez zwątpienie.

– Czy szczęście trwałe może być udziałem urodzonych z Ziemi i Słońca? Bóg jasności z nastaniem jaru zapowiada nam je przecudnie i wlewa w serca nasze namiętne pragnienie rozkoszy.

Z jakimże zapalem ufamy tym ludzającym natchnieniom bóstwa!

Tymczasem omamienie zwodnicze tkwi w złudnych obietnicach promieni słonecznych, w powołaniu nas do szczęścia. Bóstwo ma w tym cel swój własny, samolubny.

Czyżbyśmy tak chciwie przykładali usta do czary szczęścia, gdybyśmy wiedzieli, że na dnie jej jest zdradliwa gorycz rozczarowania?

Któż by chciał być szczęśliwym, gdyby mu przyświecała świadomość tej prawdy, że za chwilę upojenia przychodzi nieraz płacić długim ja wiek cierpieniem?...

Tylko wiara obwieszcza nam szczęście, które jest ciągle nieobecne na padolach płaczu.

O, prawda nie mieszka widać na tym niebie prześlicznym, skąd wiara nasza pochodzi! Siedzibą prawdy są raczej otchłanie ciemności.

Bogi czarne zawsze zwiastują prawdę nieomylną – obiecują i dają niedolę.

My, nieświadomi przyszłości jutra i pojutrze, śmiejemy się radośnie w poranku życia, już o południu wylewamy łzy, a o zachodzie odbieramy śmierć w nagrodę za wiarę.

Przecież bóg czarny zapowiada to wszystko naprzód... Przecz mu czci nie oddawać, nie składać obiat?

Rozżaleni, źli i smutni, tak złorzeczyli Słońcu w sercach bluźnierczych. Biedni, nie pojmowali piękności cierpienia, w którym tkwi dzielność Życia jak w jajku – samo Życie!

Mówili o sobie z dumą:

– My ludzie!

I tylko sami siebie słyszeli. Czuli pogardę dla reszty świata żywego, wzięli z nim rozbrat i mieli duszę zamkniętą przed bóstwem. Byli pierwszą parą wygnaną z raju. Oby cierpienie uleczyło kiedyś gorycz ich zwątpienia!

W rozczarowaniu, w przeczuciu i uczuciu dumy poczęła się mądrość ludzka. Jeżeli to jest skarbem, to posiadli kwiat paproci.

Słońce w todze przejasnej cudnie wypływa na Niebo. Jakież ono piękne, bosko wspaniałe w poranek dnia czerwcowego i jak pięknie świat wygląda w jego blasku! Lecz ich zwątpienie podgryzło, nie śmieją wznieść oczu ku Niebu. Zapatrzeni w prawdę nową, nie chcą widzieć, że wokoło wszystko żywe wierzy niewzruszenie w Słońce, pełni jego przykazania: kocha i cierpi.

Tam oto, gdzie jarzębina zrasta się po bratersku z leszczyną, w gniazdku Mysikrólika pisklę-podrzutek natarczywie woła:

– Chleba, chleba!

A strzyżyk, ptaszek maleńki, karmi dziecko głodne, gdyż Słońce nakazuje mu ten czyn miłosierdzia.

Jest na Bożym świecie cierpienie bez szemrania, jest poświęcenie ciche i spokojne, które wypływa z Życia tak prosto, jak i szczęście.

Czyż zawiedzeni mają w łzach spędzić resztę Życia, oplakując chwile minionie, żyjące już tylko we wspomnieniach?

Mysikrólik śpiewał o chłodzie i głodzie, śpiewał w porze zachwyków miłosnych, śpiewa i teraz, przeszyty strzałą bóleści. Życie nie ginie, a Słońce nieśmiertelne wyprawia mu coraz nowe gody.

– Czyk, czyk, czyk!

– Jest Niebo, jest Ziemia, jest Życie!

Zaśpiewał pieśń poranną letnią i ptaki hucznie uderzyły za nim na hejnał ostatni:

– Czuwaj nad nami, panie chodzący po niebie! Dałeś Życie, więc chroń nas, knęziu jasny, który zasiadasz na tronie szkarłatnym i masz po prawicy Jutrzenkę piękną, a po lewicy Wieczornicę uroczą! Rodzicu-Boże, bądź pawężem opieki dla nas i naszej Matki-Ziemi!

Narody przeróżne ptaków tak śpiewały chórem, podzielone na głosy: słowiki, czyżyki, drozdy, dzięcioły, gołębie, dudki, kukułki i mnóstwo innych.

Gwar nadzwyczajny pieśni uwielbienia i błagania leciał po Bohborze, wzbijał się do Nieba. Tylko orły i jastrzębie modliły się w milczeniu.

Co za rozmaitość głosów, barw w szatach, kształtów szyj, dziobów, skrzydeł, nóg, ogonów!

Jak się nie modlić szczerze, kiedy tryumf Słońca przeminął i trwoga opada Życie?



Kukułka (*Cuculus canorus*)
– pisklę



Stary most
w Wólce Brzózce



Pokrzewka czarnołbista
(*Sylvia atricapilla*)



Gniazdo z jajami pokrzewki czarnołbistej (w środku jajo kukułki)



Pierwiosnek
(*Phylloscopus collybita*)



Gniazdo pierwiosnka
z jajami.
Jajo kukułki w środku



Puchacz
(*Bubo bubo*)



Obwale (wieczór)



Przepiórka (*Coturnix coturnix*)

– Bóg czarny zwycięża, źle będzie z nami!

Niektórzy skrzydlaci zawczasu myślą o ucieczce „na wyraj” i otwarcie szczecioczą o tym z dziećmi swymi.

Słowik, najgłośniejszy z rzeszy śpiewaków, śpiewa rzadko i krótko: biega pieszo po zaroślach cienistych, smętnie pogwizduje, pomrukiwa głosem grobowym:

– Krru, krru!

Inni ptacy, także głośni w porze miłości, umilkli również.

Jedni przez mądrość, drudzy ze strachu wnet opuszczą ojczyście ołtarze czci starożytnej, która potrzebuje jedynie wiary mocnej, miłości czystej, nadziei niczym nie wzruszonej.

Zanim dwie pełnie księżycowe upłyną, liczba czcicieli Słońca znacznie się zmniejszy w dolinie Prądnika, w puszczy Bohboru.

Spomiędzy śpiewaków tylko Mysikrólik nie przeniewierzy się czci bogów krajowych.

– Cierpieć, to cierpieć!

Chyba cud sprawia, że tacy do krzty nie zginą w porze głodu i wojny. Nie zginą, gdyż są niezbędnie potrzebni bogom i Ziemi.

Pisklę-olbrzym wyrosło ogromnie i rozciągnęło sprężyste ściany chatki, która wyglądała teraz jak bańka siatkowana.

Rodzice z gniazd sąsiednich już wywiedli w świat swoje potomstwo i dali mu naukę pracy na kawałek chleba.

Mysikrólik wcale nie miał tej pociechy: musiał od świtu do wieczora późnego czynić zabiegi, aby jego nienasycony i rozpróżniaczony jedynak był syty.

Nareszcie jednego dnia dryblas powstał w gniazdku, rozparł się skrzydłami i nogami tak silnie, że ściany wątle pękły z trzaskiem. Zrobił jeszcze nowy wysięk i gniazdo poszło w szmatki.

Ukazał się na świecie ptak rośły, okazały – istny panicz-krogulec. Odleciał z dala od gniazdka rozwalonego, usiadł na gałęzi jarzębiny i kłaniając się zręcznie to w prawo to w lewo, butnie zawołał:

– Kuku, kuku!

Zaraz potem rozwarł szeroko gardło, domagał się żeru.

– Czyk, czyk, czyk! – zawołał ze zdziwieniem ojciec nierodzony pieszczocha zuchwałego.

– Więc to nie moje dziecko?... Kukułcze, podrzutek!

Syn nieprawy spoglądał lekceważąco na maleńkiego tatusia i domagał się pożywienia.

– Czy należy zaspokoić głody tego bękarta? Gdyby przynajmniej prosił!...

Bez chłopów-Mysikrólików nie byłoby panów-kukułcząt.

Biedny ojciec jak niewolnik zabrał się do roboty, karmił podrzutka uprzywilejowanego.

– Jeść dawaj, dawaj jeszcze więcej! – wrzeszczała młoda kukułka ciągle głodna, a Mysikrólik zwijał się, znosił coraz nowe zapasy żywności.

Co za cel ma Słońce, oddając słabych Mysikrólików w poddaństwo butnych pasożytów?

Miłość zrobiła swoje: kwiaty zawiązały się w nasiona i wszelkie Życie wydało latorośle młode.

Teraz Jasny spoglądał na niziny z nieba i widział, że chwila ostatnia jego tryumfu otwiera grób dla panowania światła.

Czarny bóg zdobywał z każdym dniem większą przewagę władzy. O, nie osiągnie tego bez walki!

Więc Słońce przyzywa przed tron swój syna Peruna, który dzierży w niebiosach rządy burz i gromów.

– Synu rycerzu – rzecze – Ogniem i Wodą wypowiedz wojnę Czarnemu! Weź łuk mój, tuleję z szypami ognistymi, wyzwij na harc wojsko biesów, znękaj, zniszcz ten ród przeklęty! Dwie wole przeciwne nie mogą zarządzać światem.

Perun szczęśliwy z rozkazu oddał pokłon ojcu, wypadł wichrem na szczyt stropu niebieskiego i stąd cisnął wić wojenną, straszliwą, ognistą.

Cięciwa jego łuku warknęła tak potężnie, że bory ziemskie zadrżały, skały się wstrzęsły, a biesy okropnie ryknęły z przerażenia w jaskiniach i przepaściach.

Zawrzała bitwa... Ale niech najprzód podanie prastare opowie dzieje tego zatargu odwiecznego!

Rozdział VI

Wróżda boga światła z bogiem ciemności trwa od początku świata. Co pierwszy stworzył i pragnie utrzymać, drugi usiłuje to zniszczyć, zagładzić.

Bóg Czarny, okrutny, ponury, zimny jak mróz, odziany w płaszcz nocy, zagarnął pod swe panowanie podziemia tajemne, pieczary, przepaści, do których promienie Słońca nigdy nie dochodzą. Stworzył zastępy milionowe biesów, czerń wrogą dla jasności, wyuzdanie wściekłą, gotową w każdej chwili dręczyć dobre dzieci Słońca i Ziemi. Dziełem jego są także potwory straszne: smoki o paszczach licznych, węże, jaszczury ziejące jadem, zmije latające. On natchnął chucią złości przeróżne czworonogi, uczynił je swymi służalcami, ciurami proporca czarnego w wojnie ze Słońcem. Raz zaklął, splunął i ślina stała się sroką złośliwą.

Były to czasy okropne, kiedy się zanosilo, że ciemności wieczne, złość piekielna zapanują na Ziemi i Niebie.

Czarny zuchwalec przedsięwziął wtargnąć na zamek Niebios, strącić Słońce z tronu purpurowego i objąć nad całym światem panowanie.

Jednego razu nawet – o hańbo wieczna – udało mu się wziąć w plon Słońce i więzić przez całą dobę, ale Perun mężny odbił boskiego jeńca.

Trwoga śmiertelna padła na Życie ziemskie, na którym ślady niewolniczego upodlenia do dziś dnia pozostały.

Nadzieja uciekła w zaświaty, miłość przeradzała się w nienawiść, ołtarze czci leżały w gruzach.

Ludzie niektórzy ukorzyli się wtedy przed Czarnym, uznali go za prawego boga i czyniąc mu ofiary sprosne zaczęli przelewać krew bliźnich. Bratobójstwa po raz pierwszy skalają Ziemię czystą.

Drzewa, które przedtem chadzały po świecie i opowiadały dzieje sprzed tysiąca lat, teraz przerażone oniemiały. Zbierały się w gromady drżące ze zgrozy i, przykute do miejsca strachem nadzwyczajnym, głęboko wrosły w Ziemię.

Tak powstały bory ciemne, puszcze, gdzie i najmężniejszy doznaje w sercu trwogi tajemniczej.

Jeden z biesów przybrał postać ptaka potwornego i swoim wyciem straszy nas w porze nocnej.

Bóg Jasny postanowił nareszcie wskrzesić swą władzę na Ziemi. Siłą boską ukuł w niebie piorun, jakiego świat ani przedtem, ani potem nie widział, i trzasnął nim w skałę niebotyczną doliny Prądnika.

Z grzebienia głazu olbrzymiego, co głową sterczał ponad wszystkie góry, co przesięgał szczyty Tatrów najwyższe, pozostał tylko słup wysmukły – skała zwana dziś Sokolichą.

Moc niezliczona okruchów i wiórów z rozbitego głazu zaważyła łożysko i dolinę strumienia. A Bóg przemówił w te słowa:

– Kamienie, wyszłe z łona serdecznego Ziemi, daję wam Życie! – powiedział i tchnął w rzeszę kamienną dech boski, dobry, promienisty, ciepły. W mgnieniu oka z okruchów głazu wyrosły duchy światłe, piękne, utworzone na obraz i podobieństwo swego Stwórcy.

Jeden tylko kamyczek maleńki, ziarnko piasku zaledwie widzialne dla oka, nie mógł przybrać żadnej postaci dla swej małości. Ożywiony tchem boskim wznosił się w górę, fruwał i spadał.

– O, i ty będziesz rycerzem swej matki Ziemi! – powiedział Bóg z uśmiechem dobroci i łaski na ustach. – Bądźże Mysikrólikiem, najmniejszym z ptaków, i śpiewaj zawsze swoją pieśń cichą, nawet wtedy, kiedy inni płaczą!

Zwrócił się potem do duchów wyrosłych z kamieni i rzecze:

– Czynię was wojami i ratarami w wojnie z wrogiem śmiertelnym, a za wodza daję wam syna swego Peruna!

I podzielił ową drużynę na żupy, z których jedne miały powinność czuwać nad Ziemią, inne – zasłaniać Niebo przed pokuszeniami biesów.

Każdy z wojów „ustanowił się na swym staniu pod chorągwią wzniesioną”. Mysikrólik odśpiewał pieśń pierwszą i frunął do puszczy.

Ziemia ma odtąd swoje znakowe rycerstwo sprawne, czujne i dzielne. Bory i puszcze uświęciły się niebawem; strumienie, jeziora, krynice zasłynęły czcią boską.

Duchy dobre zamieszkały w wodach, górach, drzewach: objęły w posiadanie gaje, doliny i skały.

Biesowie nie mogą już tak łatwo brać Życia ziemskiego w plon i wiązać w łyka.

Jednakże na świecie bardzo daleko jest jeszcze do miru.

Wojna zacięta trwa nieustannie, a wściekłość Czarnego wzmagą się najbardziej wtedy, kiedy Słońce święci doroczny tryumf swego panowania, Ziemia – wdzięków i płodności.

Święto wielkie sobótek i wianków przeminęło. Bohbór pełen chwały stoi na swych górach, niby warownia Ziemi, lśni się w blasku Słońca.

Roje pszczół z królową na czele lecą ku niemu: ciasno im widać na świępotach Bugaju.

Skwar słoneczny niezmierny wypraża z sosen wiekowych zapachy żywiczne. Lipy cieniste napełniają puszcę cudną, miodową wonią kwiatu. Przyparek dopieka. Turkawki gruchają w cieniu dębu rozłożystego, a dzięcioł opukuje jego korę. Mucha się roi, brzęczy niespokojnie. Żabka zielona raz do razu w krzewinie leszczyny rzekoce. Mysikrólik przechyla główkę, czyha i jednym oczkiem spogląda ku Niebu.

– Czuję burzę w powietrzu.

Wąż i jaszczurka lubując się upałem leżą i drzemią na wygrzanej słońcem skale. Ślimak wylazł na liść paproci, wystawił rogi oczaste.

W Prądniku pstrąg podskakuje do góry. Łątki omdlałe bujają wśród trzciny nadwodnych.

Powietrze duszne tak wygląda, jakby je pył zaproszył. Co to będzie?

Jasny wydał rozkaz, a Perun przygotował Niebiosa do bitwy.

Któż nie zna płomiennego syna Słońca?

Bożyc-olbrzym, sterany w ciągłych zapasach bojowych, przedstawia się jak dziad sędziwy przy ojcu wiecznie młodym. Wichry rozczochrały mu brodę siwą, sięgającą do pasa, bezładnie pokudłały i rozwiały kędziory jego włosów bujnych, okrywających szerokie plecy.

Przygoda – bynajmniej nie miłosna – uczyniła go chromym na jedną nogę. W pojedynku o Słońce Czarny wyszarpał mu pazurem wściekłym kawałek stopy.

Za to boskość straszliwie groźna wyziera z oczu bożyca, zapalonych żądzą wojny.

Nikt z ziemian nie zdoła wytrzymać tego spojrzenia, kiedy Perun zmarszczy brwi ogromne, krzaczaste niby dwie kądziele wilcze na czole ogorzałym, uznajonym w trudach bojowych. Koszula ognista płonie na nim, migoce iskrami w ómach chmur gęstych, które się kłębią na Niebie, przewalają, kipią, wrą i ryczą, i warczą. To jego działa wojenne.

Och, jakież ruch niezmierny widać na Niebiosach, co za zgiełki przeraźliwe słyszeć!...

Biada wrogowi, biada wszystkim mimowolnym świadkom bojów Perunowych!

Zapewne niejeden niewinny zginie, a choć go bogi obdarzą żywotem pośmiertnym lepszym, Ziemia jednak utraci ogniwo w łańcuchu Życia.

Pan gniewnie dmuchnął z Nieba.

Jodły brodate, świerki i sosny mruknęły uroczyście, przeciągle, a ich konary skrzypią i trzeszczą w stawach.

Gałęzie wiotkie brzoź odplynęły na bok jak fala, obnażyły ciało drzew piękne, białe, zdobne przepaskami czarnymi.

Szepty tajemnicze brzeziny pomknęły w bór, podobne do szeptu modlitwy ludu zebranego w świątyni.

A może to gwar rusałek, boginek lasu?

Liście osiki już przedtem lękliwie drżały, teraz trzęsą się, miotają niespokojnie – niby motyle nitkami przywiązane za nogi. Czy to nie dusze jakie, czarodziejsko więzione w drzewach?

Dęby, buki i klony zaszumiały tak, jak gdyby wody napływały skądś z daleka, ażeby zalać Ziemię. Każde drzewo mówiło szumem co innego.

Korona całego boru – jeden dach czy tarcza olbrzymia – drgała, gięła się i mieniła odcieniami zieleni.

Wicher zadał silniej, zatargał brody jodeł, rozrzucił namiętnie strojne warokcze brzoź, szumnie zadzwonił w blaszki listne topoli i osiki, zaczął się mocować z dębem, bukiem, lipą.

Zawył przeraźliwie, wyskoczył płasem szalonym na dolinę strumienia, zmarszczył tu wodę wełną, wzburzył, porwał na brzegu garść trawy, skubnął nieco liści, zagarnął kilka motyli i poleciał w jaskinie i jary.

Tam huczał, gwizdał, przyzywał świstem na pomoc gromy, warczące groźnie w obłokach. Zdał się być strażą przednią wojennych hufców Peruna.

Naraz świat szerniał, puszcza stała pod grozą burzy wiszącej u sklepienia Nieba. Drzewa poważnie wzniosły teraz głowy do góry, milczą, a jednak zdają się mówić:

– My nie ustąpimy!

Poleciały błyskawice, zorały w bruzdy świetlne strop niebios czarny.

Ogień piorunów z trzaskiem niezmiernym sypał się w łono puszczy, jaskrawo oświetlał szczyty drzew, rozwalał skały w gruzy.

Woda waliła z upustów niebieskich, strumieniami lała się na bary gór, skał, wsiąkała w przepaści Bohboru.

Las nad Prądnikiem wyglądał jak wielka drużyna bohaterów-wojów, idących mężnie do boju z swymi wojewodami, turami jarymi na czele. Kotły i surmy przygrywały im huczne.

Biesowie już z pierwotka ciężko się polękli i popłoch ogromny szedł przez ich tabory. Umykali się na powietrzu i na wszech niskościach.

Wódzca proporca czarnego w puszczy nadprądnickiej, bożec leśny, nie mógł wydzierżyć natarcia, opuścił obóz mnogich lichów i dziwów i w skoku rączym najpierwszy kwapił się do ucieczki. Ogień gęsty błyskawic sypał się za nim w pogoń, bicze cięte dżdżów smagały go setnie, kule gradowe raziły.

Chudziec, co się boi wody bardziej niż ognia, widział teraz, że z panem nierównym ma sprawę. Zwinął się jak wąż w kłębek, wyskoczył do dziupli dębu wypróchniałego, przycupnął tam i siedział cicho.

Nagle piorun potężny wypadł z Nieba, obsypał drzewo iskrami zapalnymi, ogarnął zewsząd pożarem. Straszna sobótka!

Żupan biesów, przypiekany ogniem żywym, nie mógł dosiedzieć; wyskoczył co żywo i wyjąć wściekle gnał przez knieje w susach szalonych. Jego okrzyki dzikie powiększyły zgiełk burzy już i tak wielki.

Dziwica, przekrasna pani nocy księżycowych, o szyi smukłej, o piersi wypukłej, obiega puszcze w strachu nadzwyczajnym; ona, co zawsze sieje trwogę w Bohborze – wydaje dziś okrzyki przerażenia.

Psy jej wierne, biesy wcielone w zwierzęta, widząc nędzę ostatnią, wzięły ogony pod siebie, wyją okropnie, skomlą żałośnie, a echa tysięczne roznoszą ich głosy wśród skał i jarów najdalszych.

Wilkołaki, topielce, dziwożony, jędze, zmory, strzygi, cała rzesza biesów – ilu ich jest w borze pod jaką bądź postacią – zdjeta lękiem niewysłowionym, zmyka, tłoczy się do jaskiń, pieczar podziemnych wielce słynnych w krainie Prądnika.

Niedźwiedzie, rysie, wilki, gady zjadliwe tu także poszukują przytułku, jako w swych gniazdach rodzinnych.

Kto pierwszy przybył, ma się za gospodarza i wzbrania innym prawa pobytu. Stąd walki zażarte, przelew krwi o każdy zakątek.

Ryki stłumione, pomruki groźby, wycia wściekle napęlniają podziemia. A bóstwa czarne, same zgębione strachem, nie mają siły, aby poskromić tłuszcę zwierząt rozjuszonych.

Ognisty syn Jasnego, stojąc na niebie wysokim, widział, dokąd biesy się chronią, i natychmiast postanowił dotrzeć do ich kryjówki. Uśmiech ożywił mu poważne oblicze bohaterskie i rzekł:

– Zaprawdę, nie dosięgnę was ogniem w tych norach; ale przemogę wodą potopu!

W mgnieniu oka prawicą krzepką zburzył wszelkie groble, jazy, tamujące odpływ wód napierających z Niebios.

Lunał na Ziemię potop, jakiego świat nie oglądał od prawieków. Huk nadzwyczajny rozległ się w przestworach górnych. Powódź ulewy buchająca potokami szerokimi, grady ciężkie świstały, węże błyskawic długich latały ciągle od Nieba do Ziemi.

Dopiero wichry, chłopy okrutne, podsadziły się barami i podniosły cale to brzemie w pędzie szalonym od zachodu ku wschodowi, aby je zwalić na Ziemię, gdzie tam wypadnie.

Niebo, szlaki powietrzne, padoły ziemskie – wszystko zniknęło, stało w wodzie.

W naszym Bohborze potoki wartkie rwały z gór i siłą pędu ryły sobie koryta; podrywały korzenie drzew, podmywały stopy opok, niosąc w dani Prądnikowi kłody, mchy, krzewy, kamienie, gniazda ptaków.

Któż nie wie tego, że niewinni zwykle płacą koszta wojny, a wygrana stanowi nieraz klęskę zwycięzcy i jest nauką doskonałą dla pokonanego?

Bóg piorunów, rażąc zastępy biesów, niszczył jednocześnie dzieła Słońca i Ziemi: czynił to w zapale wojennym, w upojeniu zwycięzcy-bohatera. Burze są jego żywiołem, a gody świętuje na polu bitew wśród trzasku piorunów.

Prądnik szybko wzbierał, wystąpił z łoża swego, zalał ługi, polany; jeszcze urósł i wdarł się w mnogie parowy boru, hulał po wertepach. Niebo ciągle mu słało posiłki nowe, popychało do wybryków szalonych.

Już morze wielkie wre w całej dolinie, szumi, bije gniewnie falą spienioną o skały stawiające mu tamę. Tylko szczyty gór sterczą nad jego powierzchnią.

Żubry, jelenie, borsuki, lisy, zające i inne zwierzęta, zbite w gromady, lękliwie spoglądają z tych ostrowów, wyniosłych po otchłaniach wodnych. Stada kaczek dzikich, nurów, łabędzi kołyszają się na wodach; czaple, rybitwy, kuliki krążą w powietrzu.

Co to będzie, jeśli morze wdrze się i na góry? Bo czyż można wiedzieć, kiedy i gdzie Perun się zatrzyma?

Ogień gniewu boskiego, strasznie świecący w błyskawicach, ciągle jeszcze przelata ponad światem.

Ptaki wywiodły z gniazd swoje pisklęta niedojrzałe, jęczą, utyskują, wskazują drobiazgowi sposoby ocalenia.

Mysikrólik jak kwoka tkliwa wodzi swego podrzutka, dokarmia, ostrzega, chroni przed topielą.

Nareszcie Perun, zemdlony pracą, poparzony ogniem, okopcony dymem, a już pewny zwycięstwa, jał dawać folgę prawicy dzielnej. Widocznie myślał o spoczynku.

A wody właśnie wtargnęły do jaskiń, wypierały stamtąd biesów przelepkłych, zatopiły mnóstwo zwierząt drapieżnych.

Sam Czarny wypadł z jakiejś kryjówki podziemnej, zgrzytał wściekle, groził Niebu ręką, złożoną w kułak. U stóp Góry Chełmowej rozpostarł swój płaszcz nocy jak żagiel korabia i dunął na nim przez powietrze.

Ciemności okropne zawisły w tej chwili nad puszczą i nad wodami. Błyskawice coraz rzadsze latały po świecie omackiem. Ostatnie zapasy wód wysączały się z niebios. Cisza grobowa zaległa ponad Ziemią.

Dziś jeszcze stoi u brzegu Prądnika skała wyniosła, stroma i naga, ze szczytem jakby o pięciu palcach wzniesionych do nieba. Imię jej Ręka. Na czubie palca średniego, najwyższego, Czarny bóg usiadł, a nogi w dół opuścił. Świsnęły i biesy zewsząd wichrem leciały do niego, wieńcem obsiadły wkoło tron

króla. On obrzucił sługi swoje wzrokiem pogardy głębokiej i rzekł głosem pełnym nienawiści:

– Dzięki wam porporzec czarny, zwykle zwycięski, dziś oto leży w błocie pohańbienia! Wy, mistrze niezrównani w sztuce straszenia po lasach dziewcząt, łań i ptaszków, jesteście na placu boju marnym stadem zajęcy!

Znieśli obelgę w milczeniu, albowiem czuli winę swoją.

Król Czarny wsparł łokcie na kolanach, pogrążył głowę w dłoniach i dumiał, co począć, ażeby wydrzeć Jasnemu zwycięstwo.

Miał nad czym rozmyślać! Jeszcze jedna, druga klęska, a światłość wieczna zapanuje na świecie i nie będzie miejsca na ciemności.

Powstał nagle, ogromnie urósł w górę, oczy pałały mu blaskiem radości piekielnej.

– Znalazłem! – wykrzyknął. – Jutro, kiedy Słońce wejdzie na Niebo i ujrzy moje dzieło, zblednieje na ten widok! Zmienię zupełnie postać świata, stworzę ciemności o wiele groźniejsze niż brak promieni słonecznych: ja rzucę mroki nieprzejrzane na duszę stworzenia żywego!

Są ludzie, istoty szczodrze obdarzone łaskami Słońca, i ich uczynię swymi sprzymierzeńcami w boju nierównym.

Ongi trwoga oddała była ten rodzaj w moc moję i wtedy miałem służebników wiernych, którzy przewyższyli biesów w dziele obalenia czci Jasnego.

Dzisiaj czasy się zmieniły: najmniejszy Mysikrólik nie da się strachem sprowadzić z drogi, wskazanej przez Słońce. Trzeba posiąść serce, owoładnąć duszą!

Uczynię człowieka mądrym, oderwę go od związku z całym Życiem stworzonym.

O, znam jak tego olbrzyma w marzeniu, karła w czynach! Przekonany, że jest rozumem świata, będzie brnął z błędu w błąd przez wieki.

Mignę mu widmem szczęścia niedoścignionego, kwiatem paproci, a polecą za nim w przepaście, wyrzeknie się czci Boga swego, umiłuje kłamstwo jako prawdę.

Na czoło samolubne, chełpliwe, włożę mu wieniec sławy i zbrodniarz, przelewający krew niewinną, będzie się zwał wielkim.

Wilk obok niego zajaśnieje jako wzór cnoty!

Perun obdarzył ludzi ogniem, wykradzionym z Nieba, ja dam im wszystkie rozkosze Życia.

Jarzmo pracy w mej służbie stanie się tak słodkie, że wieki długie upłyną, nim człowiek zapragnie – a już nie będzie mógł – wrócić do raju, z którego wyszedł!

Zerwał się, znowu świsnął i z czeladzią biesów poleciał do osad ludzkich na Bugaj.

Nazajutrz dzień leniwie zza chmur świtał. Opary gęste wisiały ponad borami cichymi.

Słońce nie miało chęci powstać z pościeli mokrej, ociągało się z wyjściem na Niebo. Zezem spojrzało ku Ziemi poprzez gęstą oponę mgły i natychmiast

umknęło za chmury. Może je przeraził widok spustoszenia straszego, które burza wczorajsza sprawiła.

Ziemia prawdziwie grobowo wyglądała. Zwłoki rozmaitych zwierząt czworonożnych już to poniewierały się po borze, już pływały na powierzchni wód opadających.

Nie brakło ptaków większych i mniejszych, na śmierć pobitych gradem, i takich, co jeszcze żyły z skrzydłami przetrąconymi, nogami połamanymi. Liczni rodzice po utracie dzieci oddawali się żałości.

– Żywo, opiekunko nasza, czyż zdołasz zagoić tyle ran, pocieszyć tyle serc strapionych?

Drzewa wiekowe, z korzeniami wyrwane przez powódź, więdły, umierały śmiercią głodową.

Gdzie indziej skała runęła z wysoka i do miazgi starła wszystko, co rosło pod jej stopami.

Tam znowu wichur nałamał moc konarów, gałęzi, a pogiął, poskręcał i uczynił kalekami drzewka młode.

Oto dąb, olbrzym osmalony, z korą przeoraną piorunem, stoi tak poważnie, jak gdyby pełen grozy rozpamiętywał zdarzenia dnia minione. A brat jego młodszy uległ w półzłamany i świeci białością śmiertelną rany swojej.

Krzewy, zioła, trawy – jeszcze niedawno pełne krwi zielonej – wyszarpane przez wodę, zniesione na kupy bezładne, posiniały szpetnie i obracają się w zgniliznę.

Ziemia, matka dobra, gospodyni roztropna, ciężko boleje i rozzalona zaczyna od dziś dnia skarżyć się na swą krzywdę:

– Czyż dlatego daję Życie dzieciom, aby tak marnie ginęły?

O Jasny, uczyniłeś mię Matką i nadałeś macierzyństwu prawa święte! Gdzież jest Twoja łaska, gdzie miłość dla Życia, które z Ciebie i ze mnie powstało?...

Bohór, kolebka naszych rodzonych dzieci, zniszczony Twoim ogniem, Twoją wodą, wygląda jak królestwo śmierci.

Przecież bez wiedzy i woli nieba gromy nie huczą, dżdże nie spadają, nieszczęście nie dzieje się nikomu...

Matkam ja nieszczęśliwa!

Biesy najpierwsze trapią bez wytchnienia mą dziatwę; no, ale one są wrogami Słońca i wszystkiego, co żyje pod Słońcem.

Gorzej, gdy człowiek, syn mój, usiłuje swą rodzicielkę okuć w pęta i zamienić na niewolnicę. On to karczuje, wypala, wycina żelazem wszelkie moje potomstwo, jak gdyby je stworzył, a – nade mną miał władzę pana.

Rozdziera sochą me łono, uprawia, krzewi, szczepi płody, które ulubił. Znosi granice puszczy, wód, stepów, wyznaczone przeze mnie dla rodziców Życia, a zakreśla swoje własne miedze.

Któż uzna, że bogini Wanda władnie rozkazuje wszechkrólestwom, skoro jestem we własnym domu niewolna?...

Serce i siły matki nie podołają dziełu wychowania dziatwy, jeśli ojciec nie przybywa z pomocą.

Niestety, ojciec ma do spełnienia zadania zbyt wielkie! Aby godnie zarządzać Wszechświatem, nie zawaha się porzucić mnie i skazać na zagładę potomstwa swego. On przede wszystkim musi być wielki i potężny. Spogląda w przyszłość wieków odległych i dla niej działa, jak gdyby dzień dzisiejszy nie istniał.

Boże Jasny, kiedym była oblubienicą Twoją – dziewczyną hożą, młodą – rzuciłaś mi wspaniałą obietnicę szczęścia, ślubowałaś miłość! Czemuż, niewierny, opuszczasz mię w niedoli?

Dla wyroków swoich niezbadanych nawiedziłaś dom mój burzą straszliwą, zamieniłaś w mogiłę ognisko Życia pięknego i sam odchodzisz, dopuszczasz, abym z sercem zakrwawionym opłakiwała wdowieństwo i zgony dzieci.

Ziemia tak się skarżyła odtąd w poranki i wieczory codziennie. I codziennie nowe zmarszczki zjawiały się na jej obliczu.

Najprzód pożółkła, potem szarość i czarność zaczęły na nią padać.

W miarę tego upadku wdzięków Słońce coraz pospieszniej przebiegało drogę po niebie, jak gdyby nie chciało słuchać skarg i żalów oblubienicy, która była uroczą Dziewcą-Ziemią, a stawiała się babą gderliwą i bez wdzięków.

Matko biedna, opuszczona przez boga-oblubieńca, zawiedziona w miłości dzieci, udręczona przez wrogów, któż cię pocieszy w tej niedoli wdowiej?

Róże opadły, lilie powiędły, liście brzozy i lipy pożółkły.

Z jaworu sypią się liście, a szmer opadania zdaje się głosić, że śmierć milczkiem już chadza po borze. Nie tylko one zlatują z drzewa żywota.

Jedynie grzyby plenią się jeszcze i rodzą.

Bocian odleciał, słowik, jaskółka, skowronek już się wybierają w drogę. Sznury żurawi i gęsi dzikich gonią dniem, gonią nocą: bez żalu widać odchodzą, jak świadczą okrzyki radosne.

Ojczyzna ich jest tam, gdzie dobrze.

Wszystko podąża za Ojcem-Słońcem, za szczęściem; każdy ucieka do światła, do ciepła. A gdzież wy znajdziecie ojczyznę lepszą?

Ziemia zostaje smutna, zwątpiała, z sercem bolesnym.

Kochano ją, kiedy była szczęśliwa i – miała skarby do rozdania. Dziś dziatwa jej żyje samolubnie, już się nie spodziewa niczego od swej rodzicielki.

– Ziemi święta, Matusiu rodzona, dobrze mieć syna szczerego w dniach niedoli! Mysikrólik, najmniejszy z ptaków twoich, wytrwa przy sercu sierocym Matki, zostanie z swą pieśnią cichą na roli. On z łona Ziemi wysłał nadzieję i w pieśń synowską ją wcieli.

Rozdział VII

I znowu święto, święto nie lada. Ludzie już związali na niwie snop zboża ostatni, gruby a ciężki – prawie na pokaz. Ozdobili głowę jego jagodami kaliny, ustroili w kwiaty dziewanny, macierzanki, mięty, ostróżki. Istna to osoba!

Snop tak wygląda, jak białogłowa leciwa, otyła, z małą wciętością w pasie – baba sążnista a przysadkowata.

Z szacunkiem posadzili tę postać na wozie, obłożyli ją sierpami, kosami, grabiami, oddawali jej pokłony czołobitne.

Woły ruszyły z miejsca, żeńcy donośnie jęli śpiewać chórem:

Rażno, rażno, boże woły spieszcie z Babą
do stodoły!

Plon wieziemy, plon – w gospodarski dom!

Kto tam szczęśliwie doczeka godów jarowych, będzie jadł kołacze i baby z tego zboża babiego. Na Świątki Zielone nie użyją też innej mąki. Do żniw przyszłych trza przekołać żywot o starym chlebie, no i podzielić się nim z bogami.

Umajony paprocią, widłakiem, jałowcem, jedliną, wóz żałośliwie skrzypi w piachach, turkota gderliwie po głazach i pomyka na Bugaj.

Rażno, rażno, boże woły!

Wzięli łupież z ziemi, uchodzą z nią do domu.

Woły, ubrane w wieńce zielone na szyjach, na rogach, kroczą z powagą uroczystą, jak gdyby wiedziały, że w dniu „dożynków” ciągną wóz z wizerunkiem Matki-Ziemi – biorą udział w obrzędzie świętym.

Młodzieńcy i dziewczki pobrali się w pary dziarskie, płasają żwawo po drodze i zawodzą pieśni, których echa grzmia gromko aż w puszczy Bohboru.

Grajkowie nadażają po obu stronach wozu; bo bez gędźby nie ma święta, nie ma obrzędu. Ten wali z całej siły w bęben, tamten w trąbę, aż mu oczy na wierzch wyłażą. Inny tkliwie piska na piszczałce-przebierawie, a jeszcze inny dobywa głosu z dudy czy też sadzi się, aby po swojemu wyciągnąć na ligawce.

Stado ptaszków wesołych powraca z żeru, buja ponad nimi, w płasie polotu zatacza łuki wdzięczne z góry na dół i z dołu do góry.

Ptacy nasłuchują, ochoczo wtórują gędźbie ludzkiej wrzawą ucieszną świegotu.

– Oj, jak tu wesoło!

Skowronek posłyszał pienia radosne, rozgłośnie.

– Czy może wiosenka już idzie przez niwy?

Wzleciał ponad rzyska złote, zawisł w górze i śpiewa z całego serca, jak to on umie:

– Ti-ri-li-ri-ri-li-li!

Szpaki porwały się na ługach, szparko gonią przez powietrze i w drodze gwarzą wesoło. Pasikoniki podskakują w ścierniach. Świerszcze namiętnie i na wyścigi cierkają. Zające i przepiórki nasłuchują w miedzach:

– Skąd się dziś bierze światu takie wesele?

Krąg słońca właśnie się już stacza, zapada na noc w owe kraje, gdzie Czarna Przemsza płynie, gdzie Siewierz stoi, gród słynny z iłów srebrodajnych.

Wśród pokrzyków uciechy, potrząsów wyskocznych przyśpiali z Babą do swej wieśnicy na Bugaju.

Tutaj obiatnik u trebiszcza wraz rzeże kozła na cześć Perunowi.

– Oto obiata dziękczynna Bogu! – I zawiesił na słupie głowę rogatą zwierzęcia.

Lud to wznosi oczy ku Niebu, to kornie przypada do Ziemi i bije czołem.

Okrzyk przewlekły wypadł z ust wszystkich:

– Ooo! Chwała Bogu! Chwała Bogu!

Modlą się z zapalem, a po skończonej modlitwie będą hulali, ucztowali. Nie dziw, bo latoś mieli żniwo bogate, kosowicę ogromną.

– Bóg groźny piorunów okazał ludziom łaskę wielką: klęską gradową nawiedził sąsiednią puszcę Bohboru, a oszczędził łany i chyże Bugaju. Przecz go nie uczcić?.. O, chwała Bogu!

Ludzie, Perun jedynie postrachem gromów trzyma was w pobożności!

Ludzie, kochacie Matkę-Ziemię o tyle, o ile mnogo grzywien płacą wam za kłodę zboża!

Trwoga pędzi do czci, zysk – do miłości. W razie potrzeby zaprzecie się Boga, sprzedacie Ojczyznę!

Smutno ci, Ziemi, w czasach niedoli wśród dziatwy samolubnej.

Czyż miłość ludzka zawdy jest samolubna?

Niekiedy samolubstwo czyni całopalenie z siebie, gore na żarowiszczu własnego serca i wtedy miłuje przezacnie.

Człowiek-Mysikrólik!

Skrzydlate dzieci Ziemi, zatrwożone przyszłością, uciekają z pośpiechem wielkim. Nie ma siły, co by je zdołała powstrzymać! Lecą co tchu do krain obcych i dalekich na miłość, na śpiewy, na wesele. Tylko opasłość powstrzymuje niektórych od ucieczki. Schudną, to i pójdą sobie przed zimą.

Chciwość doradziła innym pozostać, spożyć ostatki bogactw ze spiżarni Matki.

Nawet ty, skowronku niewdzięczniku, coś się przytulał do łona Ziemi, także uchodzisz!

Jedyny Mysikrólik, pociecha Matki, pozostaje przy niej nie w nadziei żeru. Ni go tu w ojczyźnie widoki zysków nie wabia, ni go pieśń cicha, serdeczna nie uczyni sławnym wśród wron i wróbli. Najbiedniejszy on z ptaków, a nie ucieka.

Zostać i przetrwać wszystko to porzecz Mysikrólika. On jest synem Ziemi rzetelnym, jej ludem, i jego pieśń – podaniem, pieśnią ludową.

Duszo pogańska dobra, która pracujesz na kukułki niewdzięczne, butne, śpiewaj dalej o chłodzie i głodzie, żyj bez sławy, bez nadziei zysku! Świat nie miałby wdzięku i wartości bez takich.

Nasz Bohbór samotny, nagi i jak obumarły stoi pod sklepieniem Nieba szarego, zamglonego.

Co się zrobiło z tej uroczej bożnicy Życia!... Dziś chmura za chmurą goni od zachodu i polewa świat dżdżami zimnymi. A nie, to z północy, ze wschodu wiatr suchy, mroźny ciągnie, dziko wyje po nocach, zgrzyta i świszczce, tnie kaszą lodową. W puszczy Bohboru wyprawia sobie pohulanki wyuzdane.

Księżyc posępny błąka się między chmurami czarnymi jak smoła, nie może wybrnąć z ich parowów niezmiernych. Zupełnie podobny do pątnika, który zgubił drogę w górach i nie wie, dokąd ma podążać. Dostał zawrotu głowy, oczy go mamią, rozum zawodzi. Czasem wylazi na chmurę jaśniejszą, strapiony pogląda przez chwilę po falach Prądnika, po skałach, zaziera w niepewności do jarów i przepaści puszczy.

– Nie, nie tędy moja droga!

I zaraz uchodzi, tonie kędyś w czarnych otchłaniach Niebios.

Bardzo mdłe bywają te spojrzenia miesięcowe, rzucane Ziemi spod kłobuka lisiego.

Smok u-hu-huu straszy po staremu, płoszy w kniejach zające i łanie, przeraża Mysikrólika.

Matka-Ziemia rzuca pytanie skrytobójcy:

– Gdzie są bracia twoi?

A on odpowiada z szyderstwem:

– Czyż ja jestem stróżem braci?

Głównie z wron pobiera w tej porze myto krwawe. Okropność, co za głos wydaje wrona, która się ze snu ocknęła w szponach puchacza!

Dnieje. Słońce zaszło wczoraj krwawo, a dziś wschodzi łuną szeroką, płomienistą – niby pożar straszliwy. Boczkciem idzie, otula głowę płaszczem z mgły szaraczkowej, zerka krzywo na Ziemię, jakby jej nie znało.

Tyżeś to, Jasny, pan i król świata, rodzic stworzenia żywego? Patrz, Ziemia goni przy tobie resztkami Życia!

Bo jakież dziś jest Życie bez światła, ciepła, bez zieleni i kwiatów, bez ptaków, motyli, pszczół i mrówek?.. Pięknej niegdyś oblubienicy bogacza Słońca teraz tylko Mysikrólik ubożuchny śpiewa.

Już żołądź, bukiew i orzechy opadły. Owoc róży leśnej i jagoda jarzębiny płoną rumieńcem prześlicznym i krzepko się trzymają.

Spomiędzy kolców tarniny kulki ciemnomodne jaśnieją czerstwością. Czarne paciorki jałowców zapachem wabią kwiczoła. Kolonie uschłych ostów zapraszają szczygła na ucztę.

Włosy brzozy nadobnej utraciły wraz z liśćmi ów połysk cudnie zielony i szerniały na słotach; wiszą jak ongi, kołyszą się wdzięcznie od powiewów wiatru, a wśród nich widnieje utkwiona plama czarna – stare gniazdo sroki czy wrony.

Liście niedobitki dzierżą się jeszcze tylko u dołu koron dębowych: wieńce uwiędłe żywota sławnego. Za to opadły do krzty z lip, klonów, jesionów i grabiny, gęsto zasłały swą padliną padół ziemski. Wicher porywa je w naręcza z padółka Ziemi, rozmiata je namiętnie, dla igraszki nosi po świecie, wrzuca w Prądnik.

Ej, hula na fali raczej suchy liść bohoborski, płynie do Wisły, do morza, poza nasze światy – okruch obleczenia naszej ojczyzny!

Spod prześcieradeł suszu opadłego łodygi ziół nieboszczyków sterczą powszedy – szkielety martwe, wybladłe.

Śmierć zdrajczyni przeszła po borze !...

Dopiero teraz, w porze jej toków, sędziwość żywota starców puszczy występuje w całej nagości: rany, blizny, mnogie kalectwa starodrzewu.

Narośla osobliwe, jakieś brodawice czy wrzody ogromne z niemocy chorobliwej, a może z długiej pracy życiowej, siedzą na niektórych. Inne, stoczone przez robactwo, umarły stojąc na stanowisku i zmartwiałe oczekują wichru, co je z nóg zwali.

Pełno jest kolebek życia nowego w mogiłach Bohboru, podobnie jak w żalnikach na Bugaju. Jeden Bóg, jedno Życie!

Olbrzymy wiekowe, odarte z liści, wypłukane na deszczach, przemawiają dziwnym głosem o tej porze: drżą, jęczą wewnątrz sił swoich na wpół skostniałych. Nie umieją już szumieć tak, jak za dobrych czasów. Sterane, pogarbione, powykrzywiane, obrosłe mchem siwym, grzybami, pełne próchna wewnątrz, ponuro patrzą w świat dziuplami czarnymi.

Och, straszne są te ich oczy, niejako wystraszone i przez łzy cierpień wyżarte!

Przemów, dębie stary, ojciec tysiąca pokoleń, przemów!

Nie, lepiej milcz, milcz!...

Na łąkach doliny prądnickiej, w tym rajach wiosennym motyli i kwiatów, mgły długie opieszale wloką się po ziemi rankiem i wieczorem, a ponad nimi rozsiadłe garby góry lesistych dymią nieustannie.

Jeśli dzień jest pogodny, to po stepach Lel ściga Polela i pogoń ich wyznacza ślady nici pajęczyny. Babie lato!

Aż dnia jednego, o północy, mróz siwy, mocarz srogi, chłop okrutnie jary, przychodzi do Ziemi ciężko znękanej.

Wziął niebogę w ramiona krzepkie, ścisnął i skrępował tak potężnie, że i drgnąć nie mogła. Skostniała zupełnie.

Niebo nad ranem rzuciło na świętą nieboszczkę szmatę bieluteńką, ubrało ją do trumny. I tak nam oblicze Matusi lubej zniknęło. Ona umarła! Nawet te liście uschłe, szczątki szaty godowej, poszły z nią do grobu.

Wrony rozpoczęły obrady wiecowe pełne zgiełku:

– Próżnując, żyłyśmy w dostatkach po uszy; teraz musimy na chleb pracować!

Jastrząb oddawał się dumaniom samotnym na gruszy polnej. Wolny nareszcie od trudów życia rodzinnego, pan możny, spoglądał przed siebie w dale śnieżne i myślał:

– Tam dalej jest także Ziemia, a z nią – jeszcze Ziemia i jeszcze... Cóż mnie Bohbór obchodzi? Jeżeli tu środki do życia nie będą mi wystarczały, przeniosę się do innych włości. My, jastrzębie, nie umieramy z głodu!

Dzięcioł inaczej myślał:

– Praca u podstaw i praca jedynie pozostaje dla naszego brata. Precz z marzeniami, niech żyje praca!

Wziął się od razu do roboty i stuk jego młota ciągle się już rozlegał po borze.

Niekiedy kruk złowieszczo kraknie, sójka wrzaśnie, gil tkliwo gwizdnie. Pod wieczór sowa nawołuje głosem smętnym.

Źle, przykro jest na mogile świeżej!

A kto wie, czy jastrząb, kruk, sowa są to ptaki istotne?

Wiara starożytna głosi, że dusza nieraz lata „jastrzębiem, wroną, krukiem, dzięciołem, sową – że skacze odyńcem, wilkiem, rysiem”.

Jasny już dawno przekroczył ów pomost w swej drodze, na której noc staje twarz w twarz naprzeciw dnia:

– Dziś jestem ci zupełnie równa, a jutro!...

Od tej chwili ciemności coraz gęstsze, trwoga i śmierć razem z hukiem wicheru jesiennego wpadają na świat przez bramę na oścież otwartą.

Czarny pokonał, zwyciężył bóstwo słoneczne i oto zuchwały wyzwala swe wszechzłości.

Dzisiaj nikt nie śmie zamarzyć o uśmiechu, o weselu. Jeden człowiek jest zdolny śpiewać i płasnąć na mogile.

Po śmierci Matki nieodżałowanej, gospodyni dobrej, żałoba gruba wstrzymała zajęcia i pracę w jej domu, Bohborze osieroconym. Któż by miał śmiałość weselem naruszać spokój wielkiej nieboszczki zmożonej snem twardym, przywalonej lodowym wiekiem trumny?...

Ach, pani nasza, bogaczka taka ogromna, karmicielka Życia taka szczodra, umarła w opuszczeniu!

Mysikrólik, pieśniarz maleńki i cichy, żałośnie obwieścił o jej zgonie:

– Płaczmy, dzieci – śpiewał – płaczmy łzami żywymi! Słyszycie, kochanie nasze zgasło, Matuś nam umarła!

Tylko jodły i sosny odpowiedziały szumem uroczystym:

– Ci-cho, ci-cho! Ona już nie żyje!

Cóż, kiedy nikt nie załkał, nikt rąk nie łamał, nie rwał włosów, szat nie rozdzierał, nie drapał twarzy, nie wydawał jęków żalu. Bo krzyk, co leciał po borze, nie był głosem bóleści:

– Zabraknie nam żeru, zobi!

Dzieci rzetelnych, rodzonych nie było u łoża śmierci.

Płaczki postronne, pokajnice żalosne, załkały gdzie gwoli zwyczajowi, a nie stawiały się na pogrzeb.

Niebo z litości – bo nie przez miłość – pogrzebało swą powinowatą, usypało żalnik biały królowej przewielkiej, bogini naszej Wandzie.

W państwie śmierci ponurym duchy teraz błądzą: dobre i złe krążą po wszędy.

Ojcowie, dziady, pradziady, zmarli przed laty i przed wiekami wieków, przybywają w odwiedziny na niskości ziemskie.

Spieszą do nas z rajów, dokąd ich Nija, wódzca dusz, zawiózł był onego czasu w swej łodzi sławnej przez morze powietrzne.

Inni – także nasi – piekielnicy biedni dążą z kraju strasznych gór, jaskiń, przepaści i żarów; tam sądziennice skazują na pobyt różnych winowajców.

Co tylko żyło kiedy bądź, porzuca mogiłę i idzie w świat z duchem nieśmiertelnym, wcielonym w prochy martwe.

Na grobie Ziemi zjawiają się postaci wszechzmarłych: dzieje przeszłości nabierają Życia, a żywi zaczynają kochać to, co nie istnieje.

Wielgoludy-bohaterowie, orły i sokoły białe narodu, lecą nad bohobrami, bóggajami, gdzie w czasach prastarych składali bogom obiaty błagalne i dziękczynne. Żywi znają ich z podań, z pieśni przedwiekowych na wpół zapomnianych.

Ci nieboszczykowie urosli przez wieki i wyglądają jak duchy światów wielkich – może słońce, gwiazd zgasłych, albo bliscy pobratymcy niebian. Im większa odległość czasu ich od nas oddziela, tym wyższy urok świętości błyszczą nad nimi.

Knężowie sławy niezrównanej, czy przybywacie na Ziemię, aby obchodzić wielkie święto dziadów-pradziadów?

O, mocarze, któż żywy będzie śmiać zasiąść z wami do uczty wspólnej?

Praszczurowie rodzaju ludzkiego, olbrzymy ogromne, opuszczają kościeliska, spieszą oglądać pole swoich czynów dzielnych. Ogień nieśmiertelności płonie w ich żrenicach, postaci mówią o pochodzeniu ich raczej boskim niż człowieczym.

Jest mus czcić takich, dopóki Życie trwa na ziemi. Ludzie żywi czują wobec nich małość swoją.

– My, karły, bijemy czołem, skoro nie zdołamy sprostać wam dziełami. Przez oddanie czci pragniemy okazać się godnymi prawnukami wielkich.

Atoli co wiek, to inne czasy, inni ludzie, inne czci rodzaje...

Wielkie dzieła prapradziada bywają nieraz przeklęte dla praprawnuków, a pochod dziejów znowu je zmienia w błogosławieństwo. Tak chcą wyroki bogów.

Dusze skrycie zamordowanych przebywały wcielone w wierzby nagrobne, w topole, brzozy i tam żałośliwie kwiliły po nocach, wołając o pomstę odwetu. Biegają teraz o północy wokoło chył Bugaju i zawodzą wśród jęków:

– Gdzież jest żelazo msty, które winno krew za krew wytoczyć?

Cóż, kiedy zakon pradawny wróżdy rodowej już zamilkł nad Prądnikiem.

Od strony zachodu słońca często tu bowiem wieść przylata, że zza gór, zza lasów, zza dziesiątej rzeki wróg wszystkich ludzi zbliża się ku nam coraz bardziej.

Niemce prą ku wschodowi! Jest to tłum pijący krew ludzką, zakuty w żelazo, o mieczach obosiecznych, o szczytach, które połyskują jak słońce.

Więc gromada na wypadek najścia potrzebuje do obrony dużo męża i każda kropla krwi swojskiej jest bardzo droga.

Błądnice znowu, dusze ciał nie pogrzebanych, w rozpaczy gonią po lasach, po kniejach zapadłych i nieszczęściem swoim płoszą dzikie zwierzęta. Są to ci nasi, którzy różnymi czasy poszli byli w świat szeroki i przepadli dla Ziemi swojej. Poginęli w wojnach srogich za swobodę cudzą, za bogi obce, albo – pomagając mocnym do ujarznienia słabych. Nieszczęście!

Wielu zmarniało w niewoli, w służbie u cudzoziemca, strwonili żywot w zapasach z niedolą... Sprzedali ciało i ducha!

Dopiero dziś – zaprzańcy umarli – spieszą do Ziemi ojczystej na święto „dziadów”, żądni woni swojszczyzny, obcowania z ziomkami żywymi lub nieboszczykami. Któż was uzna, wy – bez rodziny?

Tęsknota niewysłowiona dręczy te błądnice i ciągle a nadaremnie wypiera ich popioły z obczyzny do ojczyzny lubej.

Mamy jesienne święto „dziadów”, święto i smutne, i wesołe ku czci przodków, uroczystość grobów, a raczej – powołania zmarłych do Życia w gromadzie.

O tej porze gwiazdy mnogie tak spadają w nocy, jak niedawno liście z drzew spadały.

Każda gwiazda spadająca, co gaśnie tam w górze, oznacza pono czyjś zgon tu, na Ziemi.

Bo przecież Życie ziemskie jest ogniem, którego blask Niebiosa odbijają.

Gwiazda, płonąc, leci i znika... A ludzie widzą to i mówią z wiarą:

– Ktoś umarł!

Tak zaś miłujemy to Życie dobre, że przeczyamy śmierci i stwarzamy właśnie z niej nieśmiertelność.

– Nie, nie, my wcale nie umieramy!

O dziesięć stajañ od siedzib ludzkich na Bugaju jest wzgórze z płaszczyzną na grzbiecie rozległą, mniej więcej – trzy jutra albo popłuża.

Kopce liczne – żalniki – wznoszą się na tej niwie samotnej, a tu i owdzie drzewo wyrasta: wierzba, topola, brzoza.

Ludzie nazwali to miejsce Pagórką Zmarłych, gdyż, odkąd osiedli w kraju nad Prądnikiem, zawsze tam grzebią popioły nieboszczyków.

Głazy ogromne leżą na mogiłach wielkiego grobowiska, a duchy, przybyłe z dalekiej podróży zaziemskiej, podług tych znaków odnajdują zwłoki ciał swoich.

Siadają nasi nieboszczykowie na kamieniach lub na wierzchołkach wierzb płaczących, aby wypocząć, wspomnieć dzieje żywota przebrzmiałego na tych padolach ojczystych, a może – i zapłakać serdecznie.

Och, bo bardzo smutny jest pobyt wśród grobów, nasiąkniętych łzami dzieci ukochanych, krewnych i przyjaciół! Serce o mało nie pęknie z żalości. Kamienie grobowe niecą tu jakiś strach niezmierny: są takie zimne, a pod nimi prochy martwe. Skarga bolesna zdaje się wisieć w powietrzu i łkać smutkiem. Drzewa szumią tak rzewnie, jak gdyby płakały albo – odszeptywały modlitwę za umarłych.

Spokój uroczysty lekkuchno pomyka od mogiły do mogiły i z palcem na ustach zaleca uszanowanie grobów przez milczenie.

– Ci-cho!

Żadna powaga ziemiska nie sprostą grobowej.

Nie dziw, mogiła zimna jest ogniskiem rodzinnym, rozleglejszym niż domowe. Ona przecież skupia wkoło siebie żywych: dzieci, wnuki, prawnuki najdalsze, i – umarłych: ojców, dziadów, pradziadów najdawniejszych.

Brama grobu jest czarna i ponura, ale tylko przez nią wchodzimy w ludny i rozległy świat wieczności. I ile mogił jest na ziemi, tyle rodzin ogromnych, związków pokrewieństwa żywych z umarłymi.

Pamięć potomnych częstokroć gubi podania piękne o przodkach prapradawnych, ale w święto uroczyste „dziadów” i ci zapomniani zjawiają się u ogniska rodzinnego na Pagórku Zmarłych.

Oni przed wiekami przekazali nam iskrę własnego Życia, lgną do swych latorośli żywcem i nie mają żalu o to, żeśmy ich zapomnieli. Czyż wielcy i umarli dbają o wdzięczność?

Ludzie zebrali się gromadnie u żalników na Pagórku Zmarłych, aby uczcić dziadów. Przynieśli misy ze strawą, dzbany z napojami, rozniecili ognie sute z drew darnowych – postrach biesów.

Stoją oto kornie dokoła mogiły, wznoszą w górę dłonie i oczy, wołają głosem prośby idącej od serca:

– Duchy święte dziadów, przybądźcie zasiąść z nami do uczyty wspólnej, jako taki jest obyczaj odwiecznie starożytny w rodzinie naszej!

Wielcy i drodzy sercu, błagamy was, przybądźcie dziś niezawodnie do naszej obcy! Bo cóż my, sieroty smutne, znaczymy bez was na padole płaczu? Jesteśmy tu jako gałązki drobne i liście drzewa sławnego, którego korzeń, pień i konary potężne tkwią już w innym, dalekim stąd świecie.

Żyjemy tylko spuścizną bogatych soków życia, przelanych w nas przed wiekami.

Hej wy, nasi z krwi i kości, sam bywajcie!

Duchy, potrzeba nam tu waszych serc dzielnych, abyśmy wam sprostali dziełami.

Któż by się nie wzruszył takim zaklęciem? Krew do krwi nigdy nie woła na próżno.

Żywi wnet odczuli w swoich duszach smutnych obecność duchów rodzo-
nych i już rozjaśnili oblicza posępne.

Szczęśliwi pewnością, że nieboszczykowie umiłowani goszczą dziś w ich
gronie, bez zwłoki czasu siadają do uczty „dziadów”. Wraz przypijają za pan
brat do przodków nieśmiertelnych to czarą miodu, to dzbanem piwa.

– Kochajmy się i zawdy tak obcuśmy w swojej obcy swojacy!

Odnowili na wieki przymierze stare, odwieczne.

Dopiero najstarszy, głowa rodu, wzniosł czasę pełną w górę i wypominał
głosem drżącym imiona i czyny ojców, praojców sławnych, „turów jarowych”.

– Myśmy ojczyce i dziedzice wasi; a wasze dzieła – to ojcowizna, dzie-
dzictwo i natchnienie nasze! Witajcie, duchy, strażę chylż na Bugaju!

Sięgnął pamięcią w wielmi odległe lata wielgoludów bohaterów, co dławili
smoki straszne.

Wieść o nich wierną przekazali nam ci, których dwudziesty pradziad już nie
mógł pamiętać, a wieść żyła...

Ogień czci przeszłości jest jasny i ciepły, wiecznie bowiem płonie na ołta-
rzach rodzinnych i gasić go nigdy nikomu nie wolno.

Dzieje wieków dawnych, podania o nich piękne płyną niby woda Prądnika
bez przerwy z pokolenia w pokolenie i żyją ukochane w sercu każdego, a ojco-
wie oddają je synom w posagu.

Jeśli się gdzie kiedyś nic długa wspomnień o przedwiecznych sprawach
przerwała, to pieśń jeszcze o wiele piękniej dosnuwa jej wątek i wskrzesza
zmarłych do Życia.

Nie ma dziejów nad dzieje, jak w pieśni! Więc śmierć, acz opłakana łzami
boleści – a może dlatego właśnie – jest zawsze wiecznie zielonym wieńcem
żywota. Czyżbyśmy znali bez niej wieczność i nieśmiertelność?

Groby ożyły. Duchy przodków unoszą się nad Ziemią, spoglądają radośnie
na swych potomków i niewidzialnie zasiadają z nimi o uczty wspólnej. Jakże
nam dobrze, wszyscyśmy swoi i nie ma miejsca dla obcego!

Niejeden mąż dojrzały był pacholęciami, kiedy go pan ojciec odumarł, i on
dziś jeszcze żywi podziw nieśmiały, dziecięcą cześć dla rodzica.

Uroczystość grobów, łzawo smutna na wstępie, staje się weselsza z każdą
chwilą.

Już dźwięki gędźby zabrzmiały, rozpoczęto poważne płasy obrzędowe. Mę-
żowie starzy suną parami, podług wieku.

– Hej, tak idziemy ku wam, dziadowie!

To uczta wielka grobowa, uczta kozła, z którego już uczyniono bogom
obiata – chautury!

Same duchy zdają się pożądać większej ochoty godowej i, acz niesłyszal-
nie, wzywają pobudzająco swoich potomków:

– Wezwani przez was w wielki dzień radownicy, nie przybyliśmy przecież
tutaj po to jedynie, aby jęczeć żałośliwie i wylewać łzy gorzkie! Gdzież się po-
działy owe pieśni wesole, płasy poskoczne, owe tury, turonie i igrzyska uciesz-

ne, które obyczaj stary tak troskliwie święcił na mogiłach za czasów naszego tu żywota?

Liczni biesiadnicy, a głównie młodzież, dobitnie odczuwali w sercach taką zachętę i rwali się gorąco, aby pochutnywać.

– Oto dziadowie – mówili – są żądni radownicy, przecz się nie weselić gwoli zwyczajowi!

Starcy nie zwolili, gdyż uciechy ludzkie nie mogą poprzedzać spraw, związanych z czią bogów: wszelkie obrzędy mają porządek przypisany od wieków.

Oczekiwano właśnie na wróżbę, którą jeden wieszcz natchniony sporządził, dochodząc z wnętrzości kozła obiatnego, co za losy na lato przyszłe bogowie wyrokują bartnikom z Bugaja.

Przyszłość zawdy niepokoi nas żywych.

W gaju świętym, w Bóggaju, wznosi się strop wysoki bez ścian, wsparty na sześciu słupach dębowych. Jest to bożnica Dziewy-Wandy.

Wizerunek bóstwa, pięknie wyrzeźbiony z drzewa, o włosach jak len jasnych, zdobny na szyi biczami cudnych bursztynów, cały w wieńcach widłaków, stoi na podstawie granitowej.

Budzi on podziw przez to, że ilukolwiek ludzi jest w bożnicy, oczy bogini patrzą jednocześnie na każdego z wyrazem dobroci i łaski.

Dęby święte, buki, cisy, sosny i lipy wspaniałe ocieniają posąg Wandy bugajskiej. A na sękach, na konarach tych drzew ludzie ustawili posążki swoich szczurów, praszczurów, strażników rodzin i gospodarstw.

I tam to wieszczbiarz usiłował modlitwą żarliwą skusić bóstwo, aby mu w znakach widzialnych objawiło wyroki przyszłości.

Bogini bugajska tak zaś słynęła z wyroczni, że ludzie od Wiślicy, od Siewierza ściągali tu tłumnie z darami po wróżbę dla swoich przedsięwzięć.

Więc wieszczek nie na próżno duszą wzniesioną obcował z wielką władczynią „ziemi, powietrza i wody”. Modlitwa natchnęła go, wznieciła ogień twórczości wieszce.

Przecież dzień ów ogarniał dzieje przeszłe, zawierał wskazówki przyszłości, która szumiała w powietrzu, widniała na niebie i była księgą czytelną dla duszy natchnionej.

Nareszcie wieszczbiarz pomyślnie ukończył dzieło, po czym pełen otuchy szedł, w obec obwieścić wróżbę objawioną.

On, ksiądz, ubrany w długą szatę białą, z włosami zaplecionymi w kosę, stanął między żalnikami dziadów i gromko mówił w te słowa:

– Mężowie bugajscy, niewiasty i dzieci, słuchajcie obietnicy Dziewy-Wandy i oddajcie się wesołości!

Lud bieży, otacza go zewsząd, a on poczyna:

– Odkąd głos tajemny wezwał mię, abym badał przyszłość i zwiastował ją dzieciom Ziemi, nigdy jeszcze wieszczba piękniejsza nad tę, jaką przynoszę, nie wyszła z ust moich.

Mnogie oznaki zapowiadały dziś od rana łaskę bogów niezwykłą.

– Łaska i przejrzenie bogów nad nami! – wołał w uniesieniu lud dumny z przeszłości swojej, a teraz i w przyszłość dufny.

– Hej, podajcie tu dzbany z miodem! – wykrzykuje starszyzna.

– Dlatego żyjemy dzisiaj, abyśmy szczęśliwie kojarzyli piękne wczoraj naszych dziejów z jutrem cudnie zapowiedzianym!

– Bracia, zanim was chuć wesela owładnie, posłuchajcie jeszcze ostatniego słowa wróżby!

Oto orzeł, strudzony lotem górnym, zasiadł beczynnym na dębie starożytnym, sokoły pierchnęły, schroniły się między skały. Gody dziejowe orłów i sokołów przeminą...

Ptaszek maleńki – zwiemy go Mysikrólikiem – wyskoczył skądś nagle, usiadł na podołku bogini Wandy wśród wieńców zielonych, zwrócony do Słońca, zaśpiewał pieśń prześliczną, choć cichą.

Mali i cisi według wyroków boskich są po wsze czasy nasieniem wielkości, stwarzają przyszłość.

Tak wieszcz przemawiał, ale nikt go już nie słuchał.

Uczta zawrzała szalem wesołości.

Nie jeden godownik, rozrzewniony wspomnieniami o dziadach przestawnych, upojony obietnicą chwały przyszłej, przebrał miarę w ochocie.

Biesy złośliwe wodziły potem pijanego w nocy po borze i czyniły sobie igraszkę, przemawiając z drwinami do jego sumienia:

– Potomek bohaterów dawnych, a przodek – przyszłych, w bagnie przeciera oczy o wschodzie słońca.

Czyż przez to sława nie jest sławą? Jest, ale przeminie: bogi i ludzie tworzą coraz inne sławy.

I tak pono będzie na świecie dopóty, dopóki „kamień nie zacznie pływać, chmiel – grząznąc w wodzie”.

Rozdział VIII

Ziemia zmarła leży pod śniegiem. Jakże ubożuchno, jak źle jest na świecie. Bogi światłości zniknęły. Ostatnie gody dziadów, pradziadów przebrzmiały. Dzień posępny, zimny, schodzi szybko; nocy burzliwe, zawiejne strasznie się dłużą. Czarny i jego biesowie wzięli rządy w ręce, trzęsą sprawami świata.

Mróz się wzmaga. Bory siwe od szronu biadają w milczeniu nad niedolą Ziemi. Czasem Słońce miłosierne pozłaca je w południe, wywabia Mysikrólika z ukrycia i pobudza do śpiewu.

Ta pieśń strzyżyka, ostatnia latoś, jest chyba bardzo smutna?

Gdzież tam!

Ptak poganin opiewa o największym tryumfie Jasnego w dziele stworzenia Życia.

– Czyk, czyk, czyk! – zawołał. – Słuchajcie, kto ma uszy ku słuchaniu!

Wcale nic nie zginęło!

Bo poza światem widzialnym Życie ma jeszcze świat inny, do którego ani śmierć, ani niedola, ani żadne złe nigdy nie dosięgną. W onym świecie czystym cześć bogów się poczęła, miłość przodków i pamięć o ich czynach najdawniejszych.

Stamtąd pieśń wielka wywodzi ród swój i – gody, i obrzędy różne, i nieśmiertelność tam wiekuje.

Po chyzach Bugaju baby schodzą się „na prządki”, gwarzą o dziejach starych, o cudach boskich, o swych zatargach ciągłych z biesami.

A w Bohborze Mysikrólik śpiewa pieśń ostatnią latoś. Kto słucha pieśni, ten ją rozumieć powinien.

Nic nowego, podanie stare wieków, kartka z dziejów Życia.

Bóg Jasny i Dziewa-Ziemia, para boska miłosna, wydali na świat bożyca Życie, dziecię niewinne, czyste, dobre. Natchnęli je miłością, prawdą, otoczyli wdziękami szczęścia, ażeby było piękne, nieśmiertelne. Dali mu za niańkę i opiekunkę boginię Żywę, najlepszą z sióstr bogów, o obliczu słonecznym, o spojrzeniu tak czystym, jak pogoda Niebios w poranek letni.

– Żywo luba i krasna, piastuj miłościwie, kochaj, wychowuj nasze dziecko jedyne!

Alić bóg Czarny, wróg odwieczny Słońca, przeciwnik dzieł jego zacięty i wiecznie niechętny, zaćmił jasność ciemnościami, rozmnożył głody blade, zimna drżące i niedolę wszelką, chciwą podgryzać wątek Życia młodziutkiego.

Mało mu było tej uciechy katowskiej, więc stworzył śmierć zapalczywie żądną zniszczenia i jej pomocnice – choroby mnogie i zjadliwe.

Nareszcie rozpuścił po świecie zbrodnie wyuzdane, występki sromotne, które srogo pokalały czystość Życia.

Mocarz nocy szeroko i wielmożnie położył w te wieki swe państwo na świecie.

Bardzo źle było dzieciom Słońca i Ziemi, wydanym na łup złości biesowskiej, cierpień ogromnych, hańby i zatracenia.

Złe pomieszało się w Życiu z dobrem, wzięło górę i zamieniło krynice przezczystą w kałużę szpetną.

Liczne stworzenia popadały zupełnie w moc Czarnego, utraciły rozum, chcenie dobre, stały się przewrotne, służyły niewolniczo władnemu knęziowi ciemności, co panował strachem i grozą.

Inne żywe, ścigane, dręczone przez biesy w przerażeniu największym kryły się z zakonem czci i służby dla Stwórcy.

Okrzyki dzikie walki zażartej huczały po świecie, praca spokojna zamieniła się w wojnę otwartą.

Rodzaj ludzki tak spodłał w tej niewoli, że wywyższył ponad wszystkie cnoty grabież i zabójstwo.

Nazwano bohaterstwem człowieka to, co mianowano u zwierząt okrucieństwem dzikim.

Męczennik dwunożny, nagi, bezbronny, wychowywał się w twardej szkole.

Gnany przez potwory okrutne, dyszące wściekłością, uchodził trwożliwie z kniei do kniei.

Szarpany kłami i pazurami wrogów krwiożerczych, wył przeraźliwie z bólu, znaczył za sobą ślady krwią własną.

Nie miał chwili wytchnienia ani w dzień, ani w nocy.

Dopiero Żywa, ciężko strudowana daremnym wysiłkiem opieki nad Życiem, załamała ręce i wzniosła głos błagalny do Słońca:

– Wielmożnyś jest, ojczy, i czyniący cuda! – zawołała bezradna i zwątpiała.

– Spójrz na swe dziecię oszpecone, zagrożone utratą godności, wyniesionej z pochodzenia boskiego! Toż ono karmi się popiołem, łyż miesza do napoju, więzy niewoli je gniotą i podają w hańbę. Nie puszczaj, panie, dziecka rodzonego na skazę, na zmarnienie! Ocal lub obróć wniwecz byt dziś tak sromotny! Tarcza mej opieki nad słabymi jest wątła tam, gdzie chyba strzały Peruna mogą ukrócić bezprawie przemocy.

Na to Jasny spojrzął z Niebios wysokich i oko jego dobre widziało od razu ogrom nieszczęść, co powszędy zwały się społem na dziecko ukochane.

– Żywo promienna, siostró bogów luba! – rzekł, przeszyty żalem ciężkiem, a chmura smutku zasępiła mu lica piękne. – Ja nie stworzyłem zła i nie dopuszczam; ono beze mnie powstaje. Ziarno posiewu cudzego niedobre sięgnęło głęboko w dzieło mojego stworzenia i zupełnie je odmieniło. Ale wiedz, Żywo miła, że niszczenie pracy własnej jest nienawistne sercu Stwórcy. I na mściwość nie mogę się zdobyć ja, który miłością natchnąłem światy stworzone. Odwracam więc oczy od zarazy sprosnej, co mi pomazała świat Życia luby. Nie spoglądam nigdy na czyny wszeteczne skażonych, nie chcę o nich mówić i trzymam prawięcę z dala od karania.

Rzeczcią Boga jest tylko tworzyć z miłością światy piękne i w nich się przeglądać jako w utworach swoich doskonałych.

Złe z złości swojej ponosi karę i ku zagładzie samo podąża, a cnocie użycza potęgi i blasku.

– O, Panie Jasny, najslabsi cierpią, giną w jarzmie złości! Czyż to jest celem Twego dzieła nad dziełami?

A Słońce jej odrzeczce:

– Nie lubię spraw i rzeczy małych; wdzięk doskonałości boskiej jest zamiarem Stwórcy, a przeto musi zginąć wszystko słabe, mierne, niegodne nieśmiertelności!

Ja, ojciec, przelałem w Życie ogień twórczy.

Wiano rodzicielskie wystarcza – jestem pewny – do stworzenia świata nowego, dokąd ani śmierć, ani niedola, ani żadne złe nie dosięgną.

Cisi i cierpiący – oni po wsze czasy są nasieniem wielkości – niech wzniosą głowy i spojrzą w Niebo! Blaski nieśmiertelności spłyną w ich duszę: będzie to chwila poczęcia, a potem dziecię Życie obdarzy mię wnuczęciem lubym.

Śpiesz, Żywo, i obwieść światu, coć mówię!

Niedola, śmierć, skażenie są doczesne, przemijają: nie dla nich stworzyłem Życie.

Idź, dziewo boska, otwórz Życiu dłonią przeczystą bramy nieśmiertelności!

Przemówił tak godnie. Ona, pełna krasy, biegła przez padół nieszczęścia doczesnego, głosiła szczęście wiekuiste.

Życie zebrało swe siły najlepsze, otrzymane w posagu od bóstwa, i poza światem podślonecznym stworzyło świat własny – cudo nad cuda.

W wyżynach nie dojrzałych z niskości ziemskich, daleko od naszej doliny łez i boleści, stanął świat szczęścia czystego, przybytek najgodniejszy Życia.

Pragnienia niebotyczne, marzenia najwznioślejsze, piękność, co bóstwo wzór jej stanowi, zamieszkały w tej krainie nowej.

Ziemia jest piękna w dni jarowe urocze, kiedy prześwietnie jaśnieje blaskiem Słońca, błyszczą barwami tęczy, upaja wonią, brzmi pieśnią rozkoszną wesela.

Wdzięki jej jednak nie zdołają sprostać piękności świata, który teraz stworzyły dusze szlachetne, poczuwające w sobie iskrę Bożą.

Dzieło nowe stworzenia, niby druga gwiazda słoneczna, zajaśniało nad światem starym, opromieniło jego padoły smutne, zesłało mu wielkie natchnienie nadziei, miłości i wiary.

Myśl wystąpiła w tym świecie tak potężna, jakiej dotąd nie znano pod Słońcem.

Mieszkańcy Ziemi biedni, przytłoczeni cierpieniem, poniżeni przez występki, zawdy słyszą z góry głos pełen otuchy:

– Życie zła, niedoli wszelkiej jest doczesne i na śmierć skazane!

Świat żywy spogląda z uwielbieniem ku krainie błogosławionej dobrych obietnic nieśmiertelności, marzy wspaniale o ziszczeniu swoich pragnień, przegląda się w dziele własnym doskonałym.

...Niedola zdaje się istnieć jedynie dlatego, aby była bodźcem do tym gorętszych pragnień, do tym piękniejszych marzeń. Z owych pragnień i marzeń wyzwala się siła olbrzymia, której praca przeobraża Życie zwątlone w postaci coraz wdzięczniejsze. Czyny!

Jak dobre żyć w owym świecie! Na rozpacz nie ma czasu.

Takie są koleje w dziejach Życia!

Adolf Tomasz Dygasiński

(7 III 1839–VI 1902)



DYGASIŃSKI Adolf, urodzony w Niegosławicach k. Pińczowa, zmarł w Grodzisku Mazowieckim, powieściopisarz, nowelista, pedagog i publicysta. W 1862–66 studiował nauki przyrodnicze w Szkole Głównej w Warszawie. Brał udział w powstaniu styczniowym. W 1868 wyjechał do Pragi, potem pracował jako guwerner w dworach szlacheckich. Po powrocie został guwernerem w majątku Karczewskich Wielgie w ziemi radomskiej. Tutaj jego uczniami byli W. Karczewski i J. Malczewski. W 1871 osiadł w Krakowie, gdzie prowadził

zakład wychowawczy, wydawał serie książek popularnonaukowych («Biblioteka Umiejętności Przyrodniczych») i 1872 założył własną księgarnię; po jej upadku wskutek nagonki sfer konserwatywno-klerykalnych przeniósł się 1877 do Warszawy. Uczył w szkołach prywatnych, współpracował z organem ruchu pozytywistycznego „Przegląd Tygodniowy”, związał się z „Wędrowcem” (propagującym od ok. 1885 idee naturalizmu w literaturze) i 1886 z demokratyczno-ludowym „Głosem”; 1887 był współinicjatorem miesięcznika etnograficznego „Wisła”. Po odebraniu mu przez władze rosyjskie prawa nauczania w 1889 opuścił Warszawę. W 1890–91 odbył podróż do Brazylii (wrażenia z niej zawarł w powieści *Na złamanie karku* 1893). Do końca życia zarabiał pracą guwernerską.

Twórczość Dygasińskiego znajduje się pod wpływem naturalizmu: uwydatnia zależność człowieka od przyrody, ustala analogie między światem zwierzęcym a ludzkim (np. *Wilk, psy i ludzie* 1883), ilustruje darwinowskie prawo walki o byt (np. powieść *Właściciele* 1888) i – pod wpływem Zoli – teorię dziedziczności (np. *Von Molken* 1886, *Na warszawskim bruku* 1886): również za wzorem Zoli budował Dygasiński niektóre swe powieści na kształt monografii naukowych, poświęconych jakiemuś zagadnieniu socjologicznemu (np. *Gorzalka* 1894) lub

wybranej grupie społecznej. Naturalizm współistniał w twórczości Dygasińskiego z realizmem, przejawiającym się m.in. we wnikliwej obserwacji psychologicznej i społecznej oraz w bogatym i autentycznym języku postaci; realizm ten miał jednocześnie wyraźne zabarwienie krytyczno-społeczne: ukazywał surową prawdę o życiu chłopskim, demaskował stosunki moralne wytworzone w mieście przez kapitalizm. Dużą wartość literacką mają utwory Dygasińskiego ukazujące przyrodę i życie zwierząt, m.in. *As* (1896), *Zajac* (1900); do innych ważniejszych książek pisarza należą: *Na pańskim dworze* (1884), *Nowe tajemnice Warszawy* (1887), *Beldonek* (1888), *Robinson polski* (1891), *Złamane życie* (1893), *Dramaty Lubądzkie* (1897), *Pióro* (1897), *W Swojczy* (1899), *Margiela i Margielka* (1901), *Gody życia* (1902). Liczne nowele ukazywały się za życia pisarza w kilkunastu zbiorach.

Dygasiński rozwijał również żywą działalność popularyzatorsko-oświatową; szerzył m.in. znajomość filozofii H. Spencera, T.H. Huxleya, koncepcji językoznawczej W.D. Whitneya, pedagogicznej J.H. Pestalozziego, F. Fröbela, tłumaczył J.S. Milla (*Logika* 1897) i in. Zajmował się zagadnieniami metodyki nauczania początkowego, pozaszkolnego (*Jak się uczyć i jak uczyć innych* 1889) i pogładowego, był inicjatorem pisma „Przegląd Pedagogiczny” (1880).

(Wielka Encyklopedia Powszechna PWN, Warszawa 1963, tom 3)

SPIS TREŚCI

Biblioteka Sycyńska – <i>Henryk Bednarczyk</i>	3
Dlaczego Adolf Dygasiński? – <i>Janusz Pulnar</i>	5
Co się dzieje w gniazdach?	7
Podwórzowe dramata	37
Biały wróbelek	67
Kuropatwy	71
Gody życia	77
Adolf Tomasz Dygasiński – życie i twórczość	178

Muzeum Regionalne w Pińczowie

ul. Piłsudskiego 2a

tel. (0-41) 357-24-72

Email: mrpinczow@wp.pl, strona internetowa: www.pinczow.com

Muzeum powstało w 1963 r. w popaulińskim, barokowym klasztorze.

Pierwszy statut nadano muzeum w 1967 r., a po uzyskaniu kolejnych pomieszczeń od 1970 r. rozpoczęto działalność wystawienniczą. Obecnie placówka zajmuje część zachodniego, północnego oraz wschodnie skrzydła parteru z zejściem do XV w. gotyckich piwnic pierwotnego klasztoru Paulinów.

WYSTAWY STAŁE

ADOLF DYGASIŃSKI

Związek Adolfa Dygasińskiego (1839–1902) z Pińczowem i Ponidziem był inspiracją do kolejnej wystawy, której tematem są nie tylko problemy społeczne, lecz również przyroda. Opisywał między innymi piękny krajobraz nadnidziański, a także życie zwierząt. Wiele akcji swoich utworów Dygasiński umiejscowił właśnie na Ponidziu. Wystawa ukazuje wiele pamiątek związanych z biografią i działalnością pisarza (m.in. rękopisy, listy, fotografie). Zobaczyć tu można także kopie 3 obrazów Jacka Malczewskiego, przedstawiające Dygasińskiego. Pochowany został w Warszawie na Powązkach, a pomnik wystawiony przez brać literacką odzwierciedla jego wielką miłość do zwierząt.

PRADZIEJE PONIDZIA

Przedmiotem wystawy są zasadnicze dziedziny działalności ludzkiej: produkcja narzędzi, budowanie obiektów mieszkalnych i twórczość artystyczna. Ekspozycja przedstawia proces rozwoju ludzi, którego wynikiem jest człowiek współczesny i jego cywilizacja.

WYSTAWA PRZYRODNICZA

Składa się z trzech części i prezentuje zagadnienia związane z florą i fauną, siedliskami leśnymi i geologią Zespołu Parków Krajobrazowych Ponidzia. Parki obejmują swymi granicami atrakcyjne krajobrazowo obszary o wysokich walorach przyrodniczych, kulturowych i historycznych. Dodatkową atrakcją w okresie wiosenno-jesiennym jest „żywa” ekspozycja roślinności stepowej prezentowana na muzealnym dziedzińcu.

SŁAWNE I ZNANE POSTACIE W DZIEJACH PIŃCZOWA

RENESANSOWA SYNAGOGA

Stowarzyszenie Oświatowe Śycyna



ISBN 83-918104-0-2